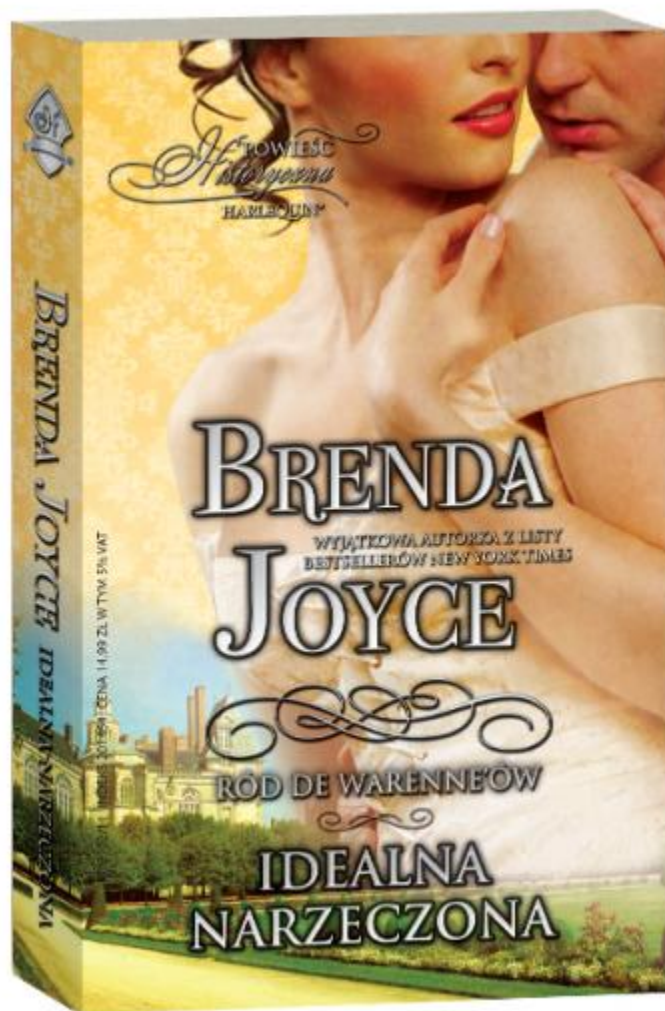


Joyce Brenda
Idealna Narzeczona



Anglia, XIX wiek

Dramatyczne przeżycia kładą się mrocznym cieniem na ich życiu. Ona przez lata tak skutecznie tłumi w sobie głębsze emocje, że już nie jest w stanie ich odczuwać. On unika poważnego zaangażowania z lęku przed ponownym zranieniem.

Piękna i niezmiernie bogata lady Blanche Harrington postanawia wyjść za mąż, jednak ani nie szuka, ani nie oczekuje miłości. Chce mieć rodzinę, a poza tym nie czuje się na siłach sama zarządzać ogromnym majątkiem. Chętni do zawarcia ślubu stawiają się tłumnie. Blanche czuje się osaczona przez łowców posagów i wyjeżdża do Kornwalii. Po drodze odwiedza sir Reksa de WARENNE`a, którego zna z londyńskich salonów. Z wielkim zdziwieniem odkrywa, że ten niezwykle mężczyzna wzbudza w niej żywsze emocje. Jak to możliwe? Przecież od czasu, gdy jako dziewczynka była świadkiem tragicznej śmierci ukochanej matki i wpadła w głęboką rozpacz, skutecznie dążyła do tego, żeby wyplenić w sobie zdolność odczuwania.

Rozdział pierwszy

Marzec, 1822

Dwustu dwudziestu ośmiu konkurentów! Boże wielki! Taki tłum! I jak tu dokonać wyboru?!

Zdenerwowana Blanche Harrington stała samotnie przed ogromnym oknem w saloniku sąsiadującym z wielkim salonem, do którego niebawem mieli wtargnąć kawalerowie. Tego ranka z okien Harrington Hall znikły czarne draperie, znak, że milady skończyła żałobę i znów przyjmuje gości. Przez osiem lat stroniła od małżeństwa, jednak po śmierci ojca, który zmarł nagle na zapalenie płuc, dotarło do niej, że mąż jest jej nadzwyczaj potrzebny, ktoś musi bowiem zarządzać ogromnym majątkiem, a dla niej to zadanie było zbyt skomplikowane.

Stąd się wzięła ta chmara zalotników, których bała się, tak samo jak bała się przyszłości.

- Kochanie, jesteś tutaj! - Do saloniku wkroczyła Bess Waverly, jedna z jej najlepszych przyjaciółek.

- Za chwilę otwieramy drzwi!

Blanche w milczeniu wpatrywała się w półkolisty podjazd wypełniony kawalerami, dla których, jako jedna z najbogatszych dziedziczek w Zjednoczonym Królestwie, była wyjątkowo łakomym kąskiem. Jej ojciec, przed laty obdarzony tytułem wicehrabiego, zbił ogromny majątek na manufakturach. Stało się to tak dawno, że nikt nie uważał ich za nuworyszy. Bogactwo, przepych, przywileje

- Blanche nie znała innego życia. Naturalnie ojciec chciał widzieć ją jako szczęśliwą mężatkę, żonę szanowanego dżentelmena. Nawet zaręczyła się przed ośmiu laty, ale zwróciła słowo. Ojciec nie protestował, wciąż jednak przedstawiał jej nowych kawalerów. Marzył, by córka wyszła za mąż z miłości.

Ona? Absurd! Oczywiście nie dlatego, że nie staje się na ślubnym kobiercu z miłości. Szkopuł w tym, że Blanche nie była w stanie się zakochać. Wiedziała o tym doskonale. Mimo to wyjdzie za mąż, bo ktoś musi wziąć na swoje barki zarządzanie ogromnym majątkiem.

Trzy tuziny powozów tłoczyły się na jej podjeździe, a przed sześcioma miesiącami złożono jej pięćset wizyt kondolencyjnych. W tym, sądząc po biletach wizytowych, dwustu dwudziestu ośmiu kawalerów uchodzących za dobre partie. Te liczby przerażały Blanche. Cały tłum, a wśród tych dżentelmenów zwanych dobrymi partiami iluż było zwykłych

łowców posagów? Mnóstwo. A ona, choć miłość nie wchodziła w grę, miała nadzieję, że uda jej się natrafić na dżentelmena rozumnego, przyzwoitego i szlachetnego.

- Moja droga, doskonale wiem, co myślisz - oznajmiła Bess Waverly. - Nie na darmo od niemal dwudziestu lat jestem twoją przyjaciółką. Dlatego błagam, nie każ mi odprawić ich wszystkich, skoro sama ogłosiłam wszem i wobec, że skończyłaś żałobę. Poza tym, po co zwlekać? Odłóżysz tylko na później to, co nieuniknione!

Przyjaciółki różniły się od siebie jak dzień od nocy i pewnie z tego powodu powściągliwa i opanowana Blanche przepadała za egzaltowaną, pełną życia Bess, istnym wulkanem namiętności o jasno-brązowych włosach, ogromnych zielonych oczach i ponętnych kształtach. Bess miała drugiego męża i co najmniej dwudziestego kochanka, co zresztą nie przeszkadzało jej być najczulszą matką dwójki dzieci. Ze swoich romansów nie robiła tajemnicy, przekazując przyjaciółkom najsmakowitsze szczegóły. Natomiast dobiegająca dwudziestych ósmych urodzin Blanche nie zdobyła na tym polu żadnych doświadczeń. Nie miała ani męża, ani kochanka, ale to wcale jej nie doskwierało. Uważała, że życie i tak jest przyjemne, oferując spacery po parku, zakupy, herbatki, operę, teatr, bale. A jeśli chodzi o namiętność, ta sfera pozostawała dla niej nieznaną. Serce, choć biło niestrudzenie, było absolutnie niezdolne do wzruszeń. Uczucia i odczucia Blanche zawsze pozostawały chłodne, co najwyżej letnie. Słońce było żółte, nigdy złociste, komedia bawiła, nigdy nie rozśmieszała do łez. Kawaler mógł

być przystojny, nigdy porywający czy zapierający dech. Pod tym względem zdecydowanie różniła się od innych kobiet, żadna z nich jednak nie straciła matki w wieku sześciu lat podczas krwawych zamieszek, gdy rozjuszony tłum opanował londyńskie ulice. Blanche właściwie nie pamiętała tamtych zdarzeń. Co gorsza, nie zachowała żadnych wspomnień o matce. Na piękną damę z portretu, który wisiał nad schodami, spoglądała jak na obcą osobę. Czuła jednak, że wspomnienia żyją czy raczej trwają w letargu gdzieś w najgłębszych zakamarkach jej mózgu. Nie ujawniają się, ale tak właśnie, zdaniem Blanche, było najlepiej. Po zamieszkach mała dziewczynka, panna, dojrzała-kobieta Blanche Harrington nie uroniła ani jednej łzy. Nigdy nie rozpaczała, po prostu serce tego nie umiało. Żadnych dramatów, żadnych udręk.

O tej przypadłości wiedział tylko jej ojciec, znał też przyczynę. Natomiast dwie najlepsze przyjaciółki były święcie przekonane, że Blanche pewnego dnia ocknie się i stanie się tak samo namiętna i nierozważna jak one. Po prostu zakocha się do szaleństwa.

- Masz rację, Bess - powiedziała, odwracając głowę od okna - nie ma sensu czegokolwiek odkładać na później. Zresztą, ojciec bardzo chciał, żebym wyszła za mąż.

- Tak, moja droga. Musisz to zrobić, a im szybciej, tym lepiej. Po śmierci ojca zostałam sama, nie masz przy sobie żadnej bliskiej, oddanej osoby.

Wspomniały o jej ojcu, a ona nie poczuła nic.

Kiedy zgasł, też nie szlochała, nie rozpaczała, była tylko odrętwiała, spowita w smutek łagodny, prawie bezbolesny. Tęskniła jednak za nim. Nie mogło być inaczej. Po tamtym

straszonym dniu, kiedy zginęła matka, ojciec stał się dla Blanche jedyną kotwicą, która umiejscawiała ją w życiu.

- Chwała Bogu, że mam ciebie i Felicię, Bess. Nie wiem, co bym zrobiła bez was.

- A my znajdziemy ci przystojnego, młodego kawalera, który będzie cię uwielbiał. Ponad dwustu kandydatów! Naprawdę masz w czym wybierać.

- Tak, ponad dwustu. I to jest straszne. Boję się tego najazdu. Zresztą, doskonale wiemy, że znakomita większość to łowcy posagów.

- A niech nawet sobie nim będzie! Najważniejsze, żeby był młody, przystojny i skory do amorów. Przy namiętym mężu wreszcie zniknie ta twoja obojętność.

Blanche, uśmiechając się pod nosem, pokręciła głową.

- To zakrawałoby na cud.

- Które jednak się zdarzają. Co prawda, w twoim przypadku najbardziej pożądanym cudem byłoby coś innego. Gdybyś się zakochała...

- Dobrze wiesz, że to niemożliwe. Och, Bess, proszę, nie patrz na mnie z takim smutkiem. Wcale nie jestem nieszczęśliwa. Lubię swoje życie. Los obdarzył mnie hojnie...

- Hojnie? Przecież nigdy nie zaznałaś miłości! A to musi się zdarzyć, w każdym razie z Felicią wciąż mamy nadzieję. Blanche, nawet nie masz pojęcia, co tracisz. Jesteś okropnie samotna...

- Lubię być sama. Taka już jestem, Bess, i mam przeczucie, że kiedy wyjdę za mąż, niewiele się zmieni. Nadal będę sama, rozumiesz, w sensie duchowym.

- Nigdy nie będziesz sama, kiedy na świat przyjdą dzieci.

- Dzieci? - Po twarzy Blanche przemknął ciepły uśmiech. - Byłoby cudownie... choć to raczej niemożliwe. Wiem, że ty i Felicia chcecie wyswatać mi młodego kawalera, ja jednak będę rozglądać się za dżentelmenem w średnim wieku. Miłym, uprzejmym, i naturalnie o silnym charakterze...

- Który będzie cię rozpieszczał jak twój ojciec! Nie, Blanche, nie dopuszczę do tego. Twój mąż ma być młody, pociągający i pełen wigoru. A kiedy już na kogoś się zdecydujesz, pozwolisz, że rozejrzę się wśród smętnych resztek?

Blanche roześmiała się. Cała Bess. Nienasycona.

- Naturalnie, że pozwolę.

- Moje drogie! - W drzwiach saloniku ukazała się rozpromieniona Felicia, trzecia do kompletu przyjaciółek, a także po raz trzeci zamężna. - Jamieson otwiera już drzwi! Och, Blanche, jestem taka szczęśliwa, że porzuciłaś wreszcie tę smutną czerń. W szarym zdecydowanie bardziej ci do twarzy.

Blanche znieruchomiała, słysząc męskie głosy i zdecydowane męskie kroki. Horda zalotników najechała na Harrington Hall.

Felicia rzuciła jakiś żart. Blanche uśmiechnęła się uprzejmie, choć tak naprawdę nic do niej nie dotarło. Nie powinna się dziwić, skoro właśnie sześciu młodych dżentelmenów rozpoczęło umizgi, a pozostali, co najmniej pięćdziesięciu, zapełnili szczelnie salon. Blanche, która od wielu lat pełniła honory pani domu w rezydencji owdowiałego ojca, znała ich prawie wszystkich. Była biegła w przyjmowaniu gości, tym razem jednak okazało się to ogromnie męczące. W ciągu ostatnich kilku godzin nieustannie obdarzano ją pełnymi zachwyty spojrzzeniami, usłyszała już ze sto razy, że wygląda cudownie. Kilku dżentelmenów ośmieliło się nawet nazwać ją skończoną pięknnością. Poza tym co drugi kawaler pragnął zaprosić ją na przejażdżkę po parku. Na szczęście, wierna Bess nie odstępowała jej na krok, jednak Blanche, uśmiechając się uprzejmie do wytwornego Ralpa Witte'a, syna barona, i tak czuła, że zaczyna brakować jej powietrza. Niestety, nadciągali nowi goście. Wśród nich, jak zauważyła Blanche, hrabina Adare z synem Tyrellem, który dziedziczył hrabiowski tytuł, i jego małżonką Lizzie. Ciemnowłosey Tyrell był łudzaco podobny do swego brata Reksa. W pierwszej chwili Blanche nawet pomyślała, czy to aby nie Rex de Warenne, chociaż był to, oczywiście, Tyrell, z którym osiem lat temu była zaręczona. Bardzo zresztą krótko. Zwróciła mu słowo, by mógł ożenić się z kobietą, którą kochał. Z matką byłego narzeczonego i jego żoną Lizzie łączyła ją serdeczna przyjaźń, natomiast jego brata, sir Reksa, właściwie nie znała. W ciągu tych ośmiu lat widziała go kilka razy a to na balu, a to na

proszonej herbatce. Rozmowa ograniczała się do zdawkowej wymiany kilku zdań, sir Rex bowiem, tak jak i ona, nie był wylewny. Cała socjeta uważała go za dziwaka i odludka, ponieważ nie cenił londyńskiego życia towarzyskiego, a najlepiej czuł się w swoim majątku w dalekiej Kornwalii, dlatego rzadko pojawiał się na salonach. Nie złożył nawet Blanche wizyty kondolencyjnej po śmierci jej ojca, co było dużym nietaktem. Nie ma więc czego żałować, że się nie pojawił, tym bardziej że podczas sporadycznych, krótkich rozmów z sir Reksem nigdy nie czuła się swobodnie. Jego spojrzenie było jakieś takie... przeszywające.

- Przepraszam, pójdę przywitać się z lady Adare i lady de Warenne - rzuciła przez ramię do Bess i przywołując promienny uśmiech, podeszła do nowo przybyłych gości.

- Droga Mary! Jak się cieszę!

Mary de Warenne, hrabina Adare, bardzo urodziwa blondynka w oszałamiającej sukni i klejnotach, serdecznie objęła Blanche.

- Kochanie, jak sobie z tym wszystkim dajesz radę?

- Jakoś daję, naprawdę. - Uśmiechnęła się do żony Tyrella, Lizzie o tycjanowskich włosach. Wyglądała olśniewająco, chociaż niedawno powiła czwarte dziecko. Blanche z chęcią poznałaby jej tajemnicę zachowania urody. - Jak miło, że cię widzę.

- Razem z Tyrellem bardzo cieszyliśmy się na tę wizytę - powiedziała Lizzie, ściskając jej dłoń.

- Rzadko bywamy teraz razem. Och, ten tłum jest imponujący!

Blanche udało się uśmiechnąć.

- Wystaw sobie, że to konkurenci do mojej ręki.

- Spojrzała na Tyrella. - Dziękuję, milordzie, że odwiedził mnie pan.
- Cieszymy się, że wróciła pani do nas, Blanche.
- Skłonił się. - Gdyby pani potrzebowała jakiegokolwiek pomocy, proszę zwrócić się do mnie.
- Zachował w sercu głęboką wdzięczność dla Blanche za to, że zwróciła mu słowo, by mógł ożenić się z Lizzie.
- Dziękuję, milordzie. - Blanche uśmiechnęła się, po czym odwróciła się z powrotem do dam.
- Czy zamierzacie długo zabawić w Londynie? Rodowe gniazdo Adare'ów było w Irlandii. Blanche nigdy nie wiedziała, czy de Waren-ne'owie właśnie zjechali do Londynu, czy wracają do siebie.
- Jesteśmy tu od Nowego Roku - odparła Mary.
- Szykujemy się do wyjazdu.
- Och, jaka szkoda. Czy kapitan de Warenne i Amanda też są w Londynie? Jak się miewają?
- Jesteśmy tu tylko we trójkę, oczywiście z czwórką naszych pociech - odrzekła Lizzie. - Cliff i Amanda są na wyspach, do Londynu mają zjechać na wiosnę. Dobrze im się wiedzie. Nadal są nieprzytomnie zakochani.
- Jak miewają się O'Neillowie?
- Sean i Eleanor są w Sinclair Hall, Devlin i Virginia w Paryżu, obchodzą tam dziewiątą rocznicę ślubu. Bez dzieci!

- A sir Rex?

- W Land's End, jak zwykle. - Mary westchnęła.

- Cliff odwiedził go w drodze powrotnej na wyspy. Rex podobno jest bardzo zajęty podźwiganiem swojej posiadłości, dlatego rzadko wyjeżdża. Widziałam się z nim po raz ostatni półtora roku temu w Londynie, kiedy Cliff przywiózł do Londynu Amandę i przedstawił jako swoją narzeczoną. Martwię się o Reksa. Jak on znajdzie sobie żonę, skoro ukrywa się na tym bezludziu! Tam na pewno nie pozna odpowiedniej kandydatki.

- Sir Rex zamierza się ożenić? - Ta informacja zaskoczyła Blanche, choć nie należało się dziwić. Sir Rex, starszy od niej o dwa lata, dawno powinien to uczynić.

- Właściwie to nie wiadomo... - z wahaniem odparła Mary.

- A może wyrażę to inaczej - powiedziała z uśmiechem Lizzie, biorąc teściową pod ramię.

- Kobiety z rodu de Warenne'ow uważają, że najwyższa pora, aby Rex założył rodzinę, a do tego niezbędna jest żona.

Blanche uśmiechnęła się. Czyli kobiety z rodu de Warenne'ow zawiązały spisek. Skoro tak, to dni Reksa w kawalerskim stanie są policzone.

- Dlatego powinien jak najczęściej wyjeżdżać z Land's Endu - oświadczyła Mary. - W maju na pewno pojawi się w Londynie, Edward i ja będziemy tu obchodzić dwudziestą trzecią rocznicę naszego ślubu. Na uroczystość zjedzie się cała nasza rodzina.

- Moje gratulacje, Mary.

- Dziękuję, Blanche. Jestem bardzo szczęśliwa. Mam tyle wnuków, że aż trudno zliczyć. Moja droga... - Uśmiechnęła się ciepło i wzięła Blanche za rękę. - Wiesz, że kocham cię jak własną córkę. Wierzę, że nadejdzie dzień, kiedy i ty odnajdziesz szczęście.

Nie знаła innej damy o tak gołębiim sercu jak hrabina Adare. Mąż, dzieci, wnuki - wszyscy ją uwielbiali. Jednak teraz jej serdeczne słowa nie ucieszyły Blanche. Przeciwnie, poczuła smutek. Och, na pewno nigdy nie zazna takiego szczęścia, jakie przypadło w udziale Mary de Warenne. Trzeba obdarzyć kogoś miłością, żeby tak się stało. A przecież ona, ku swemu zmartwieniu, nie umiała się zakochać. Potrafiła tylko zastanawiać się, jak to jest być kochaną, samej kochać, mieć wokół siebie kochającą rodzinę...

Jednak za mąż musi wyjść.

- Nie zamierzam dłużej stronić od małżeństwa - oznajmiła. - Sama nie dam rady zarządzać majątkiem.

Mary wymieniła z synową znaczące spojrzenia.

- Masz już kogoś na oku? - spytała podekscytowana Lizzie.

- Nie, i muszę przyznać, że szukanie tego kogoś jest bardzo męczące.

Lizzie roześmiała się.

- A to dopiero początek, moja droga! Bądź jednak dobrej myśli. Ot, choćby w tym tłumie zauważyłam kilka interesujących twarzy. Jeśli będziesz chciała poplotkować, daj znać. - Pomachała do Tyrella, który natychmiast odszedł od dżentel-

menów, z którymi nawiązał rozmowę, i wziął żonę za rękę.

- Pójdziemy już - powiedziała Mary. - Wyglądasz na bardzo znużoną, moja droga.

Następne pół godziny Blanche spędziła na posyłaniu uśmiechów wychodzącym dżentelmenom, starając się, by każdy z nich odczuł, jak bardzo jest mu przychylna. Kiedy wreszcie drzwi zamknęły się za ostatnim z konkurentów, osunęła się na krzesło i przymknęła oczy. Od tego szczyrzenia zębów bolały ją policzki.

- Boże wielki, nie dam rady! Bess usadowiła się na sofie.

- Moim zdaniem poszło nieźle-orzekła i uśmiechnęła się szeroko.

- Nieźle? Poszło znakomicie! - wykrzyknęła Felicia. Kazała służącemu podać sherry i rozsiadła się obok Bess. - To zbrodnia, że tylu wspaniałych dżentelmenów wciąż chodzi wolnych po świecie.

- Znakomicie? Co ty mówisz! Mnie po tym wszystkim rozsadza głowę - zaprotestowała zboliałym głosem Blanche. - Aha, a tak przy okazji. Hrabstwo Adare'owie w maju obchodzą dwudziestą trzecią rocznicę ślubu. Tu, w Londynie. Zjeżdża się cała rodzina. Podobno sir Rex też zamierza opuścić swoją samotnię.

- Rex de Warenne... - powtórzyła przeciągle Bess i spojrzała na Felicię.

Przez dłuższą chwilę nie odrywały od siebie oczu.

Zaintrygowana Blanche uważnie przyglądała się przyjaciółkom.

- Kochanie, czy na pewno chcesz mieć sporo starszego męża? - spytała po chwili Bess.

- Tak, oczywiście. A dlaczego pytasz?

- Bo słyszałam, jak wypytywałaś hrabinę o sir Reksa...

- Cóż w tym dziwnego? Nasze rodziny od lat się przyjaźnią. Pytałam o wszystkich, nie wypadało więc go pominąć. Chyba nie podejrzewasz, że jestem szczególnie nim zainteresowana. Przeciwnie, chowam do niego urazę. Po śmierci ojca nie złożył mi kondolencji. Zachował się nietaktownie. - Blanche nie była pewna, czy Bess jej słucha. Droga przyjaciółka sprawiała wrażenie zajętej swoimi myślami.

W tym momencie lokaj przyniósł sherry. Bess, wypiwszy łyczek, spojrzała przenikliwie na Blanche i spytała:

- Nie chciałabyś, żeby sir Rex starał się o twoją rękę?

Sir Rex?! Blanche na moment odjęło mowę, potem roześmiała się.

- On?! Wykluczone! Chcę żyć spokojnie, a sir Rex, jak wszyscy wiemy, ma niełatwy charakter. Odludek, dziwak, często wpada w melancholię.

- Tak powiadasz? Wydaje się mężczyzną wyjątkowo pociągającym.

- A mnie nie!

- Mnie też nie - oświadczyła Felicia. - Po śmierci nieodżałowanego Hala czułam się bardzo samotna, pomyślałam więc, że może sir Rex przez jakiś czas mógłby... dotrzymać mi towarzystwa. I gorzko się rozczarowałam. Bo to gbur, zwyczajny

gbur. Gorszego kandydata do ręki Blanche nie znajdziesz.

Gbur? Blanche spojrzała na przyjaciółkę z niesmakiem. Nie znosiła żadnych przejawów złości. Powiedziała:

- Po prostu się na nim nie poznałaś, Felicio. To introwertyk, człowiek zamknięty w sobie, co wcale nie świadczy o braku wychowania. Wobec mnie, pomijając faux pas z kondolencjami, zachowuje się nienagannie, jak prawdziwy dżentelmen. Pewnie dlatego właśnie, że jest dżentelmenem, nie chciał z tobą romansować.

- Dziwne, bo wszyscy de WARENNE'owie znani są ze skłonności do romansów w stanie kawalerskim. Podobno po młodzieńczych wybrykach stają się przykładnymi mężami. Czy to możliwe, że sir Rex jest wyjątkiem? A może po prostu brakuje mu wigoru?

- Felicio, czy nie posuwasz się za daleko?! - oburzyła się Blanche.

- A ja coś wiem - odezwała się Bess. - Ponoć sir Rex stroni od dam, bo woli służące. Dotarło też do mnie, że mimo kalectwa odznacza się wielkim temperamentem.

- Romansuje ze służącymi? Nie do wiary! - wykrzyknęła Felicia. - Jakież to prostackie.

- A jednak! - Bess uśmiechnęła się szeroko. - Ktoś kiedyś podsłuchał, jak dwie pokojówki plotkowały o jego męskości. Zresztą nie były to całkiem plotki, bo jedna z pokojówek zawarła bliższą znajomość z tą jego męskością.

- Osoba szlachetnie urodzona nie powinna aż tak spoufalać się ze służbą.

- Och, nie przesadzaj, Felicio. Całkiem miło wspominał romansik z moim ogrodnikiem.

- Przestańcie! - Blanche czuła, że policzki jej płoną. - Życie intymne sir Reksa naprawdę nie powinno nas obchodzić.

Na chwilę zamilkły, sącząc sherry, jednak Blanche była pewna, że Bess wróci do tematu. Nie odpuszczała, uparta i zawzięta jak terier trzymający w pysku kość.

- Dziwne... - odezwała się po chwili Bess. - Dziwne, że dziś się nie pojawił. Kto jak kto, ale on na pewno potrzebuje majątnej żony. Blanche, ile sir Rex ma lat?

- Około trzydziestu. Bess, proszę, przestań. To jasne jak słońce, ku czemu zmierzasz. Nawet nie próbuj mnie swatać z de WARENNE'em.

- Przepraszam, moja droga. Rozdrażniłam cię? Nie chciałam. Wiem przecież, że masz za sobą męczący dzień.

- Bardzo męczący. - Blanche wstała. - Wybaczcie, ale naprawdę jestem znużona. Nie pogniewacie się, jeśli pójdę do siebie?

- Oczywiście, że nie.

Przyjaciółki wymieniły serdeczne uściski. Kiedy Blanche wychodziła z salonu, słyszała, jak Bess i Felicia zaczynają coś szeptać między sobą. Wiadomo o kim. O niej. Jednak Blanche w ogóle się tym nie przejęła. Wiele razy przekonała się, że są prawdziwymi przyjaciółkami i życzą jej jak najlepiej. Niech sobie więc szepczą, a ona musi się położyć i wypocząć. Przecież to dopiero pierwszy dzień batalii o męża.

- Jak cię znam, na pewno coś knujesz - szepnęła Felicia.
- To dobrze mnie znasz. - Bess lekko ścisnęła jej dłoń. - Jestem pewna, że sir Rex nie jest obojętny naszej Blanche, nawet jeśli ona jeszcze o tym nie wie.
- Co ty mówisz! Ten grubianin chory na melancholię i kochanek służących?!
- To twoje zdanie, Felicio, natomiast ja uważam, że jest bardzo pociągający. A Blanche on się podoba, mam na to dowody. Podśluchiwałam jej rozmowę z hrabiną Adare. Kiedy Blanche zapytała o sir Reksa, zarumieniła się. Rozumiesz, co to znaczy? Czy kiedykolwiek widziałas, by Blanche czuła się skrępowaną podczas zwyczajnej rozmowy towarzyskiej? Bo ja nigdy. Poza tym czuje się urażona, że sir Rex nie złożył jej kondolencji, a przecież jest nadzwyczaj wyrozumiała i niełatwo ją dotknąć słowem czy uczynkiem, o czym doskonale wiesz.
- Jak on może jej się podobać? Człowiek o tak mrocznym wnętrzu...
- Dlaczego nie? Niektóre kobiety lubią melancholijnych mężczyzn. A ty, Felicio, jesteś do niego uprzedzona, bo odrzucił twoje umizgi. W każdym razie, jeśli Blanche jest przychylna sir Reksowi, nie możemy siedzieć z założonymi rękami. Koniecznie trzeba coś zrobić.
- Może i tak... - Felicia westchnęła. - O ile rzeczywiście jest nim zainteresowana. Masz jakiś pomysł?
- Tak, coś mi świta... mała intryga. Zaraz, w intrydze najważniejsze są szczegóły... - Bess zaczęła się przechadzać po salonie.
- W maju sir Rex zjedzie do Londynu - podsunęła Felicia.

- W maju? Za późno... W takim razie... Już wiem! Nie przyszła góra do Mahometa, Mahomet przyszedł do góry. - Uśmiechnęła się szeroko. - Felicio, jedziemy do Kornwalii.
- Co?! - Wcale nie wyglądała na zachwyconą. Przecież Kornwalia to koniec świata, poza tym o tej porze roku było tam podobno zatrważająco zimno. - Bess, błagam, nie! Nie chcę wyjeżdżać. Niedawno wyszłam za mąż, nie nacieszyłam się jeszcze nowym mężem...
- Nie denerwuj się, Felicio, nigdzie nie pojedziesz. Rozumiesz, jedziemy wszystkie trzy, ale w ostatniej chwili ty zachorujesz, u mnie też zdarzy się coś nieprzewidzianego...
- I Blanche wybierze się sama?
- Oczywiście. Za kilka dni, zmęczona kawalerami, będzie marzyła tylko o tym, by uciec od nich jak najdalej. Wtedy my, jej najlepsze przyjaciółki, podsunie my pomysł, żeby pojechała odpocząć do majątku Harringtonów w Kornwalii.
- Nigdy nie słyszałam, żeby Harringtonowie mieli tam ziemię.
- Bo nie mają, ale tak się złożyło, że Blanche prosiła, bym przejrzała z nią dokumenty. Dla niej to czarna magia. Widzisz, jaka okazja? Można spreparować jeszcze jeden dokumencik, z którego będzie wynikać, że Harringtonowie są właścicielami małego mająteczku w Kornwalii, oddalonego zaledwie

o parę mil od Land's Endu. Po przyjeździe na miejsce Blanche oczywiście przekona się o swojej pomyłce. Domyślasz się, co będzie dalej? Przecież niemożliwe, żeby sir Rex nie zaprosił jej do siebie.

- Mój Boże... jesteś niezrównana!

- Wiem, wiem. Wszyscy mi mówią, że jestem geniuszem.

Rozdział drugi

Stuknął młotkiem z całej siły. Główka gwoźdźcia od razu zrównała się z powierzchnią drewna. Stuknął jeszcze raz. Główka gwoźdźcia znikła.

Odrzucił młotek i ciężko dysząc, oparł się o drewniany wspornik. Niestety, wiedział, że nawet najbardziej mordercza praca niczego nie zmieni. Nie zatrze wspomnień. Minęło już dziesięć lat, a on wciąż był tam, na Półwyspie Iberyjskim. Słyszał huk armat, brzęk szabel, rozpaczliwe krzyki rannych. Ciemny dym przesłaniał słońce, a on biegł, żeby uratować Toma Mowbraya, i nagle poczuł w kolanie potworny ból.

Ogarnęły go wściekłość i rozpacz. Wszystko dlatego, że dziś rano nadszedł list. Te listy, przychodzące raz w roku, za każdym razem budziły w nim znienawidzone wspomnienia, a z nimi ożywał dojmujący ból, zwykle ukryty głęboko w sercu. A najgorsze w tym wszystkim było to, że na te listy czekał

z utęsknieniem. W rezultacie zaczynał żałować, że uratował życie Tomowi Mowbrayowi, tak samo jak żałował przelotnego romansu z kobietą, którą kiedyś kochał. Ten romans okazał się największym błędem.

Otarł pot z czoła, gniew jakby nieco zmalął. Trudno, nie da się pogrzebać przeszłości. A list trzeba przeczytać. List, który da tyle samo radości, co udreki.

Rex chwycił kulę, szybko obszedł coś, co kiedyś miało być nową stajnią dla klaczy i źrebaków, i ruszył w stronę ciemnej bryły zamku, rysującej się na tle błękitnego nieba poznaczonego obłokami.

Zamek Bodenick, jego dom. Surowa, kwadratowa budowla wzniesiona w końcu szesnastego wieku na szczycie czarnych, lśniących klifów nad brzegiem oceanu. Rex dostał ten zamek za męstwo, którym wykazał się podczas wojny. Remont głównej budowli zajął mu cztery lata, teraz zamierzał zabrać się do jednej z zamkowych wież, z której szczęśliwie zachowały się ściany i dach. Po drugiej pozostało tylko kilka kamieni i Rex postanowił jej nie rekonstruować. Legenda głosiła, że tę wieżę rozebrali piraci, szukając skarbu, który sami kiedyś w niej ukryli. Mówiono, że skarb nadal gdzieś tu jest.

Wszedł do środka, przeszedł przez ziejącą chłodem, wyłożoną boazerią zamkową sień i otworzył drzwi prowadzące do małego, okrągłego pokoju na parterze wieży. Panował tu mrok, dwa małe okna wpuszczały niewiele światła. Miał tu swój gabinet. Na obitym skórą blacie wielkiego biurka znajdowały się starannie posegregowane dokumenty, a na samym środku leżał list. Nadszedł z opóźnieniem, sir Rex powinien otrzymać go miesiąc wcześniej,

w styczniu, lecz Julia, która pisanie tych listów uważała za poniżające, przekazywała mu wieści o ich dziecku wtedy, gdy uważała za stosowne.

Ból znów zaczął rozsadać pierś. Niebawem Stephen skończy dziesięć lat. Jaki teraz jest? Wciąż taki poważny i układowy? Nadal stara się osiągnąć jak najwięcej, by zadowolić człowieka, którego uważał za swojego ojca? Wciąż przedkłada matematykę nad grekę i łacinę? Czy w końcu najęli nauczyciela fechtunku, tak jak proponował Rex?

Poczuł, że zaczyna brakować mu powietrza, jednak dłużej nie było co zwlekać. Przysiadł na krawędzi blatu, kulę wsunął pod pachę i drżącą ręką sięgnął po list.

Zanim zaczął czytać, cała koszmarna przeszłość znów stanęła mu przed oczami. Kiedy po długim pobycie w wojskowym szpitalu wrócił do domu, witała go rodzina, bliscy znajomi i sąsiedzi. Nie było tylko jego narzeczonej, Julii, która w szpitalu odwiedziła go zaledwie dwa razy. W związku z tym Rex pojechał do niej. W domu jej nie zastał. Odnalazł ją w Clarewood, rodowej siedzibie Mowbrayów. W objęciach Toma. Tamtego wiosennego dnia tysiąc osiemset trzynastego roku postanowił, że dla niego ta ogarnięta namiętnością para kochanków po prostu nie istnieje. Julia i Tom, którego Rex, narażając życie, uratował od niechybnej śmierci. I przypłacił to kalectwem.

Po pewnym czasie uświadomił sobie, że Mowbrayowie mają syna, który urodził się w październiku. Wcale nie chciał, żeby jego myśli pobiegły tym torem, ale matematyka okazała się nieomylna. Skoro rozstał się z Julią tuż po Nowym Roku, Stephen mógł być jego synem. Potem zaczęły docierać do niego plotki, że z malcem coś jest nie tak. Znajda? Nieślubne dziecko kochanka Julii? Rodzice mają bardzo jasne włosy, a chłopczyk czarne. Rex natychmiast wybrał się do Clarewood, gdzie zobaczył dziecko łudzaco podobnie do niego i Tyrella z portretów z dzieciństwa. W takiej sytuacji zawarto układ, w wyższych sferach żadne novum. Prawda o pochodzeniu chłopca na zawsze miała pozostać tajemnicą. Dla świata ojcem był Tom. Julii bardzo na tym zależało, ponieważ Mowbray zapewniał Stephenowi takie bogactwo i przywileje, o jakich prawdziwy ojciec nie śmiał nawet marzyć. W zamian za to Rex miał co roku dostawać wieści o tym, jak miewa się jego syn i co jakiś czas go odwiedzać.

Po upływie dziesięciu lat okazało się, że małego Stephena czekają jeszcze większe splendory. Brat Toma zmarł przedwcześnie, więc po śmierci ich ojca, starego Clarewooda, książęcy tytuł przeszedł na młodszego syna. Julia i Tom nie mieli wspólnych dzieci, jak łatwo się domyślić, z powodu bezpłodności Toma, więc pewnego dnia Stephen Mowbray zostanie księciem Clarewoodem, jednym z najbogatszych i najpotężniejszych arystokratów w Zjednoczonym Królestwie.

Rex uczynił dla swego syna to, co najlepsze. Był o tym głęboko przekonany. A jednak bolało. Otworzył list.

Jak zawsze Stephen był znakomity pod każdym względem. W lekturze wyprzedzał rówieśników co najmniej o dwa lata, do tego rozpoczął naukę matematyki wyższej, co było jego pasją, może życiowym powołaniem. Mówił płynnie po francusku, niemiecku i łacinie. Najęto nauczyciela tańca. Instruktorzy fechtunku i jazdy konnej nie mogą się nachwalić chłopca. Na urodziny Stephen dostał folbluta, pokonuje na nim przeszkody o wysokości ponad trzech stóp. Niedawno Mowbray zabrał go po raz pierwszy na polowanie na lisa. Litery zamazywały mu się przed oczyma, na białą kartkę spadły kropelki łez. Rex poddał się. Odłożył list i pozwolił płynąć łzom. Był już zmęczony udawaniem, że Stephen nie jest jego synem. Nienawidził tych listów. Chciał objąć swoje dziecko, przytulić do serca. Nauczyć chłopca skakać na koniu przez przeszkody i zabrać go na polowanie na lisa... Nigdy jeszcze nie odwiedził Stephena. Był pewien, że kiedy ujrzy swoje dziecko, załamie się i sięgnie po opium. Bo po mocne trunki sięgał już teraz. W nich topił rozpacz. Bał się też, że poruszony widokiem syna zerwie umowę z Mowbrayem. Ujawni prawdę i Stephen nie zostanie księciem Clarewoodem. Spojrzał na ciemne kamienne ściany. Otaczały go, zamykały się nad jego głową. Pogrzebany żywcem... Tak się czuł w Bodenick, choć harował jak

wół, żeby przekształcić ruiny w elegancką rezydencję. Czuł się tak od chwili, gdy doszedł do wniosku, że powinien porzucić swoje dziecko. Zresztą, dla jego dobra.

Zwykle się trzymał, lecz gdy przychodził list, Reksa nachodziła myśl, że dłużej nie udźwignie ciężaru zwanego życiem.

Chwycił kulę, zamachnął się. Lampa spadła na podłogę i rozbiła się w drobny mak.

Starannie poukładane papiery sfrunęły we wszystkie strony. Zamachnął się jeszcze raz, i jeszcze raz. Wszystko, co zostało się na biurku, szklanka, karafka, przycisk do papierów i reszta dokumentów, znalazło się na podłodze.

Ciężko dysząc, zamknął oczy, starając się uspokoić. Ten dzień minie, jutro będzie inaczej.

Pójdzie sprawdzić, jak miewają się żrebne klacze, potem zajmie się budową stajni...

- Milordzie!

Anne, jego służąca, hoża dwudziestolatka, przykucnęła i zaczęła zbierać papiery. Przyszła do zamku dwa miesiące temu w poszukiwaniu pracy, dając Reksowi do zrozumienia, że oprócz gotowania i sprzątania może także świadczyć inne usługi. Z miejsca ją zatrudnił. Zabawianie pana w łóżu należało do jej podstawowych obowiązków. Okazało się, że oboje znajdują w tym wielką przyjemność. Płacił jej hojnie, dawał też wsparcie rodzinie Anne, ubogim dzierżawcom z sąsiedniej parafii.

Nie był jej pierwszym kochankiem, zapewne też i nie ostatnim. Niedawno widział, jak flirtowała z kowalem z wioski, przystojnym chłopakiem, swoim rówieśnikiem. Rex nie miał nic przeciwko temu. Dziewczyna powinna znaleźć sobie męża, a on przygarnie nową kochankę. Jak nową butelkę whisky.

- Anne, posprzątasz później.

- Ależ milordzie! - Spojrzała na niego zdumiona. - Przecież pan tak dba o te papiery jak mama o moje młodsze siostry...

- Chodź do mnie, Anne.

Podniosła się kolan, odkładając dokumenty. Pełne policzki poróżwiały, usta rozciągnęły się w zalotnym uśmiechu.

- Tej nocy nie zadowolłam pana, milordzie?

- Zadowolonaś, ale noc już minęła.

- Życzy sobie pan iść do swojego pokoju, milordzie?

- Po co? - Pchnął ją lekko na sofę.

Gdy opadła na plecy, wsunął się na nią, by jak najszybciej zapamiętać się w rozkoszy i zapomnieć.

Dlaczego nigdy wcześniej nie wybrała się do Kornwalii?

Blanche wychyliła głowę z okna powozu, chłonąc widoki. Pustkę płaskich, pozbawionych drzew wrzosowisk, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Błękit nieba z białymi obłoczkami, oślepiający blask słońca.

- Mi... milady! - usłyszała nieszczęśliwy głos pokojówki. - Jest... jest okropnie zimno!

Biedna Meg szczykała zębami. Blanche wsunęła głowę do powozu i zamknęła okno.

Rzeczywiście

było zimno, przed chwilą jej twarz chłostał zimny wiatr, ale jakoś jej to nie przeszkadzało. Co się z nią dzieje? Zawsze powściągliwa, a tak bardzo ekscytowała się tą wyprawą. Pewnie dlatego, że tak dawno nie wyjeżdżała z Londynu. Przyjaciółki, sugerując, by odpoczęła od kawalerów, namówiły ją na wspólną ekskursję do Penthwaithe, majątku Harringtonów w Kornwalii. W tamtych stronach ma posiadłość i sir Rex, pomyślała więc, że będzie okazja do złożenia wizyty. Oczywiście, że sir Rex wcale nie interesował jej w taki sposób, jak sugerowała Bess. Absurd. Jednak będąc w pobliżu, nie wypadało go nie odwiedzić, bo mógłby poczuć się urażony. Oczywiście, najpierw powinna pojechać do Penthwaithe, zainstalować się tam i przesłać bilet wizytowy do Land's End.

Rzecz w tym, że decyzja o wyjeździe została podjęta spontanicznie, kiedy to prawnicy Blanche natrafili na akt własności, który utknął między szufladami, gdzie pewnie spoczywał od lat. Nic więcej o posiadłości nie wiadano, dlatego Bess, która tak bardzo paliła się do wycieczki, orzekła, że bezpieczniej będzie pojechać najpierw do Land's End, tam przenocować, a do Penthwaithe udać się następnego dnia.

Miały jechać we trzy. Niestety, Felicia zaniemogła. Blanche podejrzewała, że po prostu nie chciała rozstawać się z mężem, lordem Dagwoodem. A Bess dosłownie w ostatniej chwili musiała wracać do domu, ponieważ jej córeczka spadła z kucyka.

W rezultacie wyruszyła do Kornwalii bez przyjaciółek. Ta nagła samotność niespodziewanie wydała się jej przyjemna. Blanche rzadko była sama, jako że prowadziła bogate życie towarzyskie i zajmowała się dobroczynnością.

Z Londynu wyruszyła tylko w towarzystwie pokojówki. Im dalej od Londynu, tym mniej było wiosek, podróżnych i majątków ziemskich. Dziś nie spotkali nikogo. Po gościńcu, który wiódł do zamku Bodenick, jechał tylko jeden powóz -Harringtonów.

Blanche zastanawiała się, czy ludzie, którzy przedstawiają sir Reksa w nie najlepszym świetle, nie są w błędzie. Gościniec był w o wiele lepszym stanie niż główny trakt, a owce i bydło dorodniejsze i bardziej zadbane niż oglądane wcześniej.

A kiedy jej oczom ukazał się zamek, omal nie krzyknęła z zachwytu. Widok dumnej ciemnej sylwety starej budowli na tle nieba, zlewającego się na horyzoncie z szafirowym oceanem, był po prostu urzekający. Do zamku podjeżdżało się drogą wysadzoną starodrzewem. Na dziedzińcu, tuż pod zamkowym murem, pysznił się rozłożysty wiekowy dąb. Mury porastał bluszcz, a także starannie pielęgnowane dzikie róże.

Zamek sprawiał imponujące wrażenie, otoczenie było schludne, zadbane. Hrabina Adare naprawdę nie miała powodu do zamartwiania się; najwyraźniej jej syn istotnie zajęty był posiadłością. Nic dziwnego, że nie miał czasu na wyjazdy do Londynu i szukanie sobie żony.

Kiedy powóz stanął, Blanche poczuła się trochę niepewnie. Nie zapowiedziała wizyty, a wiadomo było powszechnie, że sir Rex nie tęskni za gośćmi.

Z drugiej strony, przecież przyjaźniła się z jego rodziną, a jako właścicielka Penthwhaite była też sąsiadką. Na pewno nie zatrzaśnie jej drzwi przed nosem.

Żałowała jednak, że uległa sugestiom Bess i nie odłożyła wyjazdu o jeden dzień, żeby uprzedzić o swej wizycie. W dodatku słabo znała sir Reksa, a to nie dodawało odwagi. Przypomniała też sobie, że po śmierci jej ojca nie złożył kondolencji. Czyżby dlatego, świadomy swojej gafy, nie pojawił się w tłumie kandydatów do jej ręki? Jego majątek nie był imponujący, miał prawo zapragnąć bogatej żony...

Nie, w przypadku sir Reksa nie wchodziło to w grę. Blanche instynktownie wyczuwała, że nie jest łowcą posagów. Po prostu pomysł ożenku z Blanche Harrington nie przyszedł mu do głowy, a ona wcale nie czuła się tym rozczarowana. Była światową damą, sir Rex odludkiem, trudno więc o większą niezgodność charakterów.

Teraz jednak, tuż przed drzwiami jego domu, czuła się niepewnie, mimo że sir Rex, ilekroć ich drogi się zeszły, zawsze zachowywał się wobec niej jak prawdziwy dżentelmen. Niemożliwe, żeby teraz odesłał ją z kwitkiem.

Trudno. Raz kozie śmierć. Wysiadła z powozu

i poleciwszy służącym pozostać na swoich miejscach, podeszła do drzwi i zapukała. Jednak odpowiedziała jej martwa cisza.

- Milady! - zawołała Meg, wychylając się z powozu. - Może tam nikogo nie ma!

Blanche zastukała jeszcze raz z podobnym rezultatem. Biedna Meg zziębnięta jest na kość, może więc wejść do środka? - pomyślała Blanche. Pokojówka ogrzeje się, a stangret Clarence napoi konie. Sir Rex na pewno nie miałby nic przeciwko temu.

Gdy ostrożnie nacisnęła klamkę, drzwi ustąpiły. Blanche weszła do sieni, potem do wielkiej sali, gdzie z radością zobaczyła ogień w kominku. Znak, że w zamku są jacyś ludzie.

- Dzień dobry! Czy ktoś tutaj jest?

Nie doczekała się odpowiedzi.

Rozejrzała się dookoła. Ściany były pomalowane na biało, meble skromne, ale wygodne, z nowymi obiciami. Na posadzce tylko dwa dywany, za to perskie. Na ścianie broń.

Przyjrzała się jej krytycznie, niechętnie. Dwie szable paradne z pozłacanymi rękojeściami, w pochwach zdobionych złotem i srebrem. Jednak pozostałe dwie szable, długa i krótka, z rękojeściami oplecionymi czarną skórą, bez żadnych ozdób, wyglądały groźnie. Sir Rex przytracał je do boku, kiedy ruszał na pole bitwy. Jak często musiał brać do rąk tę strzelbę z wytartą kolbą...

Nienawidziła wojennych pamiątek. Wojna to tragiczny czas dla sir Reksa i mnóstwa innych ludzi.

Nagle drgnęła, ponieważ usłyszała dziwne, głuche odgłosy, powtarzające się rytmicznie.

Dobiegały zza uchylonych drzwi do pokoju, który, jak przypuszczała, zajmował pierwszą kondygnację zamkowej wieży.

Podeszła bliżej. Dziwny dźwięk był coraz głośniejszy, powtarzał się coraz częściej. Usłyszała też męski głos, ale nie słowa, tylko coś jakby jęk. Tyle że jego przyczyną na pewno nie był ból.

Tylko największa przyjemność.

Znów jęk, tym razem kobiecy.

Blanche zamarła, nagle zdając sobie sprawę, co dzieje się za tymi drzwiami. Uczestniczyła w wielu balach, wizytowała mnóstwo letnich rezydencji i wiedziała doskonale o schadzkach kochanków, odbywających się za zamkniętymi drzwiami, w zacisznym kącie korytarza czy labiryntu z żywopłotu. Wiele razy natknęła się na całującą się parę, udając oczywiście, że niczego nie widziała.

A tam, za tymi uchylonymi drzwiami, na pewno doszło do czegoś więcej niż namiętnego pocałunku.

Boże wielki, ale ten mężczyzna to chyba nie sir Rex?!

Czuła, że jej policzki płoną.

A kto inny tam może być?

„On woli służące od dam... Ma podobno wielki temperament...” - przypomniała sobie uwagi przyjaciółek.

Powinna natychmiast stąd odejść, niestety, nogi nie chciały się ruszyć z miejsca.

Gdy głucho uderzenia przeszły w przerażające crescendo, w głowie Blanche pojawiła się wizja kochanków splecionych w gorącym uścisku.

Zachwiała się, by więc nie upaść, niefortunnie oparła się o drzwi, które otwarły się na całą szerokość.

Tak, to był on sir Rex oraz ciemnowłosa kobieta, która leżała na sofie. A on leżał na tej kobiecie. Nagi tors sir Reksa, potężny jak u średniowiecznego rycerza, połyskiwał

opalenizną. Lewa noga, ta kompletna, oparta była o podłogę, zasłaniając to, czego Blanche absolutnie nie powinna widzieć.

Widok był wstrząsający, mimo to nie była w stanie odwrócić wzroku. Bo sir Rex był po prostu... piękny. Z czarnymi rozwichrzonymi włosami wyglądał jak mroczny anioł.

Krzyknął.

Blanche też krzyknęła.

Musiał ją usłyszeć, bo poruszył głową i spojrzał na Blanche półprzytomnie.

Większej gafy nie mogła zrobić.

- Przepraszam! - krzyknęła przerażona i w tej samej chwili zrozumiała, że sir Rex ją poznał.

Wtedy jej nogi wreszcie oderwały się od podłogi. Pognała, jakby gonił ją sam diabeł.

Rozdział trzeci

Rex, ciężko dysząc, usiadł na sofie. Był przerażony. Lady Blanche Harrington, kobieta, którą podziwiał jak żadną inną, przyłapała go in flagranti ze służącą. Koszmar. Daj Boże, żeby tak właśnie było. Senny koszmar, nie jawa...

- Kto to był, milordzie? - szepnęła Anne.

Czyli to nie sen! Zrozpaczony Rex ukrył twarz w dłoniach.

Lady Blanche Harrington. Nie znał jej dobrze, mimo że była kiedyś narzeczoną jego brata Tyrella. W ciągu ośmiu lat, które minęły od niefortunnych zaręczyn, spotkał ją zaledwie kilka razy, lecz nieodmiennie pozostawał pod jej urokiem. Podziwiał wdzięk lady Blanche, urodę, wytworność, nadzwyczaj miły sposób bycia. I za każdym razem myślał, że jego brat musiał być szalony i ślepy, skoro zrezygnował z takiej kobiety. Kilka razy udało mu się z nią porozmawiać, starając się pokazać z jak najlepszej strony. Szarmancki, doskonale ułożony, uprzejmy. Dżentelmen w każdym calu...

Jak teraz spojrzy jej w twarz?!

Jakim cudem znalazła się w Land's End?!

- Milordzie, czy ta dama jest pana narzeczoną? Opuścił ręce, uświadamiając sobie, że obok niego siedzi Anne. Zdażyła się ogarnąć, lecz i tak z rozplecionym warkoczem wyglądała jak kobieta, która przed chwilą oddawała się miłosnym uciechom.

- Nie.

- Przepraszam, milordzie, ale kto by się spodziewał...

- Nie masz za co przepraszać. — W końcu to on wystąpił z inicjatywą, wykazując się głupotą i brakiem dobrych manier. Amory ze służącą w biały dzień, w gabinecie...

Oczywiście, że miał swoje powody. Chciał zapomnieć o Stephenie. No i udało się, ale jakim kosztem! Nic gorszego nie mogło się przydarzyć. Mimo całego podziwu dla lady Harrington, z całego serca zapragnął więcej jej nie spotkać. A najlepiej byłoby zapaść się pod ziemię.

Płonąc ze wstydu, sięgnął po kulę, wstał i przez okno zobaczył na dziedzińcu wielki czarny powóz Harringtonów.

Ona nadal tu jest! Nadal jest w Bodenick!

Blanche stała koło powozu, odwrócona plecami do zamku, obok niej pokojówka i stangret. Mówiła coś do nich wyprostowana, z uniesioną dumnie głową jak przystoi damie. Jednak widać było, jak bardzo jest zdenerwowana. Cóż, nic dziwnego. Rex

najchętniej skryłby się w jakimś kącie i tam przeczekał, póki Blanche nie odjedzie. Dziwne, że mimo żenującego incydentu, jeszcze tego nie zrobiła. Nie wskoczyła z krzykiem do powozu, stangret nie smagnął koni, by z miejsca ruszyły galopem, uwożąc swą panią z przeklętego miejsca.

Nadal była w Land's End.

Zaklął, bo zanosił się na to, że nie ma sposobu na uniknięcie spotkania z lady Harrington. Nie wymiga się od złożenia jak najgorętszych przeprosin. Oczywiście, będzie to dla nich obojga bardzo krępujące, dla niego wręcz poniżające, jeśli jednak nie przeprosi lady Blanche, będzie jeszcze gorzej.

Spojrzał na swój nagi tors.

- Anne, proszę, przynieś mi koszulę i surdut. Ciekawe, jak długo Blanche stała w tych drzwiach. Na pewno sekundę, przecież jest damą, a nie zdeprawowaną podglądaczką. Niestety, w tej właśnie sekundzie on przeżywał szczyt rozkoszy.

Zarumienił się ze wstydu.

Wróciła Anne, niosąc wytworną koszulę z cieniutkiego płótna i granatowy surdut.

- Dziękuję. Pomóż mi się ubrać. - Mógł zrobić to sam, lecz zależało mu na czasie.

- Milordzie... - szepnęła Anne, podając mu koszulę - czy to wielka dama?

- Z tych największych. Dlaczego pytasz?

- Bo pan jest bardzo zmartwiony.

- Znam wiele dam, które na taki widok dostałyby spazmów, a potem uciekły jak najprędzej. Niestety, lady Harrington nie należy do tego rodzaju dam. Wciąż tu jest i wypada mi się z nią przywitać.

Droga przez wielką salę była niczym droga skazańca na szafot. Serce Reksa waliło jak młotem, policzki pozostały czerwone.

Blanche stała twarzą zwrócona do powozu.

Odetchnął głęboko i powiedział:

- Lady Harrington. Witam panią. Odwróciła się. Uśmiechnęła się, ale jej policzki były ciemnoróżowe jak wstążka, którą Anne miała związane włosy.

- Sir Rex! Jak miło pana znów widzieć! - odezwała się nienaturalnym głosem. - Od naszego ostatniego spotkania upłynęło niemało czasu.

Czyżby zamierzała udawać, że nic się nie stało? Że nie zastała go na amorach ze służącą? Przez ułamek sekundy patrzyli sobie w oczy, potem Blanche schyliła głowę, a on poczuł się tak, jakby ktoś z całej siły uderzył go pięścią. Przeraził się. Nigdy dotąd nie widział tej prześlicznej, filigranowej istoty o najpiękniejszych na świecie niebieskozielonych, lekko skośnych oczach, w takim stanie. Drżącej i zarumienionej z powodu silnego zdenerwowania.

- Sprawiała mi pani wielką niespodziankę - powiedział ochryple.

- Jestem w drodze do Penthwaithe - wyjaśniła cichym głosem. - Wiedziałam, że pan mieszka w pobliżu, postanowiłam więc najpierw złożyć panu wizytę.

Penthwaithe? Dziwne. Rex nigdy tam nie był, ale

słyszał, że właściciel mieszka w Londynie, a majątek jest bliski ruiny. Po co lady Blanche Harrington tam jedzie?

Uniosła głowę, sztuczny uśmiech powoli zniknął z jej twarzy.

Zapatrzył się w piękne, wielkie oczy, które, jego zdaniem, odzwierciedlały sprzeczne emocje. Jakże konkretnie, tego nie wiedział. Wiedział tylko, że tej oto nieskończenie uroczej, pogodnej, wręcz anielskiej istocie zgotował okropną niespodziankę.

Czuł się zdruzgotany.

- Chciałbym prosić o wybaczenie, lady Harrington. Obraziłem panią.

- Czymże to miałby mnie pan obrazić? - zaoponowała, jednak niepewną, zdetonowanym tonem. - To ja popełniłam niewybaczalne faux pas. Powinnam pojechać do Penthwaithe i przysłać panu bilet wizytowy, by zapowiedzieć się z wizytą. Bardzo pana przepraszam za moją natarczywość, ale ten dzień, choć piękny, jest chłodny. I ja, i moi służący jesteśmy zziębnięci, dlatego pozwoliłam sobie zapukać do pańskich drzwi, a nawet wejść do środka, wiedziona nadzieją, że się ogrzejemy. Pański zamek jest bardzo piękny, sir Reksie, bardzo piękny...

Widok Blanche Harrington w stanie silnego zakłopotania był ponad jego siły. I co gorsza, to ona uznała za stosowne go przeprosić!

- Proszę nie przepraszać, lady Harrington. Czuję się tym dodatkowo zawstydzony. Bardzo się cieszę, że mogę powitać panią w moich progach i zaproponować gościnę - oświadczył. Myślał gorączkowo. Co robić? Czy też, jak ona, udawać, że nic się nie stało? Takie rozwiązanie znacznie uprości sytuację. Pogawędzą, lady Harrington i jej służba odpoczną,

po czym się pożegnają. Jednak takie rozwiązanie, choć wygodne, nie dawało mu żadnej satysfakcji. Czuł, że musi wybłagać u niej przebaczenie. Zapewne go nie uzyska, ale nie może pominąć zajścia milczeniem. Przynajmniej niech lady Blanche zrozumie, że szczerze żałuje niemoralnego postępu.

- Lady Harrington, z całego serca chciałbym prosić panią o wybaczenie...

- Ależ milordzie! Jeśli ktoś zawinił, to ja. Nie powinno się składać niezapowiedzianych wizyt, to co najmniej niegrzeczne.

Poczerwieniał jeszcze bardziej.

- Niemniej jednak bardzo proszę o wybaczenie, że nie zauważyłem, kiedy powóz pani wjeżdżał na dziedziniec, i nie pośpieszyłem na powitanie, nawet nie wysłałem do drzwi służącego... - Zamilkł, mając nadzieję, że z jego zakamuflowanej wypowiedzi lady Harrington wyczyta żal za grzechy i szczerą postanowienie poprawy.

Uśmiechnęła się, choć w sposób wymuszony, co zresztą zrozumiała w tej sytuacji.

- Skoro przeprasza mnie pan za przeoczenie wjazdu mojego powozu, to ja ze swej strony przyjmuję pańskie przeprosiny, tym bardziej że nie spodziewałem się pan gości, jak sądzę. Nie czuję się wcale urażona, że służący nie otworzył mi drzwi. Zjawiłam się niespodziewanie, a to dlatego, że do tego przywykłam. W moim kręgu często składamy

sobie wizyty, nie posyłając wcześniej biletów wizytowych. Cóż, nie popisałam się. Moja wina. Na wsi zapewne bardziej przestrzegacie konwenansów.

Nie miał pojęcia, jak bardzo go potępia. Mógł tylko czuć ulgę, że stać ją było na taką wielkoduszość. Blanche Harrington była prawdziwą damą, a nie damulką, która by syczała, przesywała go wzrokiem, nie mogąc się doczekać, kiedy wróci do Londynu i zacznie na prawo i na lewo rozsiewać najświeższą plotkę.

Znów usłyszał jej słodki głos.

- Jakże w Kornwalii jest zimno! A my jesteśmy w drodze od wielu godzin. Clarence powinien napić konie. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu... _

- Och, przepraszam! Oczywiście.

Zauważył, że śliczny mały nosek Blanche poczerwieniał z zimna. Przywołał służących, kazał odprowadzić konie lady Harrington do stajni i zająć się jej ludźmi. Potem znów spojrzał na Blanche, już trochę spokojniejszy. Bo jednak w jakiś sposób udało im się rozwiązać trudną sytuację.

- Lady Harrington, serdecznie zapraszam do środka. Może napije się pani herbaty?

Wyraźnie ociągała się z odpowiedzią, wreszcie rzekła:

- Z Londynu jedzie tu się bardzo długo. Ja nie zmarłam, ale moja pokojówka zziębnięta jest na kość. Nie chciałabym sprawiać panu kłopotu, sir Reksie, ale nie ukrywam, że z przyjemnością napiłabym się herbaty. Moja pokojówka też.

- W takim razie zapraszam.

Wszedł do zamku pierwszy, przywołując służącego. Za nim weszła Blanche, za nią Meg.

W sieni pojawiła się... Anne. Gdzie, u diabła, podział się Fenwick?!

- Proszę przynieść herbatę i kanapki dla dwóch osób - polecił, starając się nie patrzeć na Blanche. - Zaprowadź też pokojówkę lady Harrington do kuchni, żeby mogła tam się ogrzać, coś zjeść i napić herbaty.

- Tak, milordzie. - Anne skinęła na Meg i ruszyły do zamkowej kuchni.

Rex kątem oka dostrzegł, że Blanche odprowadza Anne wzrokiem. Nie musiał patrzeć w kryształową kulę, by wiedzieć, że Blanche zastanawia się, jak silne więzy łączą go ze służącą. Pewnie też w jej pamięci ożyła niedawno widziana drastyczna scena.

Zauważyła, że Rex popatruje na nią. Zarumieniła się i szybko skierowała wzrok ku oknu.

- Nie spodziewałam się, że wybrzeże tutaj jest tak piękne.

- To prawda, ale jeśli zamierza pani się wybrać na przechadzkę po plaży, zalecam ostrożność. Przyływ nadchodzi błyskawicznie, co niejeden przyplącił kąpielą, a nawet życiem.

Spojrzała na niego, po czym znów umknęła wzrokiem.

- Będę o tym pamiętać, milordzie.

Wciąż po tym nieszczęsnym wydarzeniu byli bardzo skrupowani, tym bardziej że obecność Anne przypominała o nieposkromionych żądzach Reksa.

Jeśli lady Harrington potępiała go, ukrywała to starannie, uznał Rex. W rezultacie zdecydował, że

jeśli Blanche gardzi nim, to szybko wypije herbatę i odjedzie. Długość tej wizyty będzie probierzem jej stosunku do pana tego zamku.

- Najprzyjemniej chodzić po plaży na godzinę lub dwie przed północą - powiedział. Blanche w końcu zdobyła się na uśmiech.

- Na pewno przed powrotem do Londynu nie odmówię tego sobie. A pański zamek naprawdę jest bardzo piękny.

Ruszyła w stronę fotela, Rex podążył za nią.

- Dziękuję. Od kilku lat dźwigam z ruin nie tylko zamek, ale i cały majątek. Daje mi to zresztą wielką satysfakcję.

Usiedli. Miał wrażenie, że to jednak sen. Lady Harrington przybyła do Land's End, siedziała razem z nim w wielkiej sali zamkowej i swoją obecnością rozjaśniała wnętrze bardziej niż słońce. Śliczna, wytworna, delikatna, o duszy równie pięknej, jak fizyczna postać.

Najprawdziwsza dama, taka, co to nie jest zdolna do oszustwa czy zdrady. Czuł instynktownie, że lady Blanche można obdarzyć bezgranicznym zaufaniem.

Jego matka, siostra i bratowe od dawna kręciły nosem na jego stan kawalerski, ale cóż... Nie zadowolili się byle kim, a ta anielska istota, którą zachwyca się od lat, nie jest mu przeznaczona. To wielka dama, właścicielka ogromnej fortuny. Szybko znajdzie sobie męża może nawet zubożalego, ale z odpowiednim tytułem. Na pewno nie trzydziestoletniego szlachcica, harującego jak wół na skrawku ziemi, której dżentelmen o zdrowych zmysłach pozbyłby się błyskawicznie.

Odchrząknął.

- Czy wolno mi zapytać, dlaczego pani jedzie do Penthwaithe?

Wdzięcznym ruchem wygładziła fałdy jedwabnej popielatej sukni, wspaniale podkreślającej niezwykłą barwę oczu i włosów.

- Mówiąc szczerze, postanowiłam na jakiś czas uciec od kawalerów starających się o moją rękę. Moja przyjaciółka, lady Waverly, poradziła mi, żebym wybrała się do Penthwaithe.

- Przepraszam, milady, ale co ma pani wspólnego z Penthwaithe?

- To po prostu mój majątek.

- Dziwne, lecz o ile mi wiadomo, Penthwaithe należy do pewnego dżentelmena, który przedkłada miasto nad wieś. Posiadłość bardzo podupadła, nie wiem, czy w ogóle ktoś ją dzierżawi.

- Musi pan się mylić, milordzie. Właścicielem Penthwaithe był mój ojciec. Mam akt własności.

- Był? Mówi pani o ojcu w czasie przeszłym?!

- Tak. Ojciec zmarł. Nie wiedział pan o tym?

- Nie... - Wiedział natomiast, że była bardzo przywiązana do ojca, a on do niej. Musiała ciężko znosić żałobę.

- BI... lady Harrington, nie miałem pojęcia, że poniosła pani bolesną stratę. Bardzo pani współczuję. - Miał wielką ochotę jej dotknąć, nawet wziąć za rękę. Oczywiście, nie ośmielił się. Wpatrywała się w niego nieruchomym wzrokiem. W jej oczach nie zakręciła się ani jedna łza.

- Dziękuję. Ojciec zmarł na zapalenie płuc sześć miesięcy temu. Właśnie skończyłam żałobę.

Był zdumiony jej opanowaniem. Czyżby zdążyła w ciągu pół roku wylać wszystkie łzy i ochłonać z rozpaczy? Nie wierzył. Pewnie była z tych, co nie okazują uczuć przy innych, a płaczą nocami w poduszkę.

- Gdybym o tym wiedział, przyjechałbym do Londynu, żeby złożyć pani kondolencje.

Do sali weszła Anne, postawiła tacę na małym stolyczku i szybko wyszła.

- Pan pozwoli, sir Reksie, że ja naleję herbatę - powiedziała Blanche.

- Dziękuję, sam to zrobię.

Oczywiście zaproponowała to ze względu na jego kalectwo. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że nalewanie herbaty nie sprawia mu żadnego kłopotu. Poza tym nienawidził, kiedy ktoś się nad nim litował.

Wstał i zręcznie napełnił filiżanki. Spojrzał przy tym w okno i zauważył, że słońce zaczyna się chylić ku zachodowi. Niebo nad ciemniejącym wrzosowiskiem było purpurowe.

- Lady Harrington, od Penthwaithe dzieli panią co najmniej godzina drogi. Poza tym, szczerze mówiąc, dla mnie sprawa z tym majątkiem jest niejasna. Naturalnie mogę się mylić. W każdym razie wiem, że pani nie znajdzie tam odpowiednich warunków dla siebie.

Odstawiła filiżankę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie mam wyboru, sir Reksie.

Problem w tym, że po tym nieszczęsnym i ogromnie kłopotliwym incydencie ona zapewne nie skorzysta z zaproszenia, doszedł do wniosku Rex. Ma

o nim fatalne zdanie, bo prawdziwi dżentelmeni nie śpiąją ze służącymi. Tyle że wcale nie uważał się za dżentelmena, choć od małego szykowano go do tej roli.

- Znam pewne rozwiązanie, nie wiem tylko, czy przypadnie pani do gustu, lady Harrington.

- Proszę, niech pan mówi. Cała zamieniam się w słuch.

- W Bodenick, jak pani na pewno zauważyła, warunki są spartańskie, jednak mamy kilka pokoi gościnnych, a jeden z nich hrabina kazała dostosować do swoich potrzeb. Jeśli pani zechce, bardzo proszę go zająć. - Gdy jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia, dodał: - Znajdzie się też pokój dla pani pokojówki. Stangret i lokaj przenocują w skrzydle, gdzie są pokoje dla służby. - Z bijącym sercem czekał na odpowiedź.

- Dziękuję - powiedziała z miłym uśmiechem po chwili namysłu. - Chętnie skorzystam z pańskiej gościnności.

Pokój był bardzo ładny, cały w beżach, zieleni

1 złocistościach. W nogach łóżka ustawiono obitą brokatem sofkę zwróconą do kominka.

Łóżko przykryte było ciemnozieloną kapą, posadzka dwoma perskimi dywanami. Pod jedną z jasnożółtych ścian stała duża szafa z wiśniowego drewna, pod drugą sekretarzyk.

Był też szezlong obity aksamitem. Bez wątpienia hrabina osobiście wybrała meble do tego pokoju, dzięki czemu stworzyła miłe, przytulne wnętrze.

Sir Rex odchrząknął.

- Mam nadzieję, że pokój spodobał się pani.

- Och tak. Nie wiem, jak panu dziękować. Nadal była bardzo czujna, jednak po szokującym incydencie zdołała odzyskać spokój. Opanowanie, zdrowy rozsądek, to dla niej zawsze była podstawa, lecz po raz pierwszy w życiu te dwa istotne elementy częściowo straciły na znaczeniu. Bała się, że nagle, z byle powodu, całe jej opanowanie zniknie i przestanie myśleć racjonalnie. Dlatego zważała na każdy krok, każde słowo, nawet każdą myśl, starając się wyrzucić z pamięci to, co zdarzyło jej w tym zamku zobaczyć, kiedy po raz pierwszy przekroczyła próg.

- Cieszę się, że jest pani zadowolona, lady Harrington. Kolacja będzie podana o siódmej. Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę przysłać pokojówkę.

Uklonił się i odszedł. Kiedy oddalał się korytarzem, Blanche odczuła wielką ulgę. Niestety, Rex de Warenne wciąż zbijał ją z tropu. A te myśli, które przychodzą jej do głowy...

Sir . Rex... Mówią o nim, że ma wielki temperament... och...

- Meg! - zawołała do pokojówki, która ukazała się w progu. - Otwórz, proszę okno.

- Milady źle się czuje? - Rzuciła się do okna. - Dziś milady jest jakaś dziwna.

Blanche usiadła na sofce i przymknęła oczy. Pod powiekami natychmiast pojawił się sir Rex, taki jak podczas żenującej podpatrzonej przez nią sceny. Pochylony nad kobietą. Te cudowne, połyskujące mięśnie, tyle siły, namiętności...

Szybko uniosła powieki i zaczęła wachlować się dłonią, by ochłodzić rozpaloną twarz. Meg podała (ej szklanekę wody, co pomogło odzyskać choć trochę spokoju. Jednak tylko trochę.

- Meg, proszę, znajdź mój wachlarz. - Jak przebrnie przez wspólną kolację, jeśli nie zdoła wymazać z pamięci tej sceny?

Sir Rex... W jego oczach jest tyle smutku, a nawet udręki. Co jest jej przyczyną? Dlaczego mieszka na końcu świata i w biały dzień zbiera mu się na amory ze służącą? Dlaczego stroni od dam? Przecież wcale nie jest prostakiem. No i dlaczego jeszcze się nie ożenił?

- Milady ma gorączkę?

Spojrzała na zmartwioną pokojówkę i zastanowiła się nad sobą. Gardziła wścibstwem i plotkami, lecz oto pragnie zrozumieć postępowanie pana tego zaniku, wnikać w jego najtajniejsze sekrety.

Musiała o tym z kimś porozmawiać, potrzebowała powiernicy, a pod ręką miała tylko pokojówkę.

- Meg, zdradzę ci, dlaczego jestem zdenerwowana, jeśli przysięgniesz, że nikomu o tym nie powiesz. Nikomu!

- Przysięgam. Będę milczeć jak grób - odparła dumna jak paw, że milady obdarza ją tak wielkim zaufaniem.

- Kiedy weszłam do zamku, zastałam sir Reksa ze służącą w sytuacji bardzo... dyskretnej.

- Och!

- Jak myślisz, Meg, czy był z tą dziewczyną, bo ona mu się podoba?

- Nie wiem, milady.

Blanche wstała z kanapki i przeszła po pokoju parę kroków.

- Sir Rex wykazał się podczas wojny wielką odwagą. Jest dżentelmenem. Znam go od wielu lat. Ma nienaganne maniery, jest człowiekiem godnym największego szacunku. Nie dbam o głupie plotki, które krążą na jego temat, lecz to jego zachowanie dzisiejsze... To coś niebywałego. Co o tym sądzisz, Meg?

- Milady naprawdę chce, żebym powiedziała, co o tym myślę?

- Tak.

- Po prostu miał ochotę. Milady rozumie? Sir Rex mieszka na zupełnym odludziu, od wioski do zamku jechaliśmy godzinę! A z sir Reksa, jak to mówią, chłop na schwał, więc zabawia się z dziewczyną, którą ma pod ręką. Nie ta, to inna. Lordowie już tacy są, milady.

Wystarczy dopuścić pokojówkę do głosu i sprawa jasna, pomyślała Blanche. Sir Rex mieszka sam, na pustkowiu, a ma swoje męskie potrzeby. Dziś zabawia się z Anne, jutro weźmie inną dziewczynę. Wcale nie chodzi o uczucie, tylko o namiętność.

Namiętność... Blanche czuła, jak zdradliwe ciepło zakrada się do jej policzków.

Bess regularnie zakochuje się i odkochuje. Mówi o miłości, lecz sama przyznaje, że z prawdziwą miłością nie ma to nic wspólnego. Ten przemarsz mężczyzn przez jej życie to przemarsz mężczyzn, którzy budzą w niej pożądliwość. W towarzystwie porywy namiętności są na porządku dziennym. Sir Rex nie jest wyjątkiem, a pod ręką ma tylko służącą. Czyli nad czym tu się zastanawiać?

- Może rozpakuję rzeczy? Którą suknię włoży milady do kolacji?

- Szarą, z tafty. Odprasuj ją, Meg.

- Tak, milady.

Po zdjęciu żałobnej czerni Blanche ubierała się na szaro. Jakoś nie wydawało jej się stosowne, żeby chodziła kolorowa niczym paw.

Kiedy Meg zaczęła wyjmować ubrania z kufra, podeszła do okna. Spojrzała w dół, na ocean, teraz jasnoszary. Ciągnie się aż po horyzont, pomyślała, a przed samym zamkiem spienione fale uderzają z pasją o skały albo wylewają się na jasną plażę zasłaną czarnymi głazami.

Wszystko tu jest wspaniałe, surowe. Tak odległe od reszty świata jak pan tego zamku. I ona, zwykle błyszcząca na salonach, teraz z dala od wszystkiego i wszystkich. Czy sir Rex czuł to samo, kiedy wyglądał przez okno? Czy to możliwe, mieszkając tak daleko od ludzi, nie być dojmująco samotnym? Nie wydawać się sobie wygnańcem?

Sir Rex nie był dżentelmenem w każdym calu,

o czym świadczył żenujący incydent, ale na pewno zasługiwał na coś więcej niż na samotną egzystencję w Kornwalii. Jej też należało się od życia coś więcej niż tylko fortuna

Harringtonów. Uwielbiała jego rodzinę, pewnie również dlatego z całego serca życzyła mu jak najlepiej. Nie miała cienia wątpliwości, że pewnego dnia ożeni się z damą i przestanie preferować służące. Będzie dobrym, życzliwym i lojalnym mężem, jak wszyscy mężczyźni z rodu de Warenne'ow.

On potrzebuje żony, ona potrzebuje męża... Ale nie! Do niej zupełnie nie pasował. Różnili się jak

dzień od nocy. Poza tym wyczuwała, że w mrocznej duszy sir Reksa kryje się mnóstwo tajemnic. A jego temperament? Dla tak delikatnej istoty jak ona na pewno jest zbyt przytłaczający. Dziwne, że w ogóle połączyła siebie w myślach z tym człowiekiem. Chociaż...

- Meg, zmieniłam zdanie. Włożę jedwabną suknię, tę zieloną, i szmaragdy.

Rozdział czwarty

Najmował tylko dwoje służących. Z natury był oszczędny, a ponieważ możliwości oszczędzania były ograniczone, więc przynajmniej obywał się bez licznej służby. Teraz jednak żałował, że w zamku nie ma kucharza z prawdziwego zdarzenia. Chciał, żeby kolacja była naprawdę wytworna. Tymczasem gotowała Anne, a Fenwick miał wcielić się i w lokaja, i w kamerdynera, i w majordomusa. Ten sam Fenwick, który został wysłany do wioski po sprawunki i dlatego nie mógł otworzyć gościowi drzwi. Właśnie dlatego lady Harrington zastała pana zamku in flagranti ze służącą.

Reksowi zwykle było wszystko jedno, co podadzą na stół. Nie miał zwyczaju zaglądać do kuchni, teraz jednak tam zawitał.

Poczuł zapach pieczonego jagnięcia.

- Anne!

Spódnice zafurkotały, służąca zwróciła ku niemu

twarz zarumienioną od pośpiechu i żaru bijącego od pieca.

- Czy wszystko idzie gładko?

- Tak, milordzie.

- A gdzie Fenwick?

- Posłałam go do wioski po ciasto.

Godzina tam, godzina z powrotem. Nie wiadomo, czy Fenwick zdąży na czas, by zająć się podawaniem do stołu.

- O której wróci?

- Mówił, że koło ósmej.

Czyli wygląda na to, że Anne będzie się krzątać wokół stołu, kiedy on będzie konwersował z lady Harrington. Trudno wyobrazić sobie bardziej niezręczną sytuację. Było tak, jakby jedno niesłychanie krępujące wydarzenie pociągało za sobą drugie. Chociaż wydarzyło się też coś pozytywnego. Lady Harrington zdecydowała się skorzystać z jego gościnności i zanocować w zamku Bodenick, a wieczorem razem zasiądą do stołu. Daj Boże, żeby od tej chwili wszystko poszło jak po maśle. Tak bardzo chciał sprawić na niej jak najlepsze wrażenie!

- Anne, podasz każde danie na stół, a my obsłużymy się sami - zdecydował sir Rex.

Do kuchni weszła Meg i oznajmiła:

- Lady Harrington zeszła już do wielkiej sali. Drżącą ze zdenerwowania ręką sir Rex poprawił

fular. O mały włos, a włożyłby frak, co byłoby absurdem. Zdecydował się na ciemnobrązowy krótki surdut, jasne spodnie i srebrzystą kamizelkę. Miał nadzieję, że przynajmniej prezentuje się bez zarzutu. Wszedł do sali zamkowej i aż potknął się z wrażenia na widok Blanche. Stała przy oknie zapatrzona w granatowe niebo usiane gwiazdami. Miała na sobie suknię w kolorze ciemnej, soczystej zieleni, z dużym dekoltem i krótkimi rękawkami z szyfonu. Jasne wijące się włosy były upięte wysoko. Wyglądała czarująco i delikatnie. Od momentu poznania uważał ją za skończoną piękność, ale bez żadnych zdronnych myśli. Teraz jednak, kiedy znaleźli się sami, zapragnął porwać ją w ramiona i przyłgnąć ustami do jej warg. Naturalnie tak nigdy się nie stanie.

- Dobry wieczór, lady Harrington. - Zgiął się w ukłonie. - Odpoczęła pani po podróży?

- Tak, nawet się zdrzemnęłam. Przepraszam, chyba zjawiłam się za wcześnie. Pańscy goście jeszcze nie przyjechali.

- Nie spodziewam się gości.

- A ja byłam pewna, że... Och, nieważne. Przepraszam.

Rex uśmiechnął się niewesoło. Wyglądało na to, że lady Harrington wcale nie zachwyciła kolacja we dwoje. - Nie znam dobrze moich sąsiadów.

- Czyżby? Przecież mieszka pan w tych stronach od wielu lat.

- Mieszkam sam. Nie ma pani tego zamku, dlatego nie przyjmuję gości, a więc i sam nie bywam - powiedział, częściowo mijając się z prawdą. Stronił od towarzystwa, ponieważ gardził rozmową o wszystkim i niczym, poza tym nie znosił, kiedy cudze żony okazywały mu przychylność.

Uśmiech powrócił na twarz Blanche.

- Przepraszam, sir Reksie. Po prostu przypuszczałam, że zaprosi pan sąsiadów, ale tak jest chyba lepiej, prawda? Jest pan jedynym z de Warenne'ów, którego prawie nie znam. Będzie sposobność, by to nadrobić.

- Mam nadzieję, że nie zanudzę pani.

- Pan, sir Reksie? O ile pamiętam, zawsze konwersowało mi się z panem bardzo interesująco.

Przede wszystkim bardzo krótko, ale o tym wolał nie przypominać.

- Napije się pani sherry? Może wina?

- Nie, dziękuję.

Oparł kulę o stoliczek na kółkach, nalał sobie kieliszek czerwonego wina, znów spojrzał na Blanche i napotkał jej wzrok. Przyglądała mu się. Dlaczego? - zaniepokoił się. Czyżby w jego wyglądzie było coś nie w porządku?

Znów poczuł się skrępowany, pełen obaw co do wspólnej kolacji.

- Jak czuje się pani w moim zamku? Ma pani wystarczające wygody?

- Nie mogę się na nic skarżyć, wręcz przeciwnie. Pokój urządzony przez pańską matkę jest wyjątkowo ładny i wygodny. Sir Reksie, w tej sali zauważyłam na ścianie broń.

- Używałem jej podczas wojny. Nie podoba się pani. - Widać to było po niej, bez dwóch zdań.

- Och, nie zamierzam krytykować tego, jak pan ozdabia swoje ściany.

- Lady Harrington, jestem pewien, że nawet najbardziej leniwy służący nie usłyszy od pani słowa krytyki, a co dopiero osoba, której składa pani wizytę. Jestem jednak ciekaw, dlaczego pani nie podoba się moja broń.

- Oczywiście nie byłam na wojnie, ale wiele o niej słyszałam, dlatego wspieram finansowo stowarzyszenie dobroczynne, które zajmuje się zapewnieniem dachu nad głową i udzielaniem pomocy weteranom nieradzącym sobie w życiu po opuszczeniu armii.

- Stowarzyszenie Patriotyczne?

- Tak.

Ta organizacja była prawdziwym błogosławieństwem dla żołnierzy okaleczonych podczas wojny. Podziw Reksa dla lady Harrington, choć i tak ogromny, jeszcze wzrósł.

Uśmiechnęła się. - Z moim ojcem zawarliśmy partnerski układ. On zarządzał rodzinnym majątkiem, a ja dysponowałam funduszami przeznaczonymi na cele charytatywne.

- Dlatego razi panią broń umieszczona na widoku. Bo przypomina o wojnie, która zniszczyła tyle istnień ludzkich. Czy tak, milady?

- Właśnie, sir Reksie. W przeciwieństwie do wielu dam, nie widzę w wojnie żadnego romantyzmu.

- Ma pani całkowitą rację.

- Kiedy patrzyłam na tę broń, czułam smutek, a pan przecież spogląda na nią codziennie.

Wspomnienia z nią związane na pewno są... bolesne, prawda?

- Byłem dowódcą, wydawałem rozkazy, a żołnierze, którzy je wykonywali, ginęli. -

Powiedział to

oschłym głosem, ale zaraz uśmiechnął się i zwekslował rozmowę na inny temat. Jagnię miało smak tektury. Blanche, dokonując heroicznego wysiłku, zmusiła się do opróżnienia talerza do połowy. Poza tym starała się przede wszystkim zachować wewnętrzny spokój, co nie było łatwe, ponieważ ilekroć podniosła wzrok, napotykała spojrzenie sir Reksa. Bardzo męskie, a nawet zuchwałe. Żałowała, że nie zaprosił na kolację jeszcze kilku osób, bo nieoczekiwane tete-a-tete w sumie obcych sobie ludzi było krępujące, zwłaszcza po tym nieszczęsnym incydencie.

Naturalnie rozmawiali. Uprzejmie, trochę sztywno, ale konwersacja toczyła się dość gładko, co dla niej graniczyło z cudem.

W pewnej chwili sir Rex powiedział:

- Zastanawiałem się nad Penthwaithe, lady Harrington. Co pani zrobi, jeśli zostanie pani ten posiadłość w takim stanie, w jakim sądzę, że się znajduje?

- Mam nadzieję, że jest pan w błędzie, lecz jeśli to ja się mylę, podejmę kroki w celu poprawienia kondycji majątku.

Zauważyła, że niczego nie tknął, natomiast opróżnił prawie całą butelkę wina, gdy ona upiła zaledwie łyczek.

Rozpowiadano, że sir Rex nadużywa mocnych trunków. Traktowała te plotki jak niesłuszne oskarżenia i wcale nie zamierzała zmieniać zdania. Gdyby sir Rex wlewał w siebie trunki bez opamiętania, nie byłby w stanie tak ciężko pracować.

- Lady Harrington, czy pozwoli pani, że będę jej towarzyszył do Penthwaithe?

Przypuszczam, że moja asysta może się pani przydać.

Zaskoczył ją i wystraszył. Owszem, miał rację, jego pomoc może okazać się nieodzowna, nie wyobrażała sobie jednak, żeby w tym stanie ducha mogła usiąść w powozie obok sir Reksa i jechać z nim aż do Penthwaithe. Przecież już podczas kolacji nie czuła się komfortowo. Naturalnie kłopotu by nie było, gdyby sir Rex tak jej się nie przyglądał i gdyby w końcu udało jej się zapomnieć, że widziała go ze służącą. Niestety, ta scena wryła jej się w pamięć, a w zamkniętej przestrzeni powozu, kiedy usiądą blisko siebie, będzie ją miała przed oczami bez przerwy.

- Nie chciałabym odrywać pana od zajęć.

- Mogą poczekać, a ja naprawdę jestem zaniepokojony. Jako przyjaciel rodziny czuję się zobowiązany towarzyszyć pani.

Blanche musiała się poddać. Dalsze upieranie się przy swoim byłoby po prostu niegrzeczne.

- Naturalnie, bardzo proszę. Jeśli ma pan ochotę, proszę jechać ze mną.

Talerze zebrał ze stołu służący, którego przedtem nie widziała. Podał deser, lecz Blanche nie była w stanie niczego więcej przełknąć. Sir Rex od razu odsunął od siebie talerz.

- Ma pani wielu kandydatów do swojej ręki? Zaskoczył ją tym pytaniem, dlatego odparła dopiero po chwili:

- Dwustu dwudziestu ośmiu.

- Pani raczy żartować! - W swym zdumieniu wyglądał komicznie.

- Gdybyż to był żart... Imponująca liczba, nieprawdaż?
- Wstrząsająca. Wyróżniła już pani kogoś? Nie wiedzieć czemu, serce jej mocniej zabiło.
- Nie.
- Jestem pewien, że w końcu pojawi się ktoś odpowiedni - stwierdził sir Rex i z bladym uśmiechem podniósł do ust kieliszek.

Blanche poszła do siebie około dziewiątej, zostawiając sir Reksa przy stole, i od razu położyła się spać. Przed zaśnięciem trochę jeszcze rozmyślała, zastanawiając się, czy sir Rex, jak głoszą plotki, będzie do późnych godzin wlewał w siebie trunki. Trwało to jednak chwilę, bo zmęczenie wzięło górę. Jeszcze tylko na moment pod powiekami pojawiła się tamta żenująca scena, po czym Blanche zapadła w niebyt. Spała, o dziwo, wyjątkowo dobrze.

Śniadanie zjadła sama. Powiedziano jej, że sir Rex poszedł do stajni. Nic dziwnego, skoro wybierali się do Penthwaithe.

Wyjechali przed jedenastą. Wcześniejsze obawy okazały się niepotrzebne, sir Rex bowiem wcale nie wsiadł do powozu. Jechał wierzchem na pięknym, ogromnym koniu. Złożona kula wisiała na haczyku przy siodle, brak jednej łydki rekompensował szpicrutą. Blanche była zdumiona, że człowiek z nogą uciętą do połowy jest tak znakomitym jeźdźcem. Z drugiej strony, wiedziała jednak że każdy kawalerzysta, zanim rozpocznie służbę, przechodzi twardą szkołę jazdy.

Czuła nieprzyjemne wstrząsy. Główny trakt też nie był w idealnym stanie, ale to było nic w porównaniu z tym gościńcem. Dziura na dziurze, kamień na kamieniu. Prawdziwe wyzwanie dla stangreta.

Wreszcie na horyzoncie pojawiło się kilka budynków. Kiedy podjechali bliżej, okazało się, że są to jedynie żalosne szczątki. Blanche zrozumiała, że sir Rex miał rację. Penthwaithe popadło w ruinę, niemożliwe więc, żeby wywczasy spędziła w takich warunkach. Fatalnie, przecież nie miała ochoty wracać do Londynu, by znów stawić czoło hordzie zalotników.

- Widać dwór! - zawołał sir Rex, wstrzymując konia. - Tam, przed nami.

Blanche wystawiła głowę na zewnątrz. Powóz podjeżdżał do niewielkiego kwadratowego domu ozdobionego sztukateriami. Nie było żadnych drzew czy żywopłotów, murów nie oplatał bluszcz, mała fontanna przed domem wyglądała żałośnie, z pyszczką obłupanej ryby nie tryskała woda. W pewnej odległości stał nieduży budynek, prawdopodobnie stajnia, kawałek dalej pasło się kilka owiec. Na podwórzu pojawiły się dwie wychudzone krowy, za nimi szło dwóch bosych chłopców w za krótkich, wystrzępionych spodniach. Jeden niósł wiadro, drugi kosz. Weszli do domu.

Blanche zyskała pewność, że posiadłość Penthwaithe została w skandaliczny sposób zaniedbana. Kontrast z Land's End był ogromny.

Wysiadła z powozu. Na podwórzu było okropnie brudno, wszędzie leżały odchody zwierząt. Blanche skrzywiła się. Trudno jej było uwierzyć, że ojciec dopuścił do tego, by majątek podupadł. Zawsze

bardzo wszystkiego pilnował i regularnie objeżdżał posiadłości Harringtonów.

Sir Rex zeskoczył z wierzchowca. Spojrzał w lewo, w prawo i oznajmił stanowczym głosem:

- Nie może tu się pani zatrzymać, lady Harrington. W żadnym wypadku.

- Naturalnie, że nie. Jest tu strasznie. Jak mogło dojść do takiego zaniedbania?

- Lenistwo i niechlujstwo. Gdybym miał takich dzierżawców, nie zagrzaliby u mnie długo miejsca. Lady Harrington, ma pani za sobą męczącą podróż z Londynu. Proszę zostać w Land's End tak długo, jak pani zechce.

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do drzwi i zapukał. Po chwili w progu ukazała się kobieta karmiąca dziecko. Na ich widok odstawiła dziecko od piersi i zapięła bluzkę.

- To jest lady Harrington - powiedział sir Rex. - Ja jestem sir Rex de Warenne z Land's End i Bodenick. Gdzie jest twój mąż?

- Może być w stajni, milordzie, albo w polu. Orze.

- Zawołaj go. Chcę z nim porozmawiać. Kobieta krzyknęła w głąb domu:

- James! Biegnij szybko po ojca! Powiedz, że państwo przyjechali. Pośpiesz się!

Jeden z chłopców pognał przez podwórze. Blanche podeszła do drzwi i dyskretnie zajrzała do środka. Wyglądało tam tak, jakby nie sprzątno od lat i niczego nie naprawiano. W podłodze brakowało klepek, farba odpadała od ścian. Pusto, tylko kilka zniszczonych sprzętów.

Zauważyła dzieci, które nieśmiało wyglądały zza spódnicy matki. Dwie dziewczynki, jedna bardzo mała, nie mogła mieć więcej niż rok a drugi z chłopców, których widziała przed chwilą, był może ośmioletni.

Blanche podjęła decyzję. Ta uboga rodzina potrzebuje pomocy. Koniecznie trzeba coś zrobić.

- Milordzie, milady! - Wysoki, chudy mężczyzna, mnąc w rękę czapkę, złożył uniżony ukłon.

- Kim jesteście? - spytał sir Rex.

- Jack Johnson, milordzie. Dzierżawca.

- Jestem sir Rex de Warenne, a to jest lady Blanche Harrington.

- Witam milady i milorda. Proszę do środka. Bess, zrób herbatę.

- Nie trzeba. Bardzo dziękujemy za herbatę - powiedziała stanowczym tonem Blanche. Nie chciała, żeby ubodzy ludzie z jej powodu uszczuplali skromne zapasy. - Zamierzałam tylko obejrzeć gospodarstwo.

Dzierżawca zaczął nerwowo skubać kołnierzyk.

- Chcą państwo kupić tę ziemię?

- Kupić? Ależ skąd. Mój ojciec zmarł, panie Johnson. Jestem jego spadkobierczynią, dlatego zainteresowałam się stanem posiadłości.

- Hm... przepraszam, ale nie rozumiem.

- Czego pan nie rozumie, panie Johnson?

- Ta ziemia od wielu lat należy do lorda Bury'ego. To młody człowiek, kawaler. Czy to on zmarł?

Blanche czuła, jak cała w środku tężeje.

- Panie Johnson, nie miałam przyjemności po-

znać lorda Bury'ego, wiem tylko, że majątek należy do Harringtonów, co wynika z dokumentu, który niedawno odnaleźli moi prawnicy.

- Jak to, milady? Lord Bury był tutaj trzy miesiące temu po czynsz za dzierżawę. Odziedziczył Penthwaithe po swoim ojcu sześć, może siedem lat temu. Sprzedał milady Penthwaithe? Nie wiedziałem o tym.

- Lady Harrington - odezwał się półgłosem sir Rex - Czy dokument, który pani oglądała, był na pewno aktem własności?

Potrząsnęła bezradnie głową. Boże, co za fatalne nieporozumienie! Czy jej ojciec mógł być właścicielem tego majątku, skoro lord Bury odbierał czynsz trzy miesiące temu? A ojciec nie żył od pół roku...

Nagle zaczęło coś jej świtać. Kiedy odnaleziono akt własności, prawnik był bardzo zaskoczony. Pracował dla Harringtonów od wielu lat i nigdy nie słyszał o Penthwaithe.

Wtedy Bess, obecna przy rozmowie, zauważyła, że przecież takie komplikacje czasami się zdarzają. Coś ginie i nagle się odnajduje. Perorowała, a w jej oczach widać było dziwne błyski.

Czyżby to sprawa drogiej przyjaciółki? Niewykluczone. Bess bardzo interesował stosunek Blanche do sir Reksa, spytała wręcz, czy chciałaby, żeby starał się o jej rękę. Blanche zaprzeczyła, ale wiadomo, jak bardzo uparta jest Bess. Jak osioł. Sir Rex w Londynie prawie nie bywa, spreparowała więc dokument, żeby wysłać Blanche do Kornwalii, parę mil od Land's End!

- Czy zaczyna pani wierzyć, że to pomyłka? - spytał cicho sir Rex.

Blanche udało się uśmiechnąć. Oczywiście nie zamierzała niczego prostować. Ciekawe, pomyślała, czy gdyby sir Rex, dowiedział się, że to nie pomyłka, lecz intryga najdroższej przyjaciółki, uśmiełby się do łez?

Raczej nie. A ona powinna się śmiać. Bo cóż jej pozostało?

- Lady Harrington!

- Och, przepraszam. Zastanawiałam się właśnie. Ma pan rację, że z tym aktem własności sprawa jest niejasna.

- Z tego, co mówi Johnson, wynika, że Penthwaithe od lat jest w posiadaniu Burych. Lady Harrington, pani jest zdenerwowana...

- Trochę tak, przyznaję.

Cóż za pomysł! Blanche Harrington i sir Rex de Werenne? Droga Bess chyba straciła rozum!

Rozdział piąty

Zaskoczona swoim odkryciem Blanche na moment zapomniała o obecności dzierżawcy, który był wyraźnie zdenerwowany.

- Proszę się nie niepokoić, panie Johnson - powiedziała, wracając do rzeczywistości. - To jakaś pomyłka. Wszystko wskazuje na to, że nie jestem właścicielką Penthwaithe.

- Chwała Bogu... - Odetchnął z ulgą. - Proszę mnie zrozumieć, milady, bardzo chcę tu zostać, mam przecież rodzinę, którą muszę[^] wykarmić. Jest ciężko, ale bardzo się staram. Gdyby milady spotkała się z lordem Buryem, błagam, niech pani mu powie, że pracuję z całych sił.

- Niestety, jak wspomniałam, nie miałam sposobności poznać lorda Bury'ego, ale postaram się go odnaleźć w Londynie i wstawię się za panem, przede wszystkim ze względu na pańską liczną rodzinę.

- Naprawdę milady raczy to zrobić?

- Chętnie panu pomogę, proszę mi wierzyć. Pożegnali się. Sir Rex wziął Blanche za ramię i podprowadził ją do powozu.

- Jak się pani czuje? Wciąż zdenerwowana?

- Och, nie... Raczej przejęta. - Potrząsnęła bezradnie głową. - Kiedy widzę ubogich ludzi w potrzebie, nigdy nie czuję się dobrze.

- Niestety, większość dzierżawców w tej parafii klepie biedę.

- To okropne... Chciałabym pojechać do wioski, zakupić wiktuały dla tych biedaków. Wierzę panu Johnsonowi. Na pewno się stara. Stanie na nogi, jeśli wyciągnie się do niego pomocną dłoń. Lord Bury raczej mu jej nie podaje, tylko zabiera ostatnie pensy jako czynsz.

- Niestety, tacy już są właściciele ziemscy, lady Harrington.

- Nie wszyscy. A czy pan, milordzie, w tej sytuacji nie poczekałby z czynszem?

- Owszem, lecz ja kieruję się innymi zasadami niż większość właścicieli ziemskich. Odkładam rozliczenia do czasu, gdy majątek zaczyna prosperować i dzierżawca bez problemu może płacić czynsz. W sumie korzystne dla obu stron, prawda? Wydaje mi się, lady Harrington, że na pewne sprawy patrzymy podobnie. Pani jest bardzo wrażliwa na los biedaków, mnie też nie jest on obojętny. W naszej parafii, jak zresztą w całej Kornwalii, jest mnóstwo biedy. Dobroczynność to tylko półśrodek, tym ludziom trzeba dać pracę, żeby mieli zapewnione źródło utrzymania i mogli sensownie planować przyszłość i swoją, i swoich dzieci.

Blanche słuchała go z wielką uwagą. Sir Rex, jak się okazało, miał dobre serce i dostrzegał ludzką niedolę. Znała mnóstwo osób szlachetnie urodzonych całkowicie nieczułych na sytuację tych, których los potraktował po macoszemu.

- Pani jest inna niż większość dam, próżnych, zajętych tylko błahostkami.

- Och, może troszkę pan przesadził. - Wcale nie miała zamiaru potępiać w czambuł wszystkich londyńskich dam.

- Rozumiem. Jest pani bardzo lojalna wobec znajomych i przyjaciół.

- Tak, a przynajmniej się staram. Spojrzenie sir Reksa było zaskakująco ciepłe.

- Jeszcze jedna z pani licznych zalet, lady Harrington. Ma pani wielkie serce: Chodzi nie tylko o Johnsona, także o weteranów...

- Dziękuję. Jest pan nadzwyczaj miły, aż za bardzo.

- Nie sądzę. Lady Harrington, jeśli pani pozwoli, chciałbym partycypować w tych zakupach dla Johnsonów.

- Ależ nie ma takiej potrzeby. To ja w przedziwny sposób zostałam wplątana w ich sprawy, nie pan. Poradzę sobie sama.

Uśmiech sir Reksa znikł, jakby zrozumiał, w czym rzecz. Nie chciała, by wydawał pieniądze na cudzych dzierżawców.

- Naprawdę chciałbym mieć w tym swój wkład - powiedział stanowczo. - Fenwick obwiezie nas po sklepach, zdążymy wrócić do Bodenick na późny lunch.

Skinęła głową, zadając sobie w duchu pytanie, czy sir Rex, choć jego propozycja na pewno wynikała z potrzeby serca, nie chce jej się przypodobać w taki właśnie sposób. Bo w inny na

pewno nie. Zachowywał się wobec niej bardzo naturalnie, wcale jej nie nadskakiwał, nie próbował flirtować. Ciekawe, że ona, stała bywalczyni salonów, przyzwyczajona do pochlebstw i flirtowania, była z tego zadowolona.

Kiedy szła za sir Reksem do powozu, pozwoliła sobie zerknąć na jego wyrazisty profil. Ten mężczyzna naprawdę zaczynał ją intrygować. Miał swoje wady. Samotnik, podobno pił za dużo. Jednak miał też mnóstwo zalet. Był prawy, uczciwy, bardzo inteligentny. Wcale nie marnował życia na odludziu. Przeciwnie, stawiał sobie wyzwania i starał się im sprostać. Podczas ich rzadkich spotkań odnosiła wrażenie, że to człowiek nietuzinkowy. Teraz uświadomiła sobie, że sir Rex po prostu zawsze jej się podobał. Może właśnie dzięki sile charakteru? Może zawsze wyczuwała, że jest to człowiek, na którym można polegać? Do Land's End wrócili po trzeciej. Blanche wchodziła do zamku zadowolona z zakupów dla Johnsona i jego rodziny. Sir Rex sfinansował połowę, nie było sposobu, żeby mu to wyperswadować. W rezultacie był to powód do nowych rozmyślań, na temat sir Reksa oczywiście. Jego osoba teraz całkowicie zaprzętała jej myśli, im bliżej go poznawała, tym stawał się bardziej intrygujący. Na

szczęście czas robił swoje i wspomnienie o żenującym incydencie powoli bladło. Owszem, wciąż się pojawiało, ale z mniejszą już siłą... choć wciąż nie miała.

Z zamku wybiegła Meg, za nią, krokiem wolniejszym, podążała Anne. Meg była rozpromieniona, Anne spojrzała na Blanche krzywo.

Postanowiła tym się nie przejmować.

- Czy milady spędziła przyjemnie dzień? - pytała Meg. - Czy milady zjadła lunch, który był zapakowany do koszyka? Czy smakował?

- To był niezwykły dzień, Meg - odparła Blanche. - Wyobraź sobie, że nie jedziemy do Penthwaith. Lunchu nie jedliśmy, nie było czasu...

- Zjemy teraz - odezwał się sir Rex, który właśnie skończył wydawać polecenia stangretowi.

- Anne, weź koszyk z lunchem, wypakuj wszystko. Lady Blanche na pewno jest głodna.

Zaraz siądziemy do stołu.

Czyli do wykazu zalet sir Reksa należy dopisać troskliwość, pomyślała, jednak perspektywą wspólnego posiłku nie była zachwycona. Kolacja okazała się wystarczająco krępująca, a zważywszy na jej rosnące zainteresowanie osobą sir Reksa, rozsądniej byłoby unikać sam na sam w czterech ścianach.

- Jest tak pięknie. Może zjemy na zewnątrz, sir Reksie?

- Nie będzie pani za chłodno? Cały dzień spędziła pani na dworze.

Westchnęła cicho. Sir Rex zawsze taki uprzejmy. Dżentelmen w każdym calu... gdyby nie ten nieszczęsny romans ze służącą!

- Kocham rześkie powietrze - oświadczyła.

- W takim razie nie widzę przeszkód. Anne, przynieś lady Harrington ciepły szal. Wziął Blanche pod rękę i poprowadził wokół zamku, za wieżę, skąd roztaczał się przepiękny widok na ocean. Podobno widać było stąd Amerykę, w każdym razie wiele osób tak twierdzi, jak z uśmiechem oznajmił sir Rex. Rozum temu przeczył, a jednak Blanche uwierzyła. Atlantyk był szary jak stal, lecz iskrzył również złotem, wabił, kusił... Gdy zaś popuścić wodze fantazji, można i Amerykę zobaczyć za bezkresną wodą.

- Och... - szepnęła cicho.

- Właśnie przepływa ławica ryb.

Sir Rex stanął tuż za nią. Gdy poczuła na karku jego oddech, serce przyspieszyło rytm. Dlaczego? Ta reakcja była dla niej całkowicie niezrozumiała, a także krępująca. Odsunęła się na bezpieczną odległość i spojrzała na zamkowe ogrody w jesiennej szacie.

W tym czasie Meg rozłożyła na ziemi pled, Anne otworzyła kosz. Sir Rex polecił przynieść butelkę białego wina i dwa kieliszki.

- W lecie musi być tu bardzo pięknie - powiedziała Blanche.

- Powinna pani znów tu przyjechać, żeby się o tym przekonać - odparł z uśmiechem.

Wstyd, prawdziwy wstyd, że sir Rex używa tego uśmiechu tak rzadko, uznała Blanche.

Gdyby spędzał więcej czasu w Londynie, dawno by go już usidliła jakaś piękna młoda dama. Jego majątek może i nie był imponujący, ale sir Rex miał wiele

zalet. I tyle uroku! Tak, to naprawdę bardzo dziwne, że sir Rex jeszcze nie jest żonaty.

Czy Bess naprawdę chce ich wyswatać?

Zerknęła na wyrazisty profil, niestety, zamiast profilu przed oczyma pojawił się obraz zapamiętany z wczoraj - oczywiście podzwonne żenującego incydentu. Wspaniały, nagi, lśniący tors. W Blanche zaczęło narastać dziwne napięcie. Szybko odwróciła wzrok i patrząc na puste rabaty, zaczęła się zastanawiać, co ona by zasadziła, gdyby mieszkała w Land's End. Na pewno bzy. I to w pierwszej kolejności.

Nagle poczuła na sobie wzrok sir Reksa. Podniosła głowę. Spojrzenie ciemnych oczu było całkiem inne niż zwykle. Bardzo- śmiałe, takie... nieskończenie męskie.

Blanche poczuła się kompletnie wytrącona z równowagi. Szybkim krokiem podeszła do koca i usiadła, a uczyniła to bez zwykłego wdzięku i zręczności. Piknik okazał się złym pomysłem, nie było już jednak możliwości cokolwiek zmienić.

Co mogło oznaczać to jego spojrzenie, takie bezpośrednie, intensywne?

Och, popatrzył normalnie, tylko ona wyobraża sobie Bóg wie co!

A Bess jest podłą intrygantką.

- Lady Harrington? - Sir Rex usiadł na kocu, po czym podał Blanche talerz z sałatką i płatem kurczaka na zimno.

Niestety, swobodne przetykanie okazało się dla Blanche zadaniem nadzwyczaj trudnym, ponieważ sir Rex rozsiadł się na kocu bardzo blisko. W rezultacie było to o wiele bardziej intymne niż siedzenie naprzeciwko siebie za stołem. Mimo to Blanche udało się w miarę swobodnie rozpocząć rozmowę towarzyską.

- Słyszałam, że hrabiostwo będą w maju obchodzić rocznicę ślubu.
 - Tak... - Zamilkł na moment, ponieważ pojawiła się Anne z winem. Sir Rex napełnił kieliszki. - Będzie to rodzinna uroczystość. Oczekuję jej z wielką niecierpliwością.
 - Pańscy rodzice po tylu latach nadal są w sobie wpatrzeni.
 - Łączy ich głębokie uczucie. Mama była wdową, a ojciec wdowcem, kiedy się poznali. Pobrali się z miłości.
- Patrząc na sir Reksa, nie mogła powstrzymać się od pewnej refleksji. Nie po raz pierwszy zresztą. Wszyscy dorośli członkowie rodziny de Warenne'ów tworzą szczęśliwe stadła, tylko sir Rex jest kłującym w oczy wyjątkiem. Dlaczego?
- Małżeństwa z miłości są w pańskiej rodzinie regułą.
 - Owszem.
 - Teraz kolej na pana, sir Reksie. - Niestety, nie zdążyła ugryźć się w język. Spojrzał gdzieś w bok, po czym powiedział cicho:
 - Miłość... Czy pani jest romantyczką, lady Harrington?
 - Skądże! Zresztą, nigdy nie byłam zakochana. Jeśli wyjdę za mąż, to tylko ze względów majątkowych, inaczej mówiąc, z rozsądku.

- Małżeństwo samo w sobie jest rozsądnym rozwiązaniem. Nie rozumiem jednak, dlaczego pani, wybierając męża, ma kierować się względami majątkowymi.

- Chodzi o zarządzanie moimi dobrami. Od miesiąca plenipotenci i prawnicy ojca usiłują wtajemniczyć mnie w sprawy finansowe, niestety, bezskutecznie. Z mojego punktu widzenia to czarna magia. Może dlatego, że nie mam zdolności matematycznych. Potrafię tylko rozdysponować fundusze na cele charytatywne, ponieważ bardzo mnie interesuje taka działalność, nie sądzę jednak, bym kiedykolwiek pojęła, co to inwestycja, a co księgi rachunkowe.

- W takim razie... - Powoli dopił wino. - Moim zdaniem, myśli pani rozsądnie. Wicehrabia Harrington powszechnie uważany był za niedościgły wzór. Mam przyjaciół, którzy skrupulatnie śledzili jego poczynania i próbowali go naśladować, by odnieść sukces. Tak olbrzymią fortuną, którą pani dziedziczy, powinien zarządzać ktoś, kto naprawdę się na tym zna.

Czyli ktoś taki jak on... Niestety, tej refleksji też nie udało się uniknąć. Sir Rex jest pracowity, staranny, inteligentny, o szerokich horyzontach...

- Czym będzie się pani kierować, podejmując decyzję? Jakie są pani kryteria?

- Trudno precyzyjnie to wyrazić. Po prostu zastanawiam się, popatruję na ludzi, słucham rad przyjaciółek.

- Lady Waverly i...? Przepraszam, nie pamiętam nazwiska tej ciemnowłosej damy.

- Lady Felicia Dagwood. Felicia niedawno wyszła za mąż.

- Co więc radzą przyjaciółki? Czy są świadome, że tych dwustu dwudziestu ośmiu zalotników to zwyczajni nicponie?

- Nicponie? Drobną poprawka. Nie nicponie, a dwustu dwudziestu ośmiu łowców posagów.

Na jego twarzy pojawiła się ulga.

- Chwała Bogu, jest pani osobą rozsądną. Cóż więc radzą przyjaciółki? Jak w tym tłumie wyszuka pani męża?

- Przede wszystkim oczekują, że wybiorę kawalera młodego i przystojnego.

- Chyba nie posłucha pani ich rady! Mam nadzieję, że zachowa pani rozsądek, kiedy jakieś ladaco będzie szeptać o miłości aż po grób.

- Nie dam się omamić, to pewne.

- Musi być pani bardzo ostrożna, żeby nie natrafić na lekkoducha, który roztrwoni pani majątek, a potem zniknie.

- Jestem tego świadoma. A może pan udzieliłby mi jakieś rady?

- Ja? No cóż... Powinna pani zarzucić się gdzie indziej. Wśród tych dwustu iluś nicponi na pewno nie ma dżentelmena, jakiego pani szuka. Po prostu nie należy do tego grona. Może być to człowiek niżej urodzony od pani.

Nalał sobie wina i wychylił kieliszek do dna. Miała wrażenie, że jest troszkę zły. Dlaczego? Blanche pomyślała, że tej nocy chyba już nie zaśnie. Dochodziła północ.

Stała przy oknie. Na ciemnym niebie świeciły gwiazdy, w dole migotał ocean na przemian srebrzysty i czarny. Jego szum wcale jej nie uspokajał. Chłodne powietrze nie chłodziło rozpalonej twarzy. Tyle się wydarzyło od chwili przyjazdu do zamku Bodenick! Minęło zaledwie półtora dnia, a ona miała wrażenie, jakby była tu już co najmniej przez rok. I to poczucie zagrożenia. Jakby stała nad urwiskiem. Jeden nieostrożny krok i spadnie w przepaść.

Dlaczego? Ponieważ jej serce, dotychczas zawsze bijące równym rytmem, odkąd przybyła do Land's End, zachowuje się inaczej. Czyż nie marzyła o dniu, kiedy wreszcie zacznie odczuwać coś więcej niż tylko błogi spokój?

Owszem, marzyła, ale jednocześnie była pewna, że nigdy do tego nie dojdzie. Tymczasem stało się. Sir Rex przewrócił jej świat do góry nogami, sprawił, że przestała już stąpać po ziemi tak pewnie.

A może lepiej czasami pomylić krok?

Sir Rex... Sir Rex jako mąż... Gdyby, biorąc pod uwagę jego temperament, mieli osobne sypialnie, może byłby to słuszny wybór. Na pewno uczciwie i starannie zarządzałyby jej fortuną. Poza tym wydaje się, że lubią przebywać w swoim towarzystwie, może więc z czasem nawiązałyby przyjaźń. Blanche знаła kilka całkiem udanych małżeństw, które opierały się właśnie na przyjaźni. Owszem, miała pewne zastrzeżenia. Sir Rex rzeczywiście za bardzo gustuje w trunkach. Nie podobała jej się też broń zawieszona na ścianie. Na pewno coś się z tym łączyło, jakieś nieszczęście, które prześladowuje go do dziś. Natomiast jego

samotniczą naturę mogłaby tolerować. Mógłby przyjeżdżać do Londynu, kiedy tylko by zechciał. Biorąc pod uwagę jego temperament, najlepiej jak najrzadziej.

Poza tym koniecznie osobne sypialnie. Sir Rex bez wątpienia potrzebuje kobiety namiętnej, a ona jest jej zaprzeczeniem. Co prawda, gdyby mieli osobne sypialnie, sir Rex mógłby zapragnąć kochanki. Blanche potraktowałaby to obojętnie. Przecież z natury jest obojętna, czyż nie?

Boże wielki, spieszyła się, naprawdę zaczyna się zastanawiać nad kandydaturą sir Reksa, a nawet nie wie, czy w ogóle planował kiedykolwiek się ożenić. Może jest zaprzysięgłym starym kawalerem? Nasunęło się następne pytanie: jak zareaguje na jej oświadczyny?

Przecież może ją odtrącić.

A jeśli nie? Co wtedy?

Będzie jej mężem... A ona bardzo chciała mieć dzieci...

Nagi, połyskujący tors. Ekstaza na twarzy sir Reksa. Ten obraz tak często stawał przed oczami. Czyżby w końcu zaczęła reagować na mężczyznę?

W obecności sir Reksa jej serce przyspieszało rytm, z całym ciałem działo się coś niebywałego. Chodzi o to dziwne napięcie, mrowienie... Co by poczuła, gdyby sir Rex jej dotknął?

Już samo rozmyślanie o tym działało na nią piorunująco. Znów to napięcie i mrowienie, krew napływająca do policzków. Och, nie miałaby nic przeciwko temu, żeby wziął ją za rękę. A nawet... pocałował w usta.

Zaskoczona tym odkryciem, Blanche aż usiadła.

Miała prawie dwadzieścia osiem lat. Po raz pierwszy w życiu mężczyzna zaprzętał jej myśli do tego stopnia. Także po raz pierwszy w życiu zapragnęła pocałunku.

Czyżby go pożądała? Tylko nie to! Pociąg fizyczny nie jest dobrą podwaliną małżeństwa. A poza tym...

Poza tym w głowie miała kompletny chaos i była bardzo zmęczona. Powinna spać, ale jak, skoro nie może zasnąć?

Jest na to sposób. Łyczek brandy. .

Otworzyła szafę i wyjęła popielatą suknię, którą nosiła tego dnia. Przecież nie będzie biegać po zamku sir Reksa w peniuarze!

Ubrała się i na palcach wyszła na korytarz. Cisza jak makiem zasiał. Zeszła na dół, do wielkiej sali. Ogień dogasał w kamiennym kominku, świece tkwiące w dwóch kinkietach rzuciły rozedrgane cienie na ściany.

Na stoliczku stało kilka karafek. Blanche wzięła tę, w której, jej zdaniem, musiała być brandy, napęliła kieliszek... i uświadomiła sobie, że nie jest sama.

Na sofie siedział sir Rex, nieruchomo, jakby spał, jednak ciemnobrązowe oczy były szeroko otwarte. Spojrzenie skierował prosto na nią.

Blanche zastygła, chociaż serce biło jej w piersi jak szalone.

Wyprostował się, schylił po kulę. Był bez surduta i kamizelki. Koszula z cieniutkiego płótna rozpięta była aż do pępka, ukazując nagi tors. Tors Dawida wyrzeźbionego przez Michała Anioła.

Wstał.

- Lady Harrington?

- Ja... Przepraszam... Pan zapewne myśli teraz, że popijam po kryjomu.

- Wcale nie. Pani drży. Źle się pani czuje?

- Po prostu nie mogę zasnąć, dlatego zeszłam na łyeczek brandy.

Nie odrywając od niej oczu, zaczął zapinać koszulę. Zrobił to, ale tylko do połowy. Na piersiach koszula pozostała rozpięta.

- Proszę się częstować, lady Harrington. Pozwolę sobie tylko zauważyć, że to, co pani sobie naląła, to portwajn.

- Och! Nie zauważyłam.

- Wobec tego ja naleję.

Podszedł bliżej, Blanche czuła, jak owiewa ją zapach wody kolońskiej: woń oceanu zmieszana z zapachami szlachetnego drewna i cytrusa.

Kiedy podawał jej kieliszek, mogłaby przysiąc, że jego spojrzenie na moment spoczęło na jej ustach.

- Proszę.

- Dziękuję.

- Może chciałaby pani porozmawiać o tym, co nie pozwala pani zasnąć?

Milczała. Ona, tak biegła w rozmowach towarzyskich. W niczym nie pomagał fakt, że przed chwilą zastanawiała się, czy sir Rex nie byłby odpowiednim kandydatem na męża, bo w jego obecności nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Pomyślała, że w tej sytuacji

najlepiej byłoby się wycofać. Co okazało się niemożliwe, bo pantofelki jakby przykleiły się do posadzki.

- W świetle tych świec wygląda pani tak niewinnie jak piętnastoletnia panienka - powiedział cicho.

Pomyślała, że właściwie tak jest. Jest niewinna, niedoświadczona i bojaźliwa jak młodziutka panienka, a przecież niebawem skończy dwadzieścia osiem lat.

I to wreszcie udało jej się powiedzieć na głos.

- Niebawem skończę dwadzieścia osiem lat. Nagle przez głowę przemknęła jej zuchwała myśl. Sir Rex jest rozluźniony i nadzwyczaj rozmowny, może więc podpytać go o sprawy małżeńskie? Dlaczego wciąż nie ma żony?

Zaraz jednak przez głowę przemknęła kolejna myśl, tym razem zatrważająca. Jest północ, sir Rex zapewne czeka na kochankę.

Policzki Blanche oblały się szkarłatem.

- Och, przepraszam, nie chciałam panu przeszkadzać. Już wychodzę!

- Ależ dlaczego? Proszę zostać! W niczym mi pani nie przeszkadza. - Chwycił ją za rękę, skutkiem czego nagle stanęła z nim twarzą w twarz. - Pani nie może spać, ja też. Pobądźmy więc razem, dobrze? - zaproponował.

Co robić? Ucieczkę nakazywał zdrowy rozsądek, ponieważ sir Rex stawał się dla niej zbyt pociągający. Ponadto wolałaby czuć się w jego towarzystwie swobodniejsza, ale jak na jej gust duszę sir Rex miał zdecydowanie zbyt mroczną.

Niemniej nadal stała jak wrośnięta w podłogę. Trwało to dłuższą chwilę, aż wreszcie spytała ostrożnie:

- Często cierpi pan na bezsenność?

- To zależy. - Po jego twarzy przemknął uśmiech.

A raczej uśmieszek. Blanche natychmiast pomyślała o Anne. Przecież to oczywiste! Gdyby nie wizyta lady Harrington, sir Rex teraz by się zabawiał ze służącą.

- Pan wybaczy, ale naprawdę muszę wracać do siebie.

- Nie! - Gdy zamarła, dodał ciszej: - Proszę.

- Bardzo mi miło w pani towarzystwie - dokończył jeszcze ciszej, posyłając jej miękkie spojrzenie spod czarnych rzęs.

Czyżby sir Rex był pijany?!

- Mnie też bardzo miło w pańskim towarzystwie.

- Starła się, żeby zabrzmiało to możliwie naj-swobodniej. - Cieszę się z pobytu w Land's End. Wyznam szczerze, że zazdroszczę panu posiadania tego miejsca.

- Zazdrości mi pani Land's End?

- Tak. Bo tu rzeczywiście jest koniec świata. W moim domu nie mam żadnej prywatności, a tu człowiek jest sam, może nacieszyć się sobą.

- Chciałaby pani zostać tu dłużej?

- Och— Nie wiem. Wolałabym się panu nie narzucać.

- Nawet jeśli chcę, żeby pani mi się narzucała?

- Patrzył jej prosto w oczy. - Nawet jeśli wyznam, że samotność tutaj nie zawsze jest pociągająca? - zakończył gorzko.

Zaskoczyło ją to wyznanie, choć przeczuwała, że samotność wcale nie jest dla niego taka słodka. Tym

majątkiem obdarowano go za męstwo na wojnie, tylko dlatego tu się znalazł.

Natomiast Londynu unika z własnej, nieprzymuszonej woli.

I dlaczego się jeszcze nie ożenił?

- Blanche... - Znów ją zdumiał, bo to z kolei zabrzmiało łagodnie. Milczała jednak. - Zdaję sobie sprawę, że tutejsze warunki są bardzo skromne, a pani jest przyzwyczajona do wygód. Proszę powiedzieć, czego pani potrzeba, a poruszę niebo i ziemię, by panią zadowolić.

Gotów spełniać wszystkie jej zachcianki! Nieprawdopodobne!

- Ależ mam tu wszelkie wygody! - zawołała, zaskoczona, że stać ją na tak gwałtowną reakcję. - Bardzo podoba mi się Land's End. Pokochałam już to miejsce i rzeczywiście z wielką chęcią zostałabym trochę dłużej. - W tym momencie podjęła śmiałą decyzję. A co tam! Skoro sir Rex jest taki łagodny, zapyta go wprost, dlaczego nie jest żonaty.

- Proszę zostać tak długo, jak pani zechce. A teraz... teraz też proszę nie odchodzić. Czuję, że ma pani ochotę stąd uciec. Dlaczego?

- Nigdy jeszcze nie konwersowałam z dżentelmenem w ten sposób, i nigdy o tej porze. To jest takie... intymne.

- Intymne? - Spojrzał na nią spod półprzymkniętych powiek.

Zaśmiała się nerwowo.

- Pan wie, że zawsze przestrzegam wszelkich konwenansów.

- To dlaczego pani nie uciekła z Land's End po tym, jak zastała mnie w sytuacji, która ukazała mnie w najgorszym świetle? W sytuacji urągającej wszelkim konwenansom?

- Ma pan pełne prawo do swoich... spraw prywatnych. Sir Reksie, przepraszam, czy pan dużo dziś wypił?

- Tak. Jestem absolutnie urżnięty.

To tłumaczyłoby jego dziwne spojrzenia. Nie wiedziała jednak, dlaczego wlewa w siebie tyle mocnego trunku.

- I co? - spytał po chwili. - I nic? Żadnego cmokania z dezaprobata, nalegania, żebym się położył?

- Nie. Poznał mnie pan już wystarczająco, by wiedzieć, że nie potrafię być złośliwa czy nieuprzejma. Staram się nikogo nie osądzać. Ma pan pełne prawo do swojego życia, w tym i do romansów, tym bardziej że w przeciwieństwie do wielu innych dżentelmenów nie zdrada pan swojej małżonki.

Zdawała sobie sprawę, że jest czerwona jak piwonia.

Oczy sir Reksa rozbłyły.

- Chodziło mi o moje upodobanie do wina i whisky.

- Cóż, wolno panu posiedzieć wieczorem nad kieliszkiem, skoro taka pana wola.

- Niemożliwe... A więc nie potępia pani ani mojego pijaństwa, ani moich romansów, choć wie pani doskonale, że zupełnie nie jestem zaangażowany uczuciowo.

Jego szczerość była porażająca. Blanche nie wiedziała, co powiedzieć.

- Nie zamierzam za nic pana potępiać - szepnęła tylko.

Wpatrywał się w nią nieskończenie długo, wreszcie stwierdził:

- Mam dziwne przeczucie, że chce mnie pani o coś spytać.

Nieprawdopodobne, żeby ktoś pijany wykazywał się taką intuicją, pomyślała Blanche.

- Może i tak... ale moje pytanie jest bardzo śmiałe. Nie chciałabym być impertynencka.

Chyba lepiej, żebym poszła do swojego pokoju.

Co nie było możliwe, ponieważ znów złapał ją za rękę.

- Jeszcze nie. Zaintrygowała mnie pani. Proszę, niech się pani nie krępuje i pyta. Może mnie pani zapytać o wszystko - dodał miękko. - Północ, jesteśmy sami, możemy wyznać najbardziej skryte myśli i pragnienia.

- Więc dobrze... Dlaczego pan nie jest jeszcze żonaty?

- O to chciała mnie pani zapytać?

- Tak.

- Chyba nietrudno się domyślić.

- Ja nie potrafię. Więc dlaczego?

- Dlatego, że mężczyźni z rodu de Warenne'ów żenią się tylko z miłości. A ja też jestem de Warenne.

Rozdział szósty

Zaskoczyło ją to wyznanie, okazało się bowiem, że sir Rex wcale nie okazał się kłującym w oczy wyjątkiem. Podobnie jak pozostali mężczyźni z rodu de Warenne'ow jest romantykiem. Nie ożenił się, bo czeka na miłość.

- Wygląda pani na zdumioną. Posłała mu promienny uśmiech.

- Bo jestem. Nigdy bym nie przypuszczała, że jest pan tak samo romantyczny jak pozostali de Warenne'owie.

- Czy powinienem czuć się urażony?

- Ależ nie! Absolutnie nie o to mi chodziło.

- Lady Harrington, jestem zdziwiony i zaskoczony pani pytaniem.

- Nie ma w tym nic zaskakującego, sir Reksie. Niedawno rozmawiałam z pańską matką i Lizzie o tym, że trwa pan uporczywie w kawalerskim

stanie. Martwią się o pana, bardzo by chciały widzieć pana w otoczeniu własnej rodziny.

- Pani też jest tego zdania?

- Czyż można mieć inne? Myślę, że niebawem, idąc za przykładem pozostałych de Warenne'ow, ożeni się pan z miłości i będzie bardzo szczęśliwy.

- Miłość... - powtórzył posepnie. - Co tam miłość! Zdecydowanie ceni się ją za wysoko.

- Przecież przed chwilą powiedział pan...

- Bo jestem pijany, milady. Może w rewanżu odpowie mi pani na pewne pytanie? Pani też uważa, że powinienem się ożenić. Dlaczego? Proszę podać mi choć jeden ważny powód - zażądał napastliwym tonem.

Blanche miała wrażenie, jakby stawali do walki. Usiadła na krześle i oświadczyła słabym głosem:

- Każdemu lepiej się żyje w otoczeniu rodziny.

- Czyli powinienem się ożenić, nieważne z kim, nawet z jakąś sekutnicą?

- Ależ skąd. Jest pan romantykiem, musi pan poczekać, aż znajdzie pan swoją miłość.

- A może... kiedyś już ją znalazłem? - powiedział cierpko, po czym dodał agresywnie: -

Miłość ceni się absurdalnie wysoko! - Chwycił kulę i ruszył do drzwi.

Blanche ze ściśniętym sercem odprowadzała go wzrokiem. To straszne! Sir Rex ma złamane serce, a to wszystko tłumaczy.

Nagle przystanął i zapytał:

- A tak naprawdę co nie pozwalało pani zasnąć?

- Och, miałam sen - powiedziała Blanche, zdezorientowana nagłą zmianą nastroju. - Obudziłam się i nie mogłam już zasnąć. - Jej policzki płonęły. Nie umiała kłamać. Oczywiście ją przejrzał, o czym świadczył drwiący uśmiezek.

- Sen? A o kim pani śniła?

- Sir Reksie!

- Lady Harrington, jest pani prawdziwą damą, czyli kimś unikalnym w naszej socjocie, ale jak każdy śmiertelnik ma pani swoje marzenia i sny. Ciekawe, o kim pani śniła...

Podszedł bliżej. Wcale nie wyglądał na pijanego, choć niewątpliwie był, skoro postawił jej takie pytanie. Co gorsza, spojrzenie ciemnych oczu było tak intensywne, że Blanche zaczynało brakować powietrza.

- Sir Reksie, czuję się bardzo niezręcznie.

- Nie dziwię się. Jestem gburem, na dodatek pijanym. Jeśli kiedykolwiek darzyła mnie pani szacunkiem, na pewno zmieniła pani zdanie.

- Nie, sir Reksie. Zawsze pana szanowałam, i to się nie zmieniło. Podziwiam pańską pracowitość i pomysłowość. Nigdy bym się nie spodziewała, że zobaczę tu tak znakomicie zarządzany i zadbany majątek. Pomógł mi pan też w Penthwaithe. Jest pan wielkodusznym, szlachetnym człowiekiem.

- Który zabawia się ze służącą.

- Sir Reksie, to naprawdę nie moja sprawa. - Zaczerwieniła się. - Nigdy zresztą bym się o tym nie dowiedziała, gdyby nie przypadkowa wizyta. Większej gafy nie mogłam popełnić.

- Lady Harrington, co mam zrobić, żeby choć w ułamku odzyskać pani szacunek?

Nie, to już było ponad jej siły. Czuła, jak jej oczy wilgotnieją, co było dodatkowym zaskoczeniem. Przecież, na Boga, nigdy nie płacze!

- Wciąż darzę pana szacunkiem. Nie znam szczegółów z pańskiego życia, wydaje mi się jednak, że podczas wojny spotkało pana wielkie nieszczęście. Nie chodzi o ból fizyczny. Cierpi pańska dusza i z tej przyczyny sięga pan po trunek albo po... służącą. - Milczał, tylko wpatrywał się w nią. - Sir Reksie, jeśli wolno coś zasugerować, radziłabym tę broń zdjąć ze ściany. Podejrzewam, że pan świadomie torturuje się jej widokiem. Podczas wojny wydarzyło się coś, o czym pan nie może zapomnieć. Tej wojny, podczas której okazał się pan prawdziwym bohaterem...

- Nie jestem żadnym bohaterem! - przerwał jej chrapliwym głosem.

- Jak to? Przecież wszyscy wiedzą, że uratował pan życie drugiego syna księcia Clarewooda...

- Gdyby miało się to zdarzyć po raz drugi, na pewno bym go tam zostawił, żeby zdechł jak pies! - Sir Rex podniósł się i odwrócił, by odejść.

Zrobił to jednak zbyt gwałtownie i stracił równowagę. Blanche podbiegła i chwyciła go za ramię. W rezultacie oboje wpadli na ścianę.

Blanche znalazła się w objęciach sir Reksa. Lęk znikł, teraz doznawała całej gamy nieznanych odczuć. Nigdy dotąd nie przebywała w męskich ramionach. Była wprost otulona potężnym sir Reksem. Utonęła w nim, odczuwając bardzo namacalnie, że jej, w porównaniu z tą masą, jest bardzo niewiele. Mała, bezbronna... i bardzo kobieca.

Ostrożnie podniosła głowę. Sir Reks wpatrywał się w jej usta.

Rex de Warenne, który ponoć odznaczał się niebywałym temperamentem, miał zamiar ją pocałować.

Czyż nie marzyła o tym?

Strach, pragnienie i podekscytowanie stopiły się w jedno, drżała jak liść, ale sir Rex... wcale nie nachylił się; nie przycisnął swoich ust do jej warg. Nie obdarzył jej pocałunkiem, tylko bardzo mrocznym spojrzeniem, po czym cofnął się o krok.

Blanche wparła się mocniej w ścianę, kolana uginały się pod nią.

- Nie należy wchodzić do jaskini lwa - odezwał się sir Rex chrapliwym głosem.

Trwało chwilę, zanim zdołała wykrztusić:

- Zeszłam na dół, żeby czegoś się napić. Nie spodziewałam się, że zastanę tu pana...

- Tak jak wczoraj nie spodziewała się pani zastać mnie w moim gabinecie. Sama pani pcha się w paszczę lwa! - Aż dyszał z gniewu.

Cóż, miał do tego prawo. Zadawała mu intymne pytania, wymądrzała się.

Czy jednak nie za bardzo się złościł?

- Przepraszam. - Odwróciła się, zamierzając skryć się w bezpiecznym miejscu, czyli w czterech ścianach swojej sypialni.

Niestety, zastąpił jej drogę.

- Chwileczkę... bo jedno nie daje mi spokoju. Powiedziałem pani niemało, niechże pani mi też coś wyzna. Czy istotnie to któryś z tych młodych nicponi nie pozwalał pani zasnąć?

Gustuje pani

w hulakach i dandysach, czy pani ideał mężczyzny jest inny? Jakiego w końcu kawalera chce pani poślubić?

Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie odzywał się do niej w taki sposób, czuła jednak, że gniew sir Reksa spotęgowany jest przez pożądanie. Jego słynny temperament doszedł do głosu, a skoro tak, to może mu teraz oznajmić, że właśnie się zastanawia, czy nie wziąć go pod uwagę jako przyszłego męża.

Z tym że sypialnie będą mieli osobne.

- Zapewniam pana, że z całą pewnością podejmę rozsądną decyzję, sir Reksie.

- Uczucie się nie liczy?

- Tylko rozsądek.

- Tylko? Przecież pani zasługuje na coś więcej. Jestem pijany, dlatego powiem szczerze, co myślę. Zasługuje pani na człowieka uczciwego i prawego, który będzie panią podziwiał, szanował, troszczył się o panią. Człowieka, który będzie panią kochał.

Jakież to było... obraźliwe! Krzyknęła cicho, on jednak podniósł rękę i pogłaskał ją po policzku.

- Zasługuje pani na mężczyznę, który sprawi, że serce pani zabije szybciej i będzie pani płakać z rozkoszy.

Blanche zabrakło powietrza. Sir Rex opuścił rękę.

- Życzę pani powodzenia w poszukiwaniach swojego ideału mężczyzny - zakończył zadziwiająco oschłym tonem i postukując kulą, niespiesznie ruszył korytarzem.

Omam jej nie pocałował.

Blanche wpatrywała się w zimną już herbatę. Siedziała przy stole, odtwarzając w pamięci wszystkie szczegóły wczorajszego wieczoru. Sir Rex był pijany i bezwstydnym. Był też bardzo męski i śmiały. Jednak ten sam bezwstydnym sir Rex ma złamane serce. Prześladowają go wspomnienia związane z wojną, ponadto uważa, że zasłużyła na męski podziw, szacunek i namiętność, i tego powinna oczekiwać od przyszłego małżonka. Zasługuje na mężczyznę, który sprawi, że jej serce zabije szybciej i będzie płakać z rozkoszy...

Nic dziwnego, że była bardzo zdenerwowana.

Owszem, współczuła sir Reksowi z całego serca. Była pewna, że przeżył jakąś tragedię. A wczoraj wieczorem przez cały czas posyłał jej te płonące spojrzenia. Omal jej nie pocałował! Niestety, dzięki zawartości butelki uznał lady Harrington za kobietę godną pożądania. Czyli wcale jej sobie nie upodobał.

Prawdę mówiąc, też go chciała pocałować. Ona! I to nie tylko z czystej ciekawości.

Nigdy nie zapomni tej króciutkiej chwili, którą spędziła w jego ramionach. Zaskoczona, wylękniona, a jednocześnie podekscytowana. Czyli wreszcie stało się to, co uważała za niemożliwe. Budziła się w niej kobieta, i to za sprawą mężczyzny o trudnym charakterze, z balastem mrocznych przeżyć. Człowieka, który budzi w niej lęk. Stanowczo powinna go skreślić z listy kandydatów na towarzysza życia.

Co by się jednak stało, gdyby ją pocałował? Co się

stanie, jeśli ów pocałunek nastąpi? Czy po nim... będzie coś więcej?

Och, lepiej się nad tym nie zastanawiać, tylko wyjechać stąd jak najprędzej, zanim dojdzie do jeszcze większych poufałości, może nawet do sytuacji bez wyjścia. Po powrocie do Londynu sporządzi nową listę kandydatów na męża, poszuka człowieka wartościowego, zainteresowanego nie tylko jej majątkiem.

Przed wyjazdem warto jeszcze tylko skłonić sir Reksa, żeby zdjął tę broń ze ściany. Może uda mu się wtedy zapomnieć o wojnie, o demonach, które prześladują go do dziś.

Również o złamanym sercu.

De Warenne zakochuje się tylko raz i na zawsze. Tak powiedziała Lizzie, a Blanche jej wierzyła. Znała tę rodzinę od lat. Kiedy zwróciła Tyrellowi słowo, widziała, jak jego miłość do Lizzie rozkwitła. I kwitnie do dziś. Znała wstrząsającą opowieść o tym, jak Sean O'Neill porwał Eleanor sprzed ołtarza. Kochali się nadal. A przed dwoma laty Cliff de Warenne, jedna z najlepszych partii w Londynie, także jeden z najbardziej zatwardziały kawalerów, ożenił się z córką pirata. Devlin O'Neill, służąc we flocie Jego Królewskiej Mości, przeciwstawił się admiralicji i uprowadził Virginie, żeby zemścić się na swoim wrogu. Teraz Devlin i Virginia obchodzili w Paryżu dziewiątą rocznicę małżeństwa. I wciąż się uwielbiali. No i byli jeszcze hrabia i hrabina.

Sir Rex prawdopodobnie ma swój ideał kobiety, co więcej, los go zetknął z jego ucieleśnieniem, nie skończyło się to jednak szczęśliwie. Zrozumiała, dlaczego jest tak pochłonięty pracą. W dzień zagłusza demony przeszłości, w nocy zastępuje ją butelka.

Nagle w sali zamkowej pojawił się cień. Blanche nie musiała podnosić głowy, by wiedzieć, że to sir Rex. Krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach, bo pamięć podsunęła nieodległe wspomnienia.

Ostrożnie podniosła wzrok z nadzieją, że rumieniec na twarzy wygląda naturalnie.

Sir Rex wyglądał świeżo, nikt by się nie domyślił, że jeszcze niedawno był pijany.

- Dzień dobry, lady Harrington - powitał ją niezbyt pewnym głosem. - Nie ukrywam, że jestem zaskoczony pani widokiem.

Był wyraźnie skruszony, Blanche natomiast nie życzyła sobie rozdierania szat z powodu wczorajszego wieczoru.

- Dzień dobry! - odezwała się z miłym uśmiechem. - Piękny ranek, prawda?

- Nie zauważyłem - odparł ponuro. Czyli jednak zamierza się kajać, pomyślała.

- Lady Harrington, nie po raz pierwszy proszę o wybaczenie. Znów zachowałem się nagannie...

- Sir Reksie, czy nalać panu herbaty?

- Sądziłem, że pani wyjechała. Okazuje się, że pani tu jeszcze jest, ale widziałem, jak stangret zaprzęga konie. Lady Harrington, wczoraj zachowałem się zuchwale, pewnie nigdy nie słyszała pani bardziej grubiańskich uwag niż te, które padły z moich ust.

- Przykro mi, że tak ocenia pan naszą szczerą rozmowę - oznajmiła stanowczo. - Naganne było

to, że o dziwnej porze zjawiłam się w sali i zakłóciłam panu spokój. To pański zamek, może pan po kolacji wypoczywać gdzie chce i jak chce.

- Jest pani moim gościem. Miała pani pełne prawo dołączyć do mnie. Przecież zapraszałem panią, żeby została w Bodenick.

- Proszę, nie rozpamiętujemy wczorajszego wieczoru. Po prostu porozmawialiśmy szczerze. Uważam, że było to odświeżające. Z moją przyjaciółką Bess często rozprawiamy na różne tematy. Bess jest bardzo szczerą, czasami aż boleśnie...

- Tyle że ja nie jestem Bess.

- Osoby zaprzyjaźnione zwykle są wobec siebie szczerze. Na tym między innymi polega przyjaźń, prawda? _

- Uważa mnie pani za przyjaciela?

- Naturalnie, zważywszy na naszą długoletnią znajomość, poza tym mieliśmy okazję poznać się bliżej.

- Jest pani nadzwyczaj wielkoduszna.

- Och, nie byłabym tego taka pewna. - Jednak spodobała się jej ta pochwała.

- Kiedy to święta prawda. - Wyraźnie się rozluźnił. - Dziękuję, lady Harrington. Czyli rozstajemy się na pokojowej stopie?

- Naturalnie. - Rozstajemy się... Spojrzała w ciemne, nieprzeniknione oczy sir Reksa i uświadomiła sobie, że wcale nie ma ochoty opuścić zamku. Dziś na pewno nie. Może jutro? Pojutrze?

- Chciałby pan, żebym już wyjechała? Och, przepraszam, zdaję sobie sprawę, że nadużyłam pańskiej gościnności, proszę wybaczyć.

- To ja przepraszam - odparł speszony. - Kiedy zobaczyłem powóz, byłem pewien, że szykuje się pani do odjazdu.

- Wybieram się do Lanhadron po buty dla dzieci Johnsona. Zauważył pan przecież, że te biedactwa chodzą na bosaka. Szczerze mówiąc, nie myślałam jeszcze o powrocie do Londynu. Muszę wyznać, że nie czuję się gotowa do stawienia czoła tej hordzie zalotników.

- Och, jakże żałowała, że nie potrafi trzepotać rzesami ani rzucać powłóczyстых spojrzeń. Gotowa była zrobić wszystko, byle tylko sir Rex jej uległ.

A mimo to uległ.

- Z wielką radością będę gościć panią. Proszę zostać tak długo, jak będzie pani miała ochotę. W południe mam z kimś się spotkać w wiosce. Gdyby pani zechciała poczekać godzinę, będę pani towarzyszyć do Lanhadron.

Rozdział siódmy

Sir Rex do Lanhadron, podobnie jak do Penthwaithe, pojechał wierzchem, galopując obok powozu. Potem poszedł na zebranie w kościele, a Blanche po sprawunki. Przez blisko dwie godziny chodziła po wiosce, nie większej niż dwie londyńskie ulice. Nawet kupiła sobie nowy kapelusz w pasmanterii, gdzie nawiązała miłą znajomość.

Kiedy przymierzała kapelusz, zauważyła pełne ciekawości spojrzenia młodej damy, a gdy już dokonała zakupu, usłyszała nieśmiały głos:

- Milady... - Pulchna brunetka dygnęła, okrągłe policzki zarumienione były z przejęcia. -

Proszę wybaczyć moją śmiałość, ale usłyszałam, że bawi pani z wizytą w Land's End.

- Istotnie. Jestem bliską znajomą rodziny de Warenne'ow. Lady Blanche Harrington.

- Margaret Farrow. - Znow dygnęła. - Mój mąż i ja jesteśmy sąsiadami sir de Warenne'a.

- O, to bardzo miło - szczerze powiedziała Blanche. Pani Farrow sprawiała na niej jak najlepsze wrażenie. Skromna młoda osoba, wcale nie wyfiokowana, o dobrych manierach.

- Mieszkamy zaledwie pół godziny drogi od zamku, dlatego, proszę wybaczyć, postanowiłam podejść do pani i się przedstawić.

- Czyli, jak rozumiem, znacie się państwo dobrze z sir Reksem.

- Niestety, nie.

- Oczywiście wiem, że sir Rex niezbyt lubi bywać, ale jesteście przecież państwo jego najbliższymi sąsiadami.

- Nie byliśmy z wizytą w zamku. Kilkakrotnie zapraszaliśmy sir Reksa do nas, do Torrence Hall, lecz nigdy nie skorzystał, czego żałujemy, bo darzymy go wielkim szacunkiem. Sir

Rex znany jest z obywatelskiej postawy, bardzo dużo zrobił zarówno dla mieszkańców, jak i naszej parafii.

Blanche nie wierzyła własnym uszom. Sir Rex nigdy nie zaprosił do siebie najbliższych sąsiadów, nigdy też nie przyjął ich zaproszenia. Niewybaczalne! A jednak czuła się w obowiązku stanąć w jego obronie.

- Sir Rex nie ma żony, dlatego nie bywa. Sam mi to wyznał. Zmieni się to, kiedy się ożeni, co zapewne uczyni. Przypuszczam, że gdy państwo posyłałicie mu zaproszenia, bawił w tym czasie w Londynie.

Margaret uśmiechnęła się nieśmiało.

- Prawdopodobnie tak. Mojemu mężowi i mnie byłoby bardzo miło, gdybyśmy nawiązali z sir

Reksem stosunki towarzyskie. My też, jak sir Rex, jesteśmy właścicielami kopalni. Mój mąż i sir Rex mają więc wspólne sprawy, jak na przykład dzisiejsze spotkanie w kościele nie składamy sobie jednak wizyt.

- A cóż to za spotkanie?

- Co jakiś czas sir de Warenne zaprasza wszystkich górników, żeby zapoznać się ze stanem miejscowych kopalni. W naszej parafii jest ich osiem. Trzy lata temu było bardzo groźne tąpnięcie, zginęło dziesięciu górników. Po tym wypadku sir Rex zaczął nalegać, żeby w kopalniach przeprowadzać inspekcje i zadbać o stan techniczny. Jest nadzwyczajny. Procent od zysków oddaje hospicjum przy Kościele Świętego Judy. I to on wpadł na pomysł, żeby odrestaurować stary normański kościółek, o który miejscowi nie dbali, przez co popadł w ruinę. Poza tym najuboższe rodziny z naszej parafii zawsze mogą pożywić się w zamkowej kuchni.

- Gdzie jest ten kościół?

- Na końcu ulicy. Widzi pani schodki? Lady Harrington, czy długo zabawi pani w Bodeniek?

- Szczerze mówiąc, nie wiem, ale mam nadzieję, że nasze drogi jeszcze się zejdą. Może któregoś wieczoru podczas kolacji w zamku? Mieliby państwo ochotę?

Margaret Farrow z wrażenia na moment zaniemówiła, po czym odparła z entuzjazmem:

- Och, naturalnie! Z największą przyjemnością. Mój mąż podziwia sir Reksa, wie o jego bohaterskich czynach na wojnie. Kuzyn męża służył na Półwyspie Iberyjskim w Jedenastym Regimencie Dragonów Lekkich.

- Czy to regiment sir Reksa? - Serce Blanche zabiło szybciej.

- Mąż mówi, że tak.

Czyli pan Farrow zacznie przy stole rozmawiać o wojnie, a Blanche wiedziała, że nie jest to ulubiony temat sir Reksa.

- Pani Farrow, w związku z tym miałabym prośbę. Proszę przekazać mężowi, że sir Rex nie lubi wspominać wojny.

- Oczywiście. Powiem mu.

Gdy się pożegnały, Blanche zaintrygowana tym, co mówiła pani Farrow, postanowiła zajrzeć do kościoła. Idąc pustą ulicą, zastanawiała się nad kolacją. Nie miała żadnej pewności, czy sir Rex zgodzi się na zaproszenie sąsiadów, jednak postanowiła, że tak czy inaczej przedstawi mu ich. Może sobie twierdzić, że lubi żyć w odosobnieniu, ale to wcale nie znaczy, że jest to dla niego dobre. Nigdy dotąd nie ingerowała tak dalece w czyjeś prywatne życie, teraz jednak zamierzała to zrobić, święcie przekonana, że robi to dla dobra sir Reksa.

Kiedy weszła na wąską dróżkę prowadzącą do starego kamiennego kościółka, usłyszała przez otwarte drzwi męskie głosy. Kłócono się, krzyczano gniewnie. Poczowała się nieswojo, ogarnęło ją napięcie, choć tak naprawdę nie było żadnego powodu do niepokoju. Burzliwe dyskusje podczas takich spotkań muszą być na porządku dziennym. Co prawda, nigdy w czymś takim nie uczestniczyła, bo po dwóch przykrych incydentach w dzieciństwie

konsekwentnie unikała hałaśliwego tłumu. Jako mała dziewczynka dwukrotnie zemdląca, w wieku ośmiu lat podczas festynu z okazji majowego święta i rok później w cyrku.

Znów ktoś krzyknął ze złością.

Poczuła nagły lęk, w pamięci odżyło wspomnienie o tamtej chwili, kiedy po omdleniu na majowym festynie ocknęła w ramionach ojca. Dookoła stało wielu farmerów i ich żon, patrzyli na nią z niepokojem, a ona, choć wtulona w ojca, bała się okropnie. Podobnie było, gdy ocknęła się w cyrku.

Teraz czuła taki sam strach. Przeważenie ścisnęło ją za gardło, utrudniało swobodne oddychanie. Działo się też coś dziwnego w jej głowie, bo przed oczami zaczęły przesuwać się jakieś obrazy, bardzo niewyraźne i zamazane, wyczuwała jednak, że są pełne krwi i przemocy. Tak dojmujące, że aż bolesne. Tak bolesne, że rozsadzają jej czaszkę...

Nagle usłyszała spokojny głos sir Reksa. Przeważające obrazy zaczęły znikać, strach rozwarł swe szpony. Znów mogła oddychać. Było tak, jakby sir Rex chwycił ją za rękę i pomógł z powrotem stanąć na twardej ziemi.

Już dobrze. Blanche kilka razy odetchnęła głęboko i weszła po schodkach do kościółka szczelnie wypełnionego przez górników. Siedzieli w ławkach, stali pośrodku i w bocznych nawach. Sir Rex w towarzystwie czterech dżentelmenów stał przed ołtarzem. Zauważył Blanche, najpierw zrobił zaskoczona minę, potem przywitał ją uśmiechem. Odwzajemniła uśmiech, choć nadal brakowało jej powietrza, a kiedy kilku górników zaczęło się przekrzykiwać, znów poczuła, że narasta w niej to dziwne napięcie.

Wchodząc tu, popełniła wielki błąd. Znow przed oczyma zaczęły przesuwac się mroczne, zamazane obrazy. Jakies wspomnienia, które rozpychały się wśród innych wspomnień, chcąc koniecznie wysunąć się na pierwszy plan.

Czuła, że słabnie i znow ogarnia ją bezzasadne przerażenie. Dlaczego ci ludzie tak krzyczą? Rozjuszony tłum... Trzeba skryć się przed nim, uciekać jak najprędzej. Wyciągnęła przed siebie rękę, palce musnęły grube sukno okrywające czyjeś ramię. Szybko cofnęła dłoń i spojrzała na sir Rekxa, mając nadzieję, że jego widok będzie miał na nią zbawienny wpływ.

- Szyb się zapadł! - zawołał jeden z górników. - On tego nie chce powiedziec! No to ja powiem! Bo tak było! Przeklęty szyb się zapadł, chwala Bogu, że wszyscy zdołali wyjść! Kilku mężczyzn poparło go hałaśliwie, a Blanche czuła, jak kamienna posadzka zaczyna się kołysać. Wiedziała, że jeśli natychmiast stąd nie ucieknie, zemdleje.

Nagle ktoś szarpnął ją za rękę. Odwróciła się. Zobaczyła jasne, pełne nienawiści oczy jakiegoś mężczyzny, który nachylał się nad nią, chciał ją pochwycić.

A wszędzie dookoła była krew.

- Blanche!

Krew, wszędzie krew... Tyle nieruchomych ciał, tyle żywych ludzi. Chciała przepchnąć się między

nimi, uciec. Szarpała się, nie mogła jednak ruszyć z miejsca. Ktoś ją trzymał.

Oni... oni powlekli dokądś mamę.

- Mamo!

- Blanche!

Chwiała się pod ścianą uwięziona przez czyjeś ręce i patrzyła z przerażeniem na rozwścieczony motłoch. Na wygrażające pięści, wykrzywione twarze, ślinę ciekącą z ust, na ręce wymachujące widłami i łopatami.

W końcu udało jej się oswobodzić. Zbiegając po schodach, potknęła się i upadła na bruk.

Kamyki wbiły się w rękawiczki, poraniły policzek.

Krew. Ta krew jest wszędzie. A mamy... mamy już nie ma.

Rozpaczliwie próbowała nabrać powietrza, ale było już za późno. Złowrogie cienie pochylały się nad nią. Cienie przemocy i śmierci, zwiastuny ciemności.

Nie zatrzymywał jej, kiedy wybiegała z kościoła. Widział przecież, że dzieje się z nią coś złego i koniecznie chce stąd wyjść. Potem przez otwarte drzwi zobaczył, jak upada na bruk. Wtedy rzucił się do niej. Górnicy rozstępowali się przed nim, a on biegł. Cud, przecież biegł o kuli.

Pokonał schody i opadł na kolano obok leżącej nieruchomo, białej jak płótno Blanche.

- Blanche! Blanche, proszę, niech pani się ocknie! Blanche!

- Milordzie...

Stangret podał sole trzeźwiące. Sir Rex otoczył

Blanche ramieniem i podsunał je pod nos lekarstwo. Zakaszła, rzęsy zatrzepotały. Kiedy otworzyła oczy, poczuł niewysłowioną ulgę.

- Proszę się nie niepokoić, lady Harrington - powiedział miękko - Pani zemdlła. Proszę leżeć spokojnie.

Niestety, nie było to zwykłe omdlenie. W jej oczach widział paniczny strach.

Powoli twarz Blanche zaczęła odzyskiwać normalną barwę. Próbowła usiąść. Pomógł jej, nie wypuszczając z ramion, co czynił wbrew wszelkim konwenansom, ale nie dbał o to.

Nigdy dotąd nie czuł tak gwałtownej potrzeby chronienia kogoś.

- Przepraszam... - powiedziała słabiutkim głosem. Po policzku spłynęła łza.

Odszukał wzrokiem jednego z majstrów, Jacka Hardy'ego.

- Każ, żeby powóz Harringtonów zajechał. Hardy pobiegł. Sir Rex, choć bardzo strapiony, krzepiąco uśmiechnął się do Blanche i stał z jej policzka łzę.

Na jej twarzy pojawił się nikły uśmiech.

- Był taki tłok... - szepnęła. - Brakowało mi powietrza.

Znów się uśmiechnął. Co miał powiedzieć? W kościele wszystkie okna i drzwi były otwarte.

- Jak się pani czuje? Już lepiej?

- Tak, całkiem dobrze.

- Milordzie, powóz zajechał.

Jeden z górników wyciągnął do niego rękę. Rex skorzystał z pomocy i wstał, potem podniósł Blanche. Ktoś podał mu kulę. Oparł się na niej, cały

czas obejmując Blanche. Trzymał ją jak kruchy skarb. Przyłgnęła do jego boku.

- Czy pani często mdleje?

- Nie.

- Wezwę do Bodenick doktora Linneya.

- Nie ma takiej potrzeby, naprawdę. Czuję się znakomicie. Sir Reksie, czy podczas zebrania wszyscy górnicy wpadli w gniew? Czy to tylko moja wyobraźnia?

- Gniew? Za mocno powiedziane, po prostu jak zwykle dyskusja była dość burzliwa. To zrozumiałe, w końcu chodzi o życie i śmierć, a ci ludzie za ciężką pracę nie zawsze opłacani są uczciwie. U mnie zarabiają. Poza tym moje kopalnie, które mam od sześciu lat, są dobrze oświetlone, stan szybów sprawdzamy co tydzień. Wolałbym stracić cały zysk niż czyjeś życie.

Nadal wyglądała na wystraszoną. Kto by przypuszczał, że zawsze opanowana lady Harrington nagle się załamała, i to w takich okolicznościach.

Uśmiechnął się i zrobił to, co jeszcze przed chwilą wydawałoby się nie do pomyślenia, czyli położył rękę na ramieniu lady Harrington, pragnąc przekazać jej swoje ciepło, uspokoić, ukoić.

- To tylko wyobraźnia, lady Harrington. - Zobaczył, że powóz zajechał przed kościołem. - Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, pojedę z panią.

- Naturalnie, bardzo proszę. Mój powóz jest wygodniejszy niż koński grzbiet.

Uśmiechnęła się, on też.

- Mimo to zazwyczaj preferuję grzbiet dobrego wierzchowca.

Koń sir Reksa został przywiązany do powozu, który zaraz ruszył.

- Przepraszam - odezwała się po chwili wciąż słabym głosem. - Narobiłam zamieszania. Pan wie, że nie jestem histeryczką.

- Naturalnie, milady. Nie znam kobiety bardziej zrównoważonej od pani. Pani w każdej sytuacji potrafi zachować zimną krew.

Popatrzyła na niego bacznie, jakby jego słowa miały dla niej wielkie znaczenie. Potem odprężyła się i odwróciła twarz ku oknu. Zaakceptował jej milczenie, nie zamierzał zamęczać rozmową.

Wjechali w rozległe wrzosowiska, wciąż cisi, zadumani.

- Na niebie zbierają się chmury - wreszcie odezwała się Blanche. - Będzie padać?

- Bez wątpienia.

Banalna uwaga o pogodzie nie zirytowała go. Czuł, że jest to tylko wstęp do czegoś poważniejszego. Nie mylił się, bo po chwili, złożwszy ręce na kolanach, lady Harrington odezwała się ponownie:

- Winna jestem panu wyjaśnienie.

Nie była mu nic winna, co wcale nie znaczyło, że nie posłucha chętnie wyjaśnień.

- Może poczekamy do przyjazdu do Bodenick? Porozmawiamy, kiedy pani poczuje się lepiej.

Jej policzki lekko poróżowiały.

- Wolałabym zrobić to już teraz. Rzecz w tym, że nie mam klaustrofobii. Widział mnie pan przecież, i to niejedną raz, w zatłoczonej sali balowej. To, co zdarzyło się dziś, to coś całkiem innego, co już kiedyś, w dzieciństwie, mnie spotkało. Zemdlałam,

gdy miałam osiem lat, powtórnie rok później. I już się nie powtórzyło. Dopiero dziś... Pan zapewne myśli, że jestem obłąkana.

- Naturalnie, że tak nie myślę.

- To dobrze. Bo nie jestem, tylko nie cierpię tłumy, ponieważ moja matka zginęła w Londynie podczas krwawych zamieszek ulicznych. Miałam wtedy sześć lat.

- Nie wiedziałem... Bardzo pani współczuję.

- W sali balowej czuję się dobrze. Jest tam wprowadzie wielu ludzi, ale wszyscy są wobec siebie mili i uprzejmi. Gdy jednak w tłumie narasta gniew, agresja... Sir Reksie, byłam wtedy z mamą.

Krwawe zamieszki, kiedy rozwścieczone pospólstwo wychodzi na ulicę, są czymś przerażającym. Ludzi bogaci kryją się w swoich domach, zabijając okna deskami. Podczas takich zamieszek ginie wielu ludzi stratowanych na śmierć, powieszonych, zadźganych. Gina nie tylko bogacze, także ci najbiedniejsi.

Blanche uśmiechnęła się smutno.

- Oczywiście niczego nie pamiętam.

- To prawdziwe błogosławieństwo.

- Kiedy miałam trzynaście lat, poprosiłam ojca, żeby powiedział mi prawdę. Usłyszałam, że mama potknęła się i upadła, uderzając głową o bruk tak nieszczęśliwie, że od razu umarła.

Nie musiał być geniuszem, by domyślić się, że sir Harrington ukrył prawdę przed córką, która mu zresztą nie uwierzyła.

Delikatnie wziął ją za rękę, aby dodać jej otuchy.

- To, co mi pani powiedziała, całkowicie tłumaczy ten lęk przed tłumem. Sądzę też, że jedyna rada to bronić się przed tymi wspomnieniami. Nie wracać do przeszłości, w której niczego nie da się zmienić. A górników nie trzeba się bać. Owszem, bywają głośni i nieokrzesani, ale to dobrzy ludzie, godni szacunku. Nikomu nie zrobią nic złego. - Gdy na twarzy Blanche wreszcie pojawił się uśmiech, dodał: - Zresztą nigdy nie pozwolę, żeby ktoś panią skrzywdził.

- Dziękuję - szepnęła cicho.

Poczuł, że w ich wzajemnych stosunkach zaszła wielka zmiana. Lady Harrington wyznała mu bardzo osobisty szczegół ze swego życia, który zapewne znało bardzo niewiele osób. On zrobił to poprzedniego dnia. Dzięki tej wymianie tajemnic zaczynała się między nimi wytwarzać szczególna więź. I nie chodziło tu o wzajemny szacunek, podziw czy przyjaźń. Nie. Był pewien, że tym razem zbliżyli się do siebie na innym gruncie. Jak mężczyzna i kobieta.

A z tego nic dobrego nie wyniknie, doszedł do wniosku i puścił jej rękę.

Meg wreszcie wyszła z pokoju. Kiedy sir Rex powiedział jej, że lady Harrington zemdląca, przerażona pokojówka sama już nie wiedziała, jak dogodzić biednej pani. Kręciła się jak fryga. Jeszcze to, jeszcze tamto, jeszcze tylko poprawi ogień w kominku. Wreszcie, ku wielkiej uldze milady, zamknęła za sobą drzwi.

Blanche podeszła do okna. Niebo przykryte było ciężkimi chmurami. Zbierało się na deszcz.

Była bardzo zdenerwowana, pełna wątpliwości, czy powinna była mówić sirReksowi o zamieszkach i śmierci matki. Zrobiła to, bo nie chciała, by myślał, że jest histeryczką.

Zależało jej, aby ją poważał, bo sama wielce ceniła sobie jego przyjaźń.

Dlaczego zemdląca, skoro nie przydarzyło się to od tylu lat? Skąd się wzięły straszne obrazy majaczące w jej głowie? Czy gdyby wyteńczyła pamięć, wróciłaby prawda o tamtym tragicznym dniu?

Nie, nie chciała sobie niczego przypominać. Koszmarne duchy przeszłości, które gnieźdzą się w najgłębszych zakamarkach mózgu, powinny pozostać tam na zawsze. Chwała Bogu, że odzyskała już panowanie nad sobą, a sir Rex nie uważa jej za histeryczkę.

Spojrzała na wygięty półkolisty brzeg oceanu, na potężne czarne klify wznoszące się ku niebu, na białe grzywy fal bijących o brzeg. Sir Rex doskonale pasował do tego kawałka ziemi. Twardy jak te skały, potężny jak ocean i tak samo niezgłębiony jak bezkresna toń. Kto by się spodziewał, że ten właśnie człowiek potrafi być tak delikatny i życzliwy?

Ileż to się zdarzyło od jej przyjazdu do Land's End! Przede wszystkim ta cudowna zmiana w niej samej, a dokładniej w jej sercu. Już nie przypominało sadzawki wypełnionej lodowatą wodą o gładziutkiej powierzchni. Wreszcie biło szybko, trzepotało, kołatało z niecierpliwości, zakłopotania, lęku, a także z poczucia szczęścia. Blanche cieszyło to, choć i niepokoiło zarazem. Biedne serce, dotychczas leniwe, teraz musiało sobie radzić z całym bogactwem uczuć. Za nic jednak w świecie nie chciałyby powrócić do poprzedniego stanu bezpiecznej obojętności i dystansu.

Usłyszała ciche pukanie do drzwi.

- Proszę wejść!

Pierwsza pojawiła się Meg ze srebrną tacą, za nią sir Rex. Uśmiechał się, lecz w jego oczach dostrzegła niepokój.

- Dowiedziałem się, że na śniadanie zjadła pani tylko jedną grzanekę. Kazałem Anne przygotować lekki posiłek. Kiedy pani zje, na pewno poczuje się lepiej.

Nie czekając na odpowiedź, wziął ją za rękę i poprowadził do stołu, zupełnie jakby była małym dzieckiem. Dziwne, ale nie rozzłościło to Blanche. Przeciwnie, było nawet miłe.

A sir Rex dalej narzekał:

- Pani stanowczo za mało je. Tyle co wróbelek. Bardzo mnie to martwi.

- Całkiem niepotrzebnie. Czy dotrzyma mi pan towarzystwa?

- Oczywiście. Nikt nie lubi jeść sam. Podsunął sobie krzesło, Blanche siadła na szezlongu i karnie zaczęła spożywać posiłek. Kiedy nadgryzała kanapkę z ogórkiem, pomyślała nagle, że kilka godzin temu po raz drugi była w ramionach sir Reksa. Za pierwszym razem te ramiona były przede wszystkim silne i zatrważająco męskie, zaś dziś cudownie delikatne i opiekuńcze. Sir Rex był dobrym człowiekiem, stanowczo zasługiwał na coś więcej niż swoje dotychczasowe życie. Zasługiwał na to, by nie być sam.

Bardzo chciała to zmienić, przynajmniej do pew-

nego stopnia. Chodziło o zaproszenie sąsiadów, o czym zamierzała wspomnieć w dogodnym momencie.

- Sir Reksie, chciałam panu jeszcze raz podziękować za pomoc w opresji - powiedziała z miłym uśmiechem.

- Nie ma za co dziękować. Miałem zostawić panią nieprzytomną na ulicy?

- Może powinnam jak najszybciej wracać do Londynu i zacząć już dementować plotki? - skomentowała ze śmiechem.

Gdy też się roześmiał, bardzo się zdziwiła. Nigdy jeszcze nie słyszała głośnego śmiechu sir Reksa. A śmiał się cudownie.

- Mnie nie musi pani bronić. Ludzie od dawna biorą mnie na języki, o co zresztą nie dbam.

Lady Harrington, proszę jeść!

Szybko dokończyła kanapkę.

- Dziękuję.

- Tylko tyle?

- Tak. Zwykle jadam mało.

- Stanowczo za mało. Jeździ pani konno?

- Owszem, choć nie tak dobrze jak pan - przyznała skromnie, za co została nagrodzona przepięknym uśmiechem.

- Może jutro wybierze się pani ze mną na wrzosowiska? Pokażę pani ruiny normańskiego zamku, w którym straszy. Po takiej przejażdżce na pewno nabierze pani apetytu.

Był wyjątkowo miły, po prostu uroczy, nic więc dziwnego, że myśli Blanche zaczęły oscylować wokół ewentualnych oświadczeń. Towarzystwo sir Reksa było przecież największą przyjemnością. Może w wolnej chwili napisać do Bess? Niech poradzi, czy jest sens proponować sir Reksowi małżeństwo. Chociaż właściwie z góry było wiadomo, co Bess odpisze. Przecież pierwsza wpadła na ten pomysł i podstępnie chciała ich wyswatać.

- Pani wpatruje się we mnie... Blanche mocno się speszyła.

- Przepraszam, choć pewnie pan przywykł do wpatrzonych w siebie dam.

Cisza. Zerknęła na sir Reksa i napotkała spokojne, poważne spojrzenie.

- Czy mam to rozumieć jako komplement?

- Naturalnie. - Boże, czyżby pomyślał, że z niego kpi? Z powodu kalectwa na pewno jest wczulony na takie uwagi. - Jest pan przystojnym mężczyzną, sir Reksie, przyciąga pan wzrok kobiet. Felicia jest tego najlepszym przykładem. Zachwyca się panem.

- Trudno w to uwierzyć - rzucił cierpko. Blanche poczuła się zagubiona.

- Większość dżentelmenów byłaby...

- Ja do tej większości nie należę. Nie dbam, co myślą o mnie damy. Zależy mi tylko na pani opinii, lady Harrington. Niemożliwe! Chciał usłyszeć, że uważa go za przystojnego mężczyznę? - Sir Reksie, łapie mnie pan za słówka.

- Może i tak... Lecz dajmy temu spokój. Więc jak, wybierze się pani ze mną na wrzosowiska?

- Z największą przyjemnością.

- Świetnie. Pojedziemy, o ile pogoda dopisze.

Spojrzeni w okno, na pociemniałe niebo. Blanche modliła się w duchu, żeby jutro zaświeciło słońce.

- A tak przy okazji, spotkałam pańską sąsiadkę, panią Farrow z Terrence Hall - powiedziała niby mimochodem i natychmiast przestała czuć się swobodnie. Pogodny wyraz twarzy sir Reksa znikł, stał się nieprzenikniony.

Co gorsza, milczał.

- Bardzo miła młoda dama. Porozmawiałyśmy chwilę. Nie wiedziałam, że ma pan sąsiadów, do których powozem jedzie się zaledwie pół godziny.

Wciąż milczał, jakby nabrał wody w usta.

- Nic nie chce pan powiedzieć?

- Raczej nic. - Wstał, opierając się na kuli.

- A dla mnie to coś- niebywałego, że pani Farrow, która od pięciu lat mieszka w tej parafii, nigdy jeszcze nie była w Bodenick.

- Dziwi to panią? Przecież pani już wie, że jestem odludkiem i bardziej cenię sobie brandy niż zabawianie młodych dam.

- Chwileczkę! - Poderwała się z szezlonga. - A ja to kto? Nie jestem młodą damą? A wczoraj pan sam prosił, żebym dotrzymała mu towarzystwa!

- To nie fair, lady Harrington! - oburzył się sir Rex.

Ona podniosła głos, on też, dlatego teraz starała się mówić cicho i łagodnie:

- Wcale nie, tylko pomyślałam, że byłoby miło razem spędzić wieczór. Nie spodziewałam się też, że wystarczy wspomnieć o sąsiadach, żeby wywołać burzę. A może państwo Farrow przypadną panu do gustu?

- Wątpię. - Skrzywił się z niesmakiem.

Z jakąż ochotą chwyciłaby go za ramiona i zaczęła potrząsać, aż by wytrzęsła z niego tę głupotę. Miała ochotę rzucić mu w twarz, że skoro tak się zachowuje, nic dziwnego, że ludzie uważają go za zdziwaczałego samotnika.

- I co teraz? - spytał szorstko. - Zasłużyłem sobie na pani nieprzychylność?

- Nie ukrywam, że rozczarował mnie pan.

- Rozczarował? A więc dla pani to takie ważne, żebym spotkał się z sąsiadami?

- Sądzę, że kontakty towarzyskie wzbogacą pańskie życie.

- Pani chce do mojego życia wprowadzać ulepszenia? Dlaczego? Jest pani tylko moim gościem. Mój styl życia nie powinien pani martwić!

- Przecież podobno jesteśmy przyjaciółmi! - wykrzyknęła wyprowadzona z równowagi. Poskutkowało. Sir Rex przez chwilę mierzył ją wzrokiem, po czym oznajmił bardziej z rezygnacją niż ze złością:

- Dobrze. Niech pani ich zaprosi.

Rozdział ósmy

Droga Bess!

Mam nadzieję, że list mój zastanie Ciebie i Twoje pociechy w najlepszym zdrowiu. Piszę, bo rozpaczliwie potrzebuję Twojej rady. Od tygodnia bawię z wizytą w zamku sir Reksa. Byłam wstrząśnięta, kiedy okazało się, że wcale nie jestem właścicielką Penthwaithe! Widzę już, jak uśmieciesz się z satysfakcją. Bess, naprawdę zamierzałaś wyswatać mnie z de WARENNE'em? Sir Rex ma mnóstwo zalet, przy których jego nieliczne wady całkowicie bledną. Jestem pewna, że dzięki sile charakteru i bystrości umysłu zarządzałby znakomicie fortuną Harringtonów. Śmiem też twierdzić, że w ciągu tego tygodnia nawiązała się między nami przyjacielska nić oparta na wzajemnym szacunku i sympatii. Wspomnę również, że uważam go za bardzo pociągającego mężczyznę.

Droga Bess, zastanawiam się, czy nie zaproponować mu małżeństwa. Napisz, proszę, co o tym myślisz, o małżeństwie zbudowanym na przyjaźni, sympatii i sile charakteru. Napisz, co w tej sytuacji powinnam zrobić.

Nie mam najmniejszego pojęcia, jak ustosunkuje się sir Rex do mojej propozycji. Czy jej nie odrzuci, co nie byłoby dla mnie tragedią...

Ręka Blanche znieruchomiła. Przecież będzie zrozpaczona i zła na siebie, że zamiast umacniać przyjaźń, zniszczyła ją zuchwałą propozycją!

O wadach sir Reksa tylko napomknęła, Bess wcale nie musi o wszystkim wiedzieć. Za bardzo kocha plotki.

Znów zanurzyła pióro w kałamarzu.

Szczerze oddana przyjaciółka Blanche Harrington

Odłożyła pióro i usiadła wygodniej w krześle. Dobrze, że napisała ten list. Poczta działa bez zarzutu, list dotrze za dwa dni. Jeśli Bess od razu chwyci za pióro, Blanche otrzyma odpowiedź już za cztery dni.

Nagle usłyszała krzyki. Zdenerwowani mężczyźni domagali się gwałtownie, by wreszcie otworzono tę przeklętą bramę.

Co się dzieje? Blanche podbiegła do okna i wyjrzała na dziedziniec. Był pusty, ale usłyszała wołanie z sieni i wrzask Meg.

- Lady Harrington! Lady Harrington!

Wypadła z pokoju, pobiegła po schodach do wielkiej sali. Kilku wieśniaków, tworząc mały krąg, a w tym kręgu...

Boże wielki... Sir Rex!

Mężczyźni rozstąpili się, Blanche przypadła do nieruchomego ciała. Biała koszula była rozerwana, między zakrwawionym wystrzępionym materiałem widać było na piersiach wielką, otwartą ranę.

Strach przerodził się w przerażenie. Blanche odszukała wzrokiem Meg.

- Woda, czyste płótno! - krzyknęła. - Muszę zatamować krew!

Gdy Meg pobiegła, Blanche oberwała rąbek batystowej halki i przycisnęła do rany.

Boże, ile tej krwi! Sir Rex może wykrwawić się na śmierć.

- Hardy... Czy dobrze zapamiętałam? - spytała.

- Tak, milady.

- Natychmiast wezwij doktora. Młody człowieku - skinęła na chłopca stajennego - przyciskaj do rany szmatkę, a ja sprawdzę puls.

Przyłożyła palec do żyły u nasady szyi i wyczuła tętno, choć słabe i bardzo szybkie. Serce sir Reksa z wielką energią pompowało krew, lecz tak wiele jej wyciekało z ciała...

- Anne!

- Jestem, milady.

Błada jak płótno służąca wysunęła się krok do przodu.

- Zagotuj wody, wyparz igły i nici. Potrzebne będzie mydło, ciepła woda, dużo czystych ściereczek i whisky. Dużo whisky.

- Tak, milady - odparła i już jej nie było. Meg przyniosła czyste płócienne ręczniki. Blanche spojrzała na pięciu mężczyzn.

- Co się stało? - Gdy zaczęli mówić jeden przez drugiego, podniosła głos: - Niech mówi jeden!

- Ja powiem! - krzyknął chłopiec stajenny. -Wszystko widziałem! Sir Rex układał młodego ogiera. Zwykle spokojny koń, ale spłoszył się. Zaczął stawać dęba, wierzgać. Sir Rex upadł w błoto, koń go kopnął i poszedł! Musiał się czegoś wystraszyć, bo koń zawsze omija leżącego człowieka. Zawsze!

- Boże drogi... To straszne. Stratował sir Reksa.

- Trącił kopytem, milady.

- Och, Boże, a co to za różnica... Jak ci na imię chłopcze?

- Jimmy.

- Jimmy, biegnij za Anne i pomóż jej przynieść te wszystkie rzeczy, o które prosiłam.

- Już leczę, milady!

Blanche zajęła się sir Reksiem. Szmata była całkowicie przesiąknięta krwią, a rana głęboka, rozległa i na pewno zabrudzona. Trzeba ją oczyścić i zszyć, bo inaczej może wdać się gangrena. Boże wielki, przecież z powodu gangreny sir Rex stracił na wojnie nogę!

Poruszył głową i cicho jęknął. Musiało go bardzo boleć.

- Proszę, zanieście go na górę. Tylko ostrożnie.

Czterech mężczyzn podniosło sir Reksa z podłogi. Ranny znowu cicho jęknął. Blanche zamrugała powiekami i wytarła niepokorną łzę. Nie pora się mazać. Sir Rex potrzebuje pomocy.

- To duży i silny mężczyzna - szepnęła pokojówka. - Wyjdzie z tego, milady.

- Stracił mnóstwo krwi. Meg, pomóż Anne. Pamiętajcie, whisky, mydło i dużo wody. - Pobiegnęła schodami na górę, do sypialni sir Reksa. Podeszła do łóżka, na którym ułożono rannego. Na szafce nocnej stała butelka whisky. Blanche chwyciła ją, usiadła na brzegu łóżka i poleciła: - Trzymajcie go mocno!

Odsłoniła ranę i polała alkoholem. Sir Rex krzyknął przeraźliwie i szarpnął się. Otworzył oczy i popatrzył na Blanche.

- Przepraszam. Jest pan ranny, koń pana kopnął. Muszę to zrobić jeszcze raz. Nieznacznie skinął głową, na jego czole pojawiły się kropelki potu. Blanche poczuła się jak ktoś okrutny, bezlitosny.

- Trzymajcie go mocno - powtórzyła. - Bardzo mocno, nie wolno mu poderwać się z łóżka. - Wylała na ranę resztkę whisky.

Sir Rex najpierw powiedział coś zduszonym głosem, potem krzyknął i zamknął oczy. Pojawiła się Meg. Blanche odebrała od niej płócienną ściereczkę i przyłożyła do rany.

- Przepraszam, że sprawiam panu ból. - Z całego serca życzyła sobie, żeby sir Rex zemdłał, wiadomo jednak było, że stara się za wszelką cenę zachować przytomność.

- Czy może pan swobodnie oddychać? - spytała. - Kiedy pan oddycha, boli coś pana? Gdy pokręcił głową, uspokoiła się nieco. Nie boli, więc żebro jest nienaruszone.

- Czy... rana jest duża? - spytał słabym głosem.

- Niestety tak. Trzeba zszyć, a przedtem ją oczyścić.

Kiwnął nieznacznie głową, powieki opadły. Zemdłał ku niewysłowionej uldze Blanche.

- Milady - szepnęła Meg. - Przyniosłam wodę, mydło, pincetkę i nożyczki. Mogą się przydać.

- Dziękuję.

Blanche poleciła wieśniakom odstąpić od łóżka i zaczęła rozcinać koszulę, ostrożnie rozsuwając ją na boki, żeby odsłonić cały tors.

Na moment ogarnęła ją rozpacz. Przecież nie jest doktorem czy choćby siostrą miłosierdzia. Owszem, pomagała zakonnicom od Świętej Anny w opiece nad biedakami, czyli przykładała lód na rozpalone czoła i karmiła tych, którzy byli zbyt słabi, żeby utrzymać w ręku łyżkę. W Harrington Hall rany opatrywała gospodyni, przy poważniejszych skaleczeniach posyłano po doktora. Kiedyś jednak widziała, jak gospodyni zszywała ranę synkowi stajennego...

Spojrzała na piątkę mężczyzn.

- Czy któryś z was potrafi zszyć ranę? Wszyscy pokręcili głowami. Blanche podeszła do umywalki.

- Meg, polej mi ręce. Muszę je umyć bardzo starannie.

Pokojówka chwyciła dzbanek z wodą.

- Milady umie bardzo ładnie szyc - szepnęła, podając mydło.

- Nigdy dotąd nie zszywałam człowieka, Meg, lecz nie chcę zwlekać. Może wdać się gangrena.

- Przydałby się pani łyk whisky.

Pewnie i tak. Blanche, czując coraz większe przerażenie, wróciła do rannego i poleciła mężczyznom ponownie stanąć koło łóżka.

- Będę czyścić ranę. Gdyby sir Rex się ocknął, trzymajcie go mocno.

- Może przed tym szyciem dać milordowi whisky? - spytał jeden z wieśniaków.

- Macie rację. Zanim zacznę szyc, spróbujemy dobudzić milorda, a potem go znieczulimy.

Proszę, niech ktoś z was przyniesie następną butelkę.

Przysunęła krzesło, usiadła i zaczęła polewać ranę wodą.

Po raz dwudziesty trzeci przeciągnęła nić przez skórę sir Reksa i zrobiła zgrabny supełek.

Meg wręczyła jej nożyczki. Blanche odcięła nitkę i znieruchomiała.

Sama nie wierzyła, że to zrobiła. Cóż, zrobiła, lecz gdy było po wszystkim, całkiem opadła z sił.

Najpierw oczyściła ranę - czego tam nie było! Piasek i czarna ziemia, nawet kamyczki.

Następnie udało się sir Reksa ocucić i zmusić do wypicia pół butelki whisky, po czym

Blanche przystąpiła do zaszywania rany. Nigdy nie zapomni, jak milord patrzył na nią.

Jakby ufał jej bezgranicznie.

A teraz rozkleiła się kompletnie, po policzkach spływały strużki łez. Czy to możliwe, że uporała się z tą straszną raną?

A jeśli został jakiś kamyczek?

Jeśli wda się gangrena?

- Wszystko dobrze, milady — szepnęła Meg. - Na pewno niczego nie czuł.

Roztrzęsiona Blanche starała się uspokoić. Na próżno, łzy wciąż płynęły. Była przerażona, że sir Rex, taki duży, silny mężczyzna, może nie przeżyć kopnięcia konia.

- Szybko wyzdrowieje, milady - odezwał się Hardy. - Jest silny jak byk. Takie kopnięcie to dla niego nic.

Gdy wieśniacy wyszli, Blanche pochyliła się nad sir Reksiem i położyła dłoń na jego policzku.

- Będzie pan zdrow, sir Reksie - szepnęła. - Z całą pewnością!

- Milady powinna odpocząć - stanowczo oznajmiła Meg.

- Nie, jeszcze nie. - Podniosła głowę i zauważyła, że koło drzwi stoi Anne. - Bardzo wam dziękuję. - Dyskretnie otarła łzy. - Byłyście bardzo pomocne.

- A jakże mogło być inaczej, milady - zauważyła Meg. - Anne i ja na zmianę będziemy czuwać przy milordzie. Anne pierwsza, a ja przyszykuję milady gorącą kąpiel i przyniosę kolację. Bardzo się pani utrudziła, a my sobie poradzimy.

Blanche spojrzała na nieruchomą postać na łóżku. Sir Rex spał. Był przykryty prześcieradłem, ale tylko do pasa. Górna połowa wspaniale umięśnionego ciała była odsłonięta.

Spojrzała na Anne, która dygnęła.

- Posiedzę przy nim - powiedziała.

Od przyjazdu do Bodenick Blanche miała wrażenie, że Anne nie okazuje jej szacunku, może nawet jest w tym coś więcej. Czyżby traktowała ją jako rywalkę? Służąca arystokratkę? Absurd.

Położyła rękę na czole sir Reksa. Było ciepłe, ale nie rozpalone. Spojrzała na Meg:

- Zostanę przy milordzie. Przynieś mi, proszę, kieliszek czerwonego wina i coś do jedzenia.

Rzeczywiście powinnam się posilić. - Spojrzała na drzwi. Anne była już za progiem. -

Gdzież podziewa się doktor, Meg?

- Na pewno będzie tu lada chwila, milady. Posiedzę przy milordzie. Milady musi odpocząć.

Proszę spojrzeć na suknię, cała poplamiona. Anne odeślę do domu.

Blanche poczuła się nieswojo. Czyżby Meg domyślała się, że jej panią coś łączy z panem tego zamku i dlatego trzyma z daleka jego kochankę?

- Nie wiadomo, co będzie dalej. Sir Rex może poczuć się gorzej, dlatego chcę czuwać przy nim. Był wobec mnie wielkoduszny i życzliwy, a ja narzuciłam mu swoje towarzystwo.

Zostanę.

Obudziło ją słońce, znak, że zaczął się nowy dzień. Zasnęła koło północy. Trudno uwierzyć, że tak długo spała skulona na krześle. Nic też dziwnego, że kark miała zeszywniały.

Co tam kark...

Położyła dłoń na czole sir Reksa. Było chłodne. Bladość znikła z twarzy, spał normalnym zdrowym snem.

Co za ulga! Blanche otarła oczy, nagle znów mokre, i zauważyła, że prześcieradło i cienki wełniany koc zsunęły się sir Reksowi z bioder. Nachyliła się, żeby podciągnąć koc, lecz znieruchomiała, bo uświadomiła sobie, że leży tu półnagi mężczyzna, piękny jak grecki bóg. Była z nim sama w pokoju, i to przez całą noc, tylko on i ona...

Jej spojrzenie zaczęło zachłannie przesuwać się po śniadym torsie. Nie potrafiła powstrzymać fascynacji. Klatka piersiowa była szeroka, bicepsy nawet we śnie twarde, naprężone. A ramiona...

Nagle ręka sir Reksa poruszyła się. Blanche oprzytomniała i płonąc ze wstydu, zerwała się z krzesła.

- Proszę, niech pani zostanie, lady Harrington - powiedział cicho.

Nie miała wyboru, ponieważ złapał ją za dłoń.

- Jak pan się czuje? - spytała nieswoim głosem.

- Jak po dużej ilości mocnego trunku.

- Wypił pan pół butelki whisky. Doktor nie przyjechał, nie mógł, był w Tythwrithgyn przy ciężkim porodzie, ale proszę się nie martwić. Pańska rana została oczyszczona i zszyta, no i nie ma pan gorączki.

- To dobrze. - Spojrzał na ranę, potem na Blanche.

- Czuje pan ból w piersiach? - spytała.

- Niewielki. Whisky nadal działa. Ile trzeba było zrobić szwów?

- Dwadzieścia trzy.

- Rozumiem... Mógłbym dostać trochę wody? Szybko napełniła szklanę.

- Da radę pan usiąść?

- Myślę, że tak. Jeśli pani łaskawie mi pomoże... Przysiadła na brzegu łóżka i wsunęła rękę pod

plecy sir Reksa. Natychmiast, kiedy tylko dotknęła

ciepłego ciała, poczuła mrowienie, musiała jednak się skupić, aby pomóc choremu.

Nachyliła się, jej biust prawie dotykał nagiej piersi sir Reksa, który objął Blanche. Ich twarze były blisko siebie, spojrzenia stopiły się w jedno.

Przez sekundę Blanche była pewna, że sir Rex ją pocałuje.

Jej serce zatrzepotało...

On jednak tylko powiedział:

- Być może uratowała mi pani życie. - Zabrzmiało to dość szorstko.

Na moment zaniemówiła, wreszcie udało jej się wykrztusić:

- Czy... czy pan da radę usiąść?

Puścił ją i samodzielniemiadł. Uśmiechnął się, ale jego twarz znów była biała jak kreda.

- Dlaczego nie pozwolił pan sobie pomóc? Boli pana? Muszę spojrzeć na ranę - orzekła

Blanche, obawiając się, że przez tę brawurę mógł naruszyć misterne szwy.

Pomogła mu się ułożyć, potem dokonała oględzin. Na- szczęście wszystko było w porządku.

- Sir Reksie, jak można być tak nierozsądnym! Przecież pan jeszcze nie jest zdrowy. To okropna rana. Musiałam wbijać w pana igłę dwadzieścia trzy razy! Czy pan wie, co przeżyłam? Nigdy w życiu nie chciałabym być doktorem, nawet siostrą miłosierdzia. Pan jest pacjentem, sir Reksie! Ma pan leżeć spokojnie, a siadać panu wolno tylko z czyjąś pomocą.

Rozzłoszczona Lady Harrington... Cóż, podziałało, bo sir Rex odezwał się przymilnie:

- Przepraszam. - Bardzo spokojniał na tę jej złość. - Szczerze przepraszam... Blanche, pani jest ledwie żywa. Czy była tu pani całą noc?

- Tak. - Przysiadła na łóżku i przytknęła szklanę do jego ust. Pił, a ona była świadoma, że jego biodro znajduje się niebezpiecznie blisko jej uda. Ponownie napełniła szklanę, ale dla bezpieczeństwa podała ją na stojąco. - Tylko proszę do dna. Potrzebuje pan dużo płynów, bo stracił pan mnóstwo krwi i wypił sporo whisky.

Niestety, czuła, że znów jest bliska łez.

- Zdenerwowałem panią - powiedział cicho. - Bardzo mi przykro...

- I powinno być! - Aż roznosiło ją z wściekłości. Przecież, jak się okazało, sir Rex wcale nie potrzebował pomocy przy siadaniu. Czyżby poprosił ją o pomoc, bo miał nadzieję, że ona wejdzie do jego łóżka? Trudno było w to uwierzyć, ale... Jak on śmiał!

- Blanche... - Uśmiechnął się zniewalająco, na co jej gniew gdzieś się ulotnił, a serce zabiło żywiej. - Przyrzekam, że będę zachowywał się rozsądnie, ale pod warunkiem, że pani pójdzie odpocząć.

- To prawda, jestem znużona. Przyślę do pana Meg. Anne zajęta jest w kuchni.

Po jego twarzy przemknął uśmiech. Czyżby domyślał się, że ona nie ma pojęcia, co teraz robi Anne, ale postanowiła jej do niego nie dopuszczać?

- Lady Harrington, mam jeszcze jedną prośbę. Proszę obiecać, że jeśli będę zachowywać się należycie, w nagrodę pani przyjdzie do mnie.

- To nie wypada, sir Reksie. Niebezpieczeństwo minęło, jest pan rekonwalescentem.
 - Nie dbam o konwenanse. Poza tym oprócz służby nikt się nie dowie. Proszę nie być tak zasadniczą. Jeśli pani nie przyjdzie, z nudów ucieknę z łóżka, co może okazać się tragiczne w skutkach - ostrzegł.
 - To szantaż, sir Reksie.
 - Zaraz szantaż.... Próbuję panią oczarować, żeby spełniła pani moje życzenie.
- Nie do wiary! Flirtował z nią!
- Będzie pan mógł mnie oczarować za kilka dni, kiedy doktor pozwoli panu wstać z łóżka. Chociaż... - uśmiechnęła się od progu - nie mam serca z kamienia. Zajrzę do pana sprawdzę, jak się pan miewa. A teraz proszę wypoczywać.

Rozdział dziewiąty

Kiedy, Blanche weszła do swego pokoju, nagle stanęła jak wryta. Przecież to lew! - stwierdziła zdumiona. Jasnozłocisty drapieżnik z ogromną grzywą. Stał nieopodal drzwi i wlepił w nią bursztynowe ślepie.

Pomyślała, że z tego zmęczenia ma przywidzenia niemożliwe przecież, żeby prawdziwy lew pojawił się w jej pokoju. Zaskoczył ją ten widok, i owszem, ale nie wystraszyła się, czuła tylko podekscytowanie.

Nagle lwi pysk uległ diametralnej zmianie. Już nie był to drapieżnik, ale odrażająca bestia, na poły zwierzę, na poły człowiek. Bestia warknęła, odsłaniając wielkie białe kły. Kły zaśniły, biel raptem zmieniła się w czerń, to już nie kły, a zęby żelaznych wideł ociekające krwią...

Krzyknęła rozpaczliwie i usiadła na łóżku. Czyli to był zły sen. Jej serce tłukło się w piersi jak oszalałe. Spojrzała w okno. Biały dzień, musiała

spać kilka godzin. Po całonocnym czuwaniu przy sir Reksie wróciła do siebie nad ranem. Meg pomogła jej zdjąć poplamioną suknię, gorset, halkę i tylko w jedwabnej koszulce i batystowych, obszytych koronkami pantalonach położyła się na łóżku.

Teraz podbiegła do okna i otworzyła je szeroko, wciągając w płuca świeże powietrze. Skąd taki straszny sen? Owszem, nie brakowało jej przeżyć, ale wiadomo, że sir Rex powróci do zdrowia...

Tam było tyle krwi, tyle krwi...

Drzwi otwały się gwałtownie, jakby ktoś pchnął je z całej siły.

- Blanche! - W progu stał sir Rex.

Milczała wpatrzona w niego i przerażona, znów bowiem zobaczyła jasnozłocistego lwa.

- Blanche!

Zamrugła, lew znikł, za to był sir Rex, zresztą tylko w spodniach. Natychmiast zapomniała o koszmarnym śnie.

- Dlaczego wstał pan z łóżka? - zawołała oburzona. - Przecież uczulałam pana, że wstawać nie wolno!

Rozejrzał się po pokoju, potem utkwiał wzrok w Blanche, w całej jej postaci przyobleczonej nader skąpo. Wreszcie skupił się na twarzy.

- Myślałem, że jakiś rozbójnik zamordował panią we śnie. Lady Harrington, jest zima. Jeśli pani będzie w takim stroju stać w otwartym oknie, dostanie pani zapalenia płuc.

Co tam zapalenie płuc. Gorzej, że elegancka bielizna była z cieniutkiego batystu.

Zażenowana Blanche pomknęła do szafy.

- Och, po prostu coś mi się przyśniło. - Starannie otuliła się obszytym koronkami peniuarem. - Dlaczego pan nie zapukał?

- Krzyczała pani tak, jakby ktoś panią mordował - powiedział ostrym głosem. - Przerażliwie, jak wtedy w kościele.

Blanche wzdrygnęła się. Jak widać, zły sen wystraszył ją równie mocno, jak tłum rozgorączkowanych górników. Tyle że wtedy zemdląca, a teraz, choć zdenerwowana, była o wiele spokojniejsza i całkiem przytomna.

- Czy doktor był u pana?

- Tak, nawet dwóch, Hamilton i Linney. Są pełni uznania dla pani zręcznych palców i przytomności umysłu.

Próbowała nie patrzeć na jego obnażony tors. Dlaczego nikt nie pomógł mu przebrać się w czyste ubranie? Pólnagi paradował w tych samych spodniach, w których walał się po ziemi, gdy koń go sponiewierał.

- Czy doktor powiedział również, że wcale się nie zachwyci, jeśli zacznie pan biegać po domu kilka godzin po tak poważnym zabiegu?

- Trudno było nie biec, kiedy ktoś tak krzyczy, jak pani krzyczała.

- Nawet gdyby był to bandyta, wątpię, czy pan byłby w stanie z nim się rozprawić.

- Trzeba tylko chcieć, a sposób zawsze się znajdzie. Już pani doszła do siebie?

Mówił łagodnie, niemal czule, prawdziwy balsam dla znękanej Blanche.

- To był tylko sen, sir Reksie. - Udało jej się

uśmiechnąć. Nie chciała, żeby rekonwalescent martwił się o nią. - Da pan radę wrócić do siebie?

- Oczywiście. - Nie ruszył się z miejsca.

- A więc? - Czuła, jak powraca zdenerwowanie. Przed chwilą sir Rex widział ją w samej bieliźnie!

Dziwne, że zamiast wpaść w panikę, zastanawiała się nad odpowiedzią na pewne pytanie. Czy spodobała mu się? Odruchowo dotknęła włosów. Meg wyjęła z nich szpilki, więc spływały na ramiona. Miała nadzieję, że nie jest za bardzo rozczochrana...

- Co pani się śniło?

- Lwy i potwory - odparła.

Nie chciała rozmawiać z kimkolwiek o sennym koszmarze, bała się choćby wspomnieć o nim. Czuła jednak, że ten lew w jakiś sposób związany był z sir Rekssem, a potwór to jeden z tych rozsierdzonych łotrów wymachujących widłami...

Niemożliwe. Ojciec nie mówił o prostakach uzbrojonych w widły. W ogóle to absurd bać się snów, jakby była dzieckiem.

- Przepraszam.

- Lady Harrington, proszę przestać przeproszać, kiedy naprawdę nie ma za co. - Skłonił się lekko i wyszedł, nie zawracając sobie głowy zamykaniem drzwi.

Była pewna, że go uraziła. Trudno, nie miała zamiaru zdradzać mu reszty swoich sekretów. Podbiegła do drzwi, żeby je zamknąć. Sir Rex powoli szedł korytarzem. W takim stanie

chodzenie o kuli musiało być dla niego torturą. Rana na piersi była po prawej stronie, a on wspierał się na kuli prawą ręką.

Wstyd. Co tam jej głupi, dziecinny sen, kiedy tak naprawdę trzeba przejmować się sir Reksem. Rana jest poważna, nie wiadomo, czy nie pojawią się komplikacje.

Peniuar wrócił do szafy, Blanche włożyła jasnoniebieską suknię i pantofle. Włosy upięła w kok i udała się do pokoju chorego.

Drzwi były otwarte, niemniej zapukała. Sir Rex leżał na łóżku, kołdrę odrzucił. Nieufnie patrzył spod półprzymkniętych powiek.

- Czy mogę wejść? - Gdy skinął głową, przestąpiła próg. - Muszę pana przeprosić.

Zachowałam się bardzo niegrzecznie i...

- Przeprosiny przyjęte wszedł jej w słowo.

- Dziękuję. Czy doktor Hamilton powiedział jasno, że nic już panu nie zagraża?

- Tak. Jeśli do tej chwili nie wdała się gangrena, to żadnych komplikacji nie należy się spodziewać. Doktor Linney zgodził się z nim. Blanche, często miewa pani takie sny?

- Nigdy - powiedziała ostrzej, niż zamierzała, lecz była zła, że sir Rex zaczyna drażnić ten temat. Nie chciała jednak, by doszło do ponownego spięcia, dlatego dokończyła

żartobliwie: - Sypiam bardzo dobrze, milordzie. Przyśniło mi się, że zaszywam panu ranę. Z tego koszmaru nigdy się nie otrząsnę. Nawet się nie uśmiechnął.

- Wcale się nie cieszę, że musiała pani to zrobić. To okropne, że z mojego powodu dręczą panią majaki senne.

- Przecież tylko żartowałam. Nie jest pan głodny? Przyniosę panu coś do jedzenia.

- Dziękuję, lady Harrington. Proszę kazać przygotować jedzenie dla dwóch osób. Mam nadzieję, że dotrzyma mi pani towarzystwa.

Blanche, zbliżając się do kuchni, usłyszała męski głos. Była pewna, że to Fenwick, kiedy jednak otworzyła drzwi, okazało się, że był to ktoś obcy. Wysoki, przystojny blondyn, po ubraniu sądząc, dzierżawca albo rzemieślnik. Rówieśnik Anne, z którą właśnie rozmawiał. Widać było, że pozostają w bliskiej zażyłości.

Brat? Kuzyn? Nie, te spojrzenia... Łączyła ich namiętność. Blanche poczuła niesmak. Niezależnie od wszystkiego, sir Rex nie zasłużył sobie na to, żeby jego kochanka romansowała z kimś innym za jego plecami. Ta dziewczyna nic nie wiedziała o lojalności.

Gdy przybysz zauważył Blanche, spłoszył się

1 zniknął z kuchni, co tylko potwierdziło jej podejrzenia. Anne spojrzała na nią złym wzrokiem, ale oczywiście opanowała się. Opuściła głowę i dygnęła.

- Kto to był? - spytała chłodno Blanche. Anne podniosła głowę. Jej spojrzenie było doskonale obojętne.

- Kowal. Przyjechał podkuć konie sir Reksa.

- To ktoś z twojej rodziny?

- Nie, milady. Dlaczego milady o to pyta?

- Bo odniosłam wrażenie, że jesteście z sobą bardzo zżyci.

Anne uśmiechnęła się niepewnie.

- Nie, milady. Paul od niedawna mieszka w Lan-hadron. Prawie go nie znam.

Wzruszyła lekko ramionami i zaczęła oddalać się w głąb kuchni, co w przypadku służącej było niedopuszczalne. Służąca czeka, aż pozwoli jej się odejść.

Blanche nigdy dotąd nie miała konfliktu ze służbą. Była zawsze sprawiedliwa, czasami bardzo miła, a nawet, kiedy uważała za stosowne, wspaniałomyślna. Anne nie spodobała jej się od pierwszego wejrzenia. Z pewnością miał na to wpływ jej związek z sir Reksem, mimo to była wobec niej uprzejma.

- Anne! - zawołała do jej pleców. - Proszę przygotować posiłek dla dwóch osób i zanieść do pokoju sir Reksa.

Służąca zatrzymała się i odwróciła. Jej uśmiech przypominał grymas.

- Co milord i milady życzą sobie zjeść?

- Mięso na zimno, trochę chleba i sera... - Pomyślała o winie, ale sir Rex i tak pije za dużo, do tego wczoraj wlano w niego sporo whisky. - I gorącą herbatę.

Na twarzy Anne ponownie pojawił się osobliwy grymas, po czym ruszyła w kierunku spiżarni.

- Gdzie jest Fenwick? - spytała Blanche, kierując to pytanie ponownie do pleców służącej, która tym razem nawet się nie zatrzymała, tylko rzuciła: - Wysłałam go do wioski po sprawunki.

Blanche miała wielką ochotę udzielić jej reprimendy, nie zdążyła jednak, Anne bowiem znikła w spiżarni.

Lady Harrington, rzecz oczywista, nie zamierzała puścić tego płazem.

- Bardzo mi się nie podoba twoje zachowanie, Anne - oświadczyła, stając w progu spiżarni - Mam nadzieję, że sir Reksowi okazujesz większy szacunek.

- Przepraszam, milady. - Służąca wynurzyła się z mrocznego pomieszczenia. - Po prostu śpieszę się. Sir Rex na pewno jest głodny, a trzeba dbać o niego, przecież tyle przeszedł. Trudno było z tym dyskutować. Blanche nie pozostawało nic innego, jak przejść do innego tematu:

- Kiedy Fenwick wróci, niech pomoże sir Reksowi zdjąć brudne spodnie. Milord zapewne wolałby spędzić noc w nocnej koszuli.

- Przecież ja mogę pomóc przebrać się sir Reksowi - powiedziała Anne,,-spoglądając na nią niewinnym wzrokiem.

Blanche stężała.

- Pomoże Fenwick - oznajmiła. - Ty masz robotę w kuchni.

- Naturalnie... Chyba że milord wyznacza mi inne obowiązki.

Blanche, czując, że robi się purpurowa, obróciła się na pięcie i bardzo szybkim, już nie dostojnym krokiem opuściła kuchnię. Okropna dziewczucha, powtarzała sobie w duchu, trzęsąc się z oburzenia. Po chwili jednak skorygowała swoją opinię. Przede wszystkim okropna jest ta cała sytuacja. Pan na zamku nie powinien wykorzystywać służących, nawet jeśli są chętne. Blanche, choć narzuciła sobie dystans, uważała to za wysoce niestosowne. Sir Rex, skoro jest samotny i rozsądza go męski temperament, w ostateczności może znaleźć sobie kochankę w wiosce, dziewczynę, która u niego nie pracuje, ale chętnie po cichu sobie dorobi.

A zuchwałego zachowania Anne lady Harrington postanowiła nie będzie tolerować.

Dwa dni później Blanche siedziała w wielkiej sali, przeglądając listy. Wszystkie pochodziły od prawników. Była rozczarowana brakiem odpowiedzi od Bess, chociaż wiedziała, że najwcześniej mogła się jej spodziewać jutro.

Kiedy usłyszała znajome kroki na schodach, jej serce zabiło szybciej. Co poradzić, tak działa się zawsze, kiedy nadchodził sir Rex.

Teraz był uśmiechnięty.

- Mam nadzieję, że już mi wolno wstawać z łóżka, lady Harrington. Naprawdę staram się być karnym pacjentem.

- Nigdy bym się nie spodziewała, że będzie pan nim aż do takiego stopnia - odparła przyjaźnie.

- Jak się pan czuje?

- Znakomicie. Najchętniej zabrałbym panią na przejażdżkę po wrzosowiskach.

- Przecież od wypadku minęły dopiero trzy dni

- zaprotestowała bez przekonania, bo sir Rex wyglądał kwitnąco.

- Leżałem w łóżku, jak mi nakazano, przy okazji zrobiłem porządek w moich papierach.

Obecnie czuję się znakomicie. Tylko przy pewnych ruchach pojawia się niewielki ból w klatce piersiowej. Rozpiera mnie energia. Jak się będę tak wylegiwał, zgnuśnieję i stanę się gruby jak beczka. A dziś... Proszę spojrzeć w okno! Po prostu szkoda zmarnować taki dzień.

- Hm... Mnie też przyda się trochę ruchu na świeżym powietrzu - stwierdziła Blanche. - Jak to dobrze, że wzięłam strój do konnej jazdy.

Poszła na górę się przebrać, sir Rex natomiast do stajni. Nie minęło wiele czasu, gdy ruszyli spod zamku. Sir Rex jechał na rośłym ogierze, Blanche na klaczy Isabelle. Dzień był piękny, błękitne niebo zdobiły obłoczki, słońce świeciło jasno. Zima zdecydowanie opuszczała Kornwalię.

Kiedy dotarli na szczyt wysokiego wzgórza, sir Rex wskazał na samotną wieżę widniejącą na horyzoncie.

- Pojedziemy tam. Blanche, ma pani ochotę pogalopować?

- Naturalnie!

- A więc proszę. Damy mają pierwszeństwo!

Trąciła lekko szpicrutą śliczną, posłuszną, a jednocześnie bardzo żywą i dzielną klacz.

Isabelle z miejsca ruszyła galopem, tak miękkim i łagodnym jak ona. Blanche aż roześmiała się z tego nadmiaru szczęścia.

Sir Rex zrównał się z nią.

- Isabelle jest jak fotel bujany, prawda?

- Po prostu nadzwyczajna!

Pędzili po wrzosowisku upstrzonym pierwszymi wiosennymi kwiatkami, kierując się ku samotnej wieży. Blanche zorientowała się, że są to ruiny zamku. Zachowały się resztki kamiennych murów i wieża o wysokości trzech kondygnacji, bez dachu jednak. W środku zionęła pustką.

Zatrzymali konie. Wśród starych murów panowała idealna cisza, jakby rzeczywiście tym miejscem rządziły duchy. W oddali widać było malowniczą dolinę.

- Pięknie tu, sir Reksie,

- Też tak uważam. Według miejscowej legendy zamek kazał zbudować mój przodek, Rolfe de Warenne. Stało się to po bitwie pod Hastings w tysiąc sześćdziesiątym szóstym roku. Wkrótce jednak Rolfe'a wysłano na północ do walki z wrogiem i nigdy nie wrócił. Zamek przeszedł w ręce innego porucznika Wilhelma Zdobywcy. - Sir Rex uśmiechnął się. - Czy pani wie, że nawet już w tych zamierzchłych czasach mężczyźni z rodu de Warenne'ów szli za prawdziwą miłością? Rolfe zakochał się w saskiej księżniczce Ceidre. Była mężatką, ale wszystko skończyło się szczęśliwie. Nasz ród bierze się właśnie od nich, od Rolfe'a i Ceidre...

Słuchała, spoglądając z przyjemnością na rozpromienioną twarz sir Reksa. Z każdym dniem był coraz pogodniejszy, uśmiechał się coraz częściej. Ani śladu melancholii, ani razu nie wybuchnął gniewem. Gdy w nocy zaglądała od niego, spał głębokim, zdrowym snem. I co więcej, przestał pić, zadowalając się jednym kieliszkiem czerwonego wina przy kolacji. Wciąż się zastanawiała, cóż to za dama złamała mu serce. Jeśli wierzyć temu, co mówią o de Waren-ne'ach, sir Rex pozostanie wierny tej miłości do końca życia. Chociaż z drugiej strony... teraz sprawiał wrażenie, jakby zapomniał o dawnej bogdance. Zeskoczył z konia na lewą nogę, kulę trzymał w ręku. Jeśli go zabolalo, świetnie to ukrywał. Puścił

wodze. Koń posłusznie stał w miejscu, a sir Rex podszedł do Blanche.

- Proszę, milady, niech pani zsiada - powiedział z uśmiechem. Gdy się ociągała, dodał: - Nie przewrócę się i nie połamię.

Zniecierpliwiona klacz parsknęła. Sir Rex pogłaskał ją po lśniącej szyi, coś mruknął i klacz się uspokoiła. Choć to głupie, Blanche mogłaby przysiąc, że Isabelle aż westchnęła z rozkoszy.

Nawet mój koń reaguje na jego dotyk, pomyślała.

Sir Rex spojrzał na nią. Jego oczy błyszczały, wydawały się teraz prawie czarne. Gdy wyciągnął rękę, Blanche złożyła dłoń w jego dłoni, zsunęła się z klaczy i lekko zeskoczyła na ziemię. Prosto w ramiona sir Reksa.

Spódnica szczelnie okryła lewą, zdrową nogę sir Reksa. Jego kolano dotykało uda Blanche, jej biust znalazł się dwa cale od jego piersi. Czuła ciepłą dłoń na swej kibici, drugą na plecach.

- Zadowolona pani z przejażdżki? - spytał, spoglądając na nią rozplomienionym wzrokiem.

- Bardzo!

- A z Isabelle?

- Jest cudna.

- Czy wolno mi ją pani podarować?

- Ależ sir Reksie, nie mogę przyjąć od pana takiego prezentu.

- Proszę nie odmawiać. Sprawi mi tym pani wielką przyjemność. Jeździ pani znakomicie, ta klacz jest dla pani stworzona. - Uśmiechnął się. - Piękna dama na pięknym koniu.

Nie puszczał jej. Blanche była bliska omdlenia.

- Sir Reksie, czy pan usiłuje ze mną flirtować? - spytała bez tchu.

- Usiłuję? Przecież to robię.

Była już pewna, że zemdleje. Czy słyszał, jak bije jej serce? Dla niej był to dźwięk wręcz ogłuszający.

Jednak ten cichy szept, tuż koło swojego ucha, usłyszała doskonale.

- Blanche, chciałbym panią pocałować. Czy pani pozwoli?

Najpierw odetchnęła głęboko, potem skinęła głową i powoli uniosła twarz. Pełne, pięknie wykrojone usta zbliżały się do jej warg.

Musnęły jej usta. Wrażenie było tak nieprawdopodobne, że Blanche westchnęła i zamknęła oczy. Usta sir Reksa ponownie musnęły jej wargi, potem jeszcze raz. Była pewna, że jeszcze sekunda i jej rozszalałe serce wyskoczy z piersi. Chwyciła sir Reksa za ramiona i w tym momencie musnięcia się skończyły. Usta sir Reksa-przyłgnęły do jej warg, kazały im się rozchylić. Pocałunek był namiętny, zachłanny. Taki, po którym świat zawirował wokół Blanche, a w oczach zalśniły łzy.

- Pani płacze! Dlaczego? Łzy popłynęły.

- Bo... bo nie wyobrażałam sobie, że taki może być pocałunek.

- Ani ja, Blanche. Ani ja.

Rozdział dziesiąty

Bardzo trudno było nadal zachowywać się jak dżentelmen, gdy miało się przed sobą czarującą Blanche Harrington z włosami w nieładzie, półprzytomnym wzrokiem, wargami obrzmiałymi po pocałunku. Kiedyś sir Rex nie śmiał nawet marzyć o tym, że będzie trzymał w ramionach Blanche. A teraz, po tym gorącym pocałunku, jego ciało stanowczo domagało się czegoś więcej.

Co absolutnie powinno pozostać w sferze fantazji oraz marzeń, uznał.

Z uśmiechem wskazał na ruiny.

- Idziemy, lady Blanche?

Skinęła głową i ruszyli przed siebie po nierównej, kamienistej ścieżce wzdłuż starych murów. Szli w milczeniu zajęci własnymi myślami.

Sir Rex przetrawiał w duchu fakt, że chłodna lady Harrington, dama w każdym calu, okazała się kobietą z krwi i kości, zdolną do namiętności. Jednak jej słowa po pocałunku były wielce zastanawiające. Czyżby po raz pierwszy w życiu prawdziwie rozkoszowała się tą pieśczęcią? Raczej trudno w to uwierzyć.

Blanche przystanęła i zaczęła przyglądać się wieży. W pewnej chwili, uśmiechając się delikatnie, spojrzała przez ramię na sir Reksa.

- Jeśli tam są duchy, to na pewno duchy pańskich przodków. - Jak zawsze, nawet po takim incydencie, pozostawała opanowaną, wytworną damą. Zerwała ciemnoczerwony kwiatek. - Sir Reksie, jest pan pewien, że konie nam nie unikną?

- Jestem pewien.

- A jest pan pewien, że w tych ruinach straszy?

- Nie wierzę w duchy.

- Podobnie jak ja - rzekła z zadumą. Podeszła do wieży, dzięki czemu mógł nacieszyć oczy widokiem wdzięcznej postaci lady Harrington. Tylko oczy, bo ciało nakazał ochłonać, a umysł błagał o rozsądek. Bo cóż niby się stało? Dojrzali, żyjący na własny rachunek ludzie pocałowali się. Wielkie rzeczy. To wcale nie musi być preludium do płomiennego romansu. Zresztą, lady Harrington na pewno gustuje w dżentelmenach młodszych, o swobodniejszym sposobie bycia. Przede wszystkim w dżentelmenach kompletnych. Chodzi nie tylko o liczbę nóg, lecz także o duszę niepokiereszowaną przez bolesne zdarzenia, które mają wpływ na terażniejszość. Właśnie takiego dżentelmena wybierze sobie na męża.

- Sir Reksie, taki pan zamyślony...

Speszył się bardzo, zaraz jednak powrócił mu uśmiech.

- A tak, wpadłem w zadumę, bo podziwiam piękne widoki. Panią, lady Harrington.
 - A co tu podziwiać? Damę w moim wieku?
 - Ależ... - Chciał podejść do niej, ale kula ześlizgnęła się po kamieniu. Zachwiał się, lecz Blanche natychmiast znalazła się przy nim i chwyciła go mocno pod ramię. - Nic się nie stało, lady Harrington. Zanim nauczyłem się chodzić o kuli, upadłem ze sto razy.
 - Takie upadki to żadna przyjemność.
 - Oczywiście, lecz są niczym w porównaniu ze stratą nogi.
 - Na pewno trudno panu chodzić po kamienistym gruncie.
 - Niełatwo, ale jakoś sobie radzę... - Uśmiechnął się ciepło. - Blanche, nie potrafię mówić gładkich słówek, ale kiedy pani stanęła koło wieży, naprawdę zachwyciłem się pani wdzięczną postacią.
 - Och! - Umknęła wzrokiem, zauważył jednak, że się uśmiechnęła. - Nie bardzo wiem, co powiedzieć. Dziwne, prawda? Przecież dżentelmeni codziennie prawią mi komplementy. Powiem... dzie*-kuje, sir Reksie. Jest mi bardzo miło, że znalazłam uznanie w pańskich oczach.
- Miał wielką nadzieję, że istotnie jest jej bardzo miło, dlatego zdobył się na śmiałość:
- Proszę wybaczyć moją zuchwałość, Blanche, ale od tego pytania nie potrafię się powstrzymać. Co oznaczały pani słowa po naszym pocałunku? Powiedziała pani: „Nie wyobrażałam sobie, że taki może być pocałunek”.
 - Koniecznie chce pan wiedzieć? - Była wyraźnie speszona.

- Tak. Oboje jesteśmy dorośli, śmiem też twierdzić, że uważamy siebie nawzajem za pociągających. Sądzę, że jeden pocałunek, nawet tak żarliwy, to nic zdrożnego.

- Tyle że... rozmowa o pocałunku to całkiem coś innego niż sam pocałunek.

Miała rację. Przesadził, materia była nadzwyczaj delikatna, jednak rozpaczliwie pragnął usłyszeć z jej ust, że znaczy dla niej więcej niż inni mężczyźni.

Dlatego powiedział szczerze:

- Lady Harrington, od dawna panią podziwiam. Marzyłem o tym pocałunku.

- Och... nie wiedziałam... - Tak ją zaskoczyło to wyznanie, że całkiem straciła kontenans. Przysiadła na murku i dodała tylko: - Naprawdę?

- Naprawdę. Pozwoli pani, że usiądę koło niej?

- Bardzo proszę... Sir Reksie, ale jak to... przecież widywaliśmy się bardzo rzadko.

- Bo mało bywam, prawie wcale. Szczerze mówiąc, plotki krążące o mnie zawierają wiele prawdy. Jestem gbur, brak mi ogłady towarzyskiej.

- Co pan mówi! - zaprzeczyła żarliwie. - W stosunku do mnie zachowuje się pan bez zarzutu. Jest pan czarujący.

Uśmiechnął się.

- Pani każdemu stara się powiedzieć coś miłego.

- A pan siebie nie docenia. Może dlatego, że... - Odwróciła się gwałtownie i spojrzała mu prosto w oczy. - Sądzę, że byłoby inaczej, gdyby tamta dama nie złamała panu serca.

Już się nie uśmiechał.

- Proszę wybaczyć, ale to jakieś nieporozumienie. Moje serce jak najbardziej jest całe.

- A ja ośmielałam się twierdzić, że jednak nie. Doskonale pamiętam, co pan tamtego wieczoru mówił o miłości.

Cóż, nie docenił jej intuicji i przenikliwości. Nawet Tyrell, rodzony brat, nie wiedział, co przeżył Rex wiele lat temu. Jak bardzo zraniła go swym postępkami Julia, jaki cios zadał mu Tom Mowbray, obecnie księżę Clarewood.

Cierpiał, owszem, ale nie z powodu Julii, tylko Stephena.

- Kiedyś kochałem pewną damę. Zdradziła mnie, ale to zdarzyło się bardzo dawno temu.

Nie pamiętam, co mówiłem pani tamtego wieczoru, ale jedno wiem z całą pewnością. Nie mam złamanego serca.

- Powiedział pan z goryczą, że ludzie przeceniają miłość.

- Nie przypominam sobie.

- No cóż... W każdym razie nadal twierdzę, że ma panzałamane serce i z tego powodu zaszył się na końcu świata.

- Absurd! Jestem drugim synem hrabiego, moim obowiązkiem było wstąpić do wojsk Jego Królewskiej Mości. Jak pani zapewne wie, tę ziemię i zamek dostałem w nagrodę za zasługi wojenne. Musiałem się tu, jak to pani łaskawie określiła, zaszyć, by podźwignąć podupadły majątek.

- Rozumiem to doskonale, ale do Londynu mógłby pan zaglądać częściej.

- Owszem, niby ma pani rację, kłopot w tym, że z natury nie jestem towarzyski, dlatego okrzyknięto mnie gburem.
- Skoro pan nie darzy innych sympatią, trudno, żeby nie odpłacali tym samym.
- Akurat z tym nie będę się spierać, proszę mi tylko wyjawić, dlaczego to takie straszne, że żyję właśnie tutaj? Co to komu szkodzi? - Zesztywniał, kiedy poczuł na ramieniu delikatną damską dłoń.
- Pod wieloma względami jest to godne podziwu, sir Reksie.
Cofnęła rękę, nieświadoma, że roznieciła pożądanie.
Znow nie potrafił się powstrzymać i delikatnie musnął palcami jej policzek.
- Lady Harrington, proszę wybaczyć, że ponawiam pytanie.
- Przepraszam, ale o co chodzi? Zapomniałam, o czym rozmawialiśmy...
- O czym? - Nachylił się. - Pomogę pani sobie przypomnieć.
Spojrzał na jej usta, a potem - ponownie za nic mając zakazy - w głąb dekoltu. W spojrzeniu Blanche i jej rozchylonych ustach doszukał się zaproszenia i wszystkie hamulce znikły.
Odszukał ustami jej wargi.
Po chwili poderwał jednak głowę, świadomy, że jeszcze sekunda, a nie zapanuje nad sobą.
- Blanche, wróciła pani pamięć?
- Och... nie wiem. - Niebieskozielone oczy lśniły od łez.
- Blanche, dlaczego? Dlaczego pani znowu płacze? Sprawilem pani ból?

Oddychała ciężko, ocierając łzy z policzków.

- Jakże mógł pan sprawić mi ból, gdy stało się odwrotnie? Po prostu nie wiedziałam, że tak to jest. Mam mizerne doświadczenie... Tylko dwa razy... lecz tamte pocałunki były takie... powierzchowne.

- Tylko dwa razy?! - Nie wierzył własnym uszom. Znaczyło to, że nigdy jeszcze nie była z mężczyzną, a ten, który ją pocałował, to nikt inny, tylko Tyrell. Przecież przed laty byli z sobą zaręczeni przez kilka miesięcy.

- Mój brat był zakochany w Lizzie.

- To nie był dobry czas. Oboje spełnialiśmy swój obowiązek wynikający z rodzinnych układów.

Nie odrywał od niej oczu. Tyrell pocałował ją zaledwie dwa razy, i tylko z obowiązku, bez żaru, bez namiętności. Blanche dopiero teraz poznała prawdziwy smak tej pieszczoty, odkrył sir Rex, w ogóle nie wie, co to rozkosz, którą może dać jej mężczyzna. Mógłby być tym pierwszym.

Szkoda, że wcześniej nie przyszło mu to do głowy. Blanche Harrington czasami zachowuje się jak niedoświadczona, bojaźliwa piętnastolatka. Teraz wiedział dlaczego.

Wielkie nieba! A tam, w Londynie, zasadziło się na nią dwustu dwudziestu ośmiu łobuzów! Nie wolno dopuścić, żeby ta słodka, niewinna istota padła ofiarą jednego z nich. Przecież to tak, jakby owieczkę wpuścić w stado zgłodniałych wilków!

- Sir Reksie, dlaczego jest pan zmartwiony?

- Przepraszam, o czymś pomyślałem. Lady Harrington... - Spojrzał jej prosto w oczy. - Czuje się zaszczycony, że pozwoliła mi pani na tak... swobodne zachowanie.

Zarumieniła się, opuściła głowę. Kiedy ją podniosła, uśmiechała się.

- A nie sądzi pan, że najwyższy czas, żeby mnie ktoś w końcu pocałował? Tak naprawdę?

- Milady nie potrzebuje czegoś? - spytała Meg od progu.

Blanche godzinę temu wróciła z przejażdżki i przez całą tę godzinę przemierzała pokój wzdłuż i wszerz.

- Wejdz, Meg. Potrzebuję twojej rady.

- Och... mojej? - spytała z niedowierzaniem pokojówka.

- Tak, twojej.

- Milady dobrze się czuje?

Blanche odetchnęła głęboko. Nie, nie czuła się dobrze. Była cała roztrzęsiona.

- Nie wiem, czy dam radę cierpliwie czekać na list od Bess. Napisałam do niej, prosząc o radę. Posłuchaj... Chcę zaproponować sir Reksowi małżeństwo.

- Naprawdę? - Meg się rozpromieniła.

- Nie jesteś tym zaskoczona?

- Tylko troszeczkę, bo kiedy się patrzy na milady i sir Reksa... Proszę wybaczyć śmiałość, ale każdy zauważy, że milady i milord mają się ku sobie. A sir Rex jest taki przystojny i odpowiedzialny. Milady wie, co mam na myśli. Żaden z tych kawalerów w Londynie do niego się nie umywa.

Blanche przyznała w duchu rację Meg. Sir Rex,

samotnik z wyboru, był człowiekiem solidnym, na którym zawsze można było polegać. Mogła na niego liczyć już wtedy, kiedy nawiązali przyjaźń, lecz teraz ich kontakty nabrały nieco innego charakteru. Odruchowo dotknęła ust. Nadal trudno jej było uwierzyć, że to, do czego doszło na wrzosowiskach, wydarzyło się naprawdę. Nie spodziewała się, że pocałunek może być taki żarliwy i słodki, tak cudowny!

- A więc milady powie mu, żeby się z milady ożenił? - spytała Meg, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Tak, choć wciąż jeszcze nad tym rozmyślam. Bardzo różni się od siebie. On nienawidzi Londynu... i za dużo pije, sama wiesz.

- Mało który mężczyzna nie pije, milady. To nie ma znaczenia, dopóki sir Rex dochowa pani wierności i będzie dobrze zarządzał majątkiem. Poza tym myślę, że on pije, kiedy jest tu sam. Bo teraz nie pije, prawda? A jeśli nie lubi Londynu, to co szkodzi, jak będzie tutaj, a milady tam. Wiele małżeństw czasami się rozdziela.

- Oczywiście. Każde z nas może czasami żyć swoim życiem - przytaknęła Blanche, jednak ten pomysł jakoś nie wydawał jej się najlepszym, choć wiedziała przy tym, że sir Rex za żadne skarby nie spędziłby z nią w Londynie całego sezonu. - Szkopuł w tym, Meg, że nie wiem, czy milord przystanie na moją propozycję.

- A tego to ja sobie nawet nie wyobrażam. Przecież on patrzy na milady jak w obrazek! Blanche natomiast mogłaby wymienić co najmniej tuzin powodów, dlaczego sir Rex może odrzucić jej oświadczenia. Chociażby dlatego, że ma złamane serce, a przecież jest z rodu de Waren-ne'ów i pozostaje wierny swojej miłości. Z drugiej strony jednak ich małżeństwo

wcale nie opierałoby się na uczuciu, tylko na przyjaźni, wygodzie i względach majątkowych. Chociaż - Blanche dyskretnie oblizwała wargi, jeszcze lekko obrzmiałe po gorącym pocałunku - na pewno opierałoby się też na pożądaniu...

- On mnie pocałował, Meg. Nigdy nie sądziłam, że tak bardzo tego zapragnę...

- Bo milady jest zakochana! - wypaliła pokojówka, znów rozplývając się w uśmiechu. - Och, nigdy nie miałam tak dobrej pani. Milady powinna wyjść za mąż z miłości.

Patrzyła na Meg jak na osobę szaloną. Miałaby wychodzić za mąż z miłości? Przecież jest niezdolna do tego uczucia.

- Czuję do niego tylko sympatię. Lubię przebywać w jego towarzystwie, rozmawiać z nim, a kiedy nie ma go przy mnie, myślę o nim, martwię się o niego, o jego przeszłość, o to, jak żyje teraz, że jest sam... Byłam przerażona, kiedy ten okropny koń go kopnął!

- To jest właśnie miłość, milady.

Jej serce wprost zatańczyło ze szczęścia. Miłość? Czyżby stał się cud, czyżby naprawdę się zakochała? Jest taka sama jak inne kobiety, zdolna do głębszych uczuć, do namiętności?

Nie, to tylko marzenia, do tego wielce nierozsądne

1 zbyt śmiałe. Bała się ich w równym stopniu, jak bała

się, że sir Rex ją odtrąci. Zadrżała z niepewności, znowu czuła się tak, jakby stała nad przepaścią.

Nagle zamarła. Znowu działo się z nią coś niedobrego. Zaczął spowijać ją mrok, ciemność.

Wiedziała, kto się z niej wynurzy...

Potwór, który zadaje śmierć. Czeka na nią.

Okropny, tępy ból rozsadzał czaszkę. Ból nie do wytrzymania, oślepiający.

Osunęła się na kolana, objęła rękoma głowę.

- Milady!

Nie widziała przerażonej Meg, sir Rex poszedł w zapomnienie. Ktoś rozłupywał nożem jej czaszkę na dwie połówki, oczy widziały tylko potwora, tę bestię, pół człowieka, pół zwierzę. Miał żółte zęby, ślina ciekła mu z pyska, płonące ślepia pełne były nienawiści. Za nim kłębił się tłum równie rozjuszonych potworów.

Nóż znowu wbił się w czaszkę, w prawą skroń.

Krzyknęła rozpaczliwie, zasłaniając uszy.

- Milady! Milady! O Boże! Milady, co z milady się dzieje?

Potwór wykrzywił ohydną twarz w szyderczym uśmiechu. Podniósł wysoko ociekające krwią widły i potrząsał nimi triumfalnie.

Czuła tylko strach, tak wielki, że nie mogła oddychać. Cały świat kołysał się, zataczał. Nagle zobaczyła przerażoną Meg, która na klęczkach, zaglądała jej w twarz. Potem zobaczyła równie przerażone oczy sir Reksa. Chciała go poprosić, żeby ją ratował, ocalił, lecz kiedy otworzyła usta, pochłonęła ją ciemność.

Rozdział jedenasty

Całkowicie ubrana Blanche siedziała na łóżku, zastanawiając się, jakim sposobem tu się znalazła. Najprawdopodobniej przyniósł ją sir Rex i ocucił solami trzeźwiącymi. Pamiętała, że to on podał jej kaszmirowy szal i kazał nim się otulić. Zrobiła to posłusznie, choć wcale nie było jej zimno.

Ten sam sir Rex, z miną wielce zafrasowaną, pojawił się teraz w progu.

- Przyjechał doktor Linney.

- O! Tym razem był w pobliżu? - Uśmiechnęła się nieśmiało, jednak sir Rex wcale się nie rozpogodził.

Myślał, że oszalała? Bardzo by chciała go zapewnić, że tak nie jest, niestety, sama była pełna najgorszych obaw. Przecież w ciągu jednego tygodnia zemdląca już po raz drugi. Czyżby rzeczywiście zaczynały się w niej budzić wspomnienia o tamtych krwawych zamieszkach?

Te obrazy, które przesu-

wały jej się przed oczami, były tak realistyczne! A ona tak bardzo nie chciała przypomnieć sobie ani jednego szczegółu z tamtego strasznego dnia.

Sir Rex wszedł do pokoju, za nim podążał doktor Linney, niewysoki, korpulentny jegomość z miłym, pokrzepiającym uśmiechem na ustach.

- Żałuję, że nie dane mi było poznać pani w innych okolicznościach, lady Harrington. Podziwiałem pani dzieło, trzeba przyznać, że w szyciu jest pani bardzo biegła.

Jakoś nie potrafiła się odprężyć i podjąć żartobliwego tonu.

- Wolałabym, żeby dokonały tego ręce lekarza. - Zerknęła na przygnębioną twarz sir Reksa. Czyżby aż tak bardzo była chora?

- Sir Rex mówił mi, że w ciągu pięciu dni zemdląta pani po raz drugi. Czy może pani coś na temat powiedzieć?

- Niewiele, panie doktorze. Po raz pierwszy zemdląta, kiedy poszłam do kościółka, gdzie zebrali się górnicy. Zabrakło mi powietrza. Nie czuję się dobrze w tłumie.

- Rozumiem... A dzisiaj?

- A dzisiaj... - Co wydarzyło się dzisiaj? Przejazdźka po wrzosowiskach, pocałunek, który rozniecił w niej pożądanie. Potem gorączkowe rozważania, czy oświadczyć się sir Reksowi. A na koniec... potwory z widłami i krew.

Czy powiedzieć doktorowi Linneyowi, że przypuszczalnie budzą się w niej wspomnienia z dalekiej przeszłości? Nie. Nie miała przecież żadnej pewności, poza tym była to sprawa wyjątkowo osobista. Odważyła się tylko wspomnieć sir Reksowi o zamieszkach, o lęku przed tłumem, ale to wystarczy. Nie wyjawia mu, że po tamtych strasznych wydarzeniach

zaczęła żyć w świecie obojętności, całkowicie wyzbyta emocji. Tak było aż do przyjazdu do Land's End. Nie powie o tym ani sir Reksowi, ani doktorowi. Nikomu.

- Razem z milordem wybraliśmy się na przejażdżkę. Było bardzo przyjemnie, wróciliśmy pół godziny temu. Kiedy rozmawiałam z pokojówką, nagle rozbolała mnie głowa. Okropnie, jakby ktoś rozkrywał ją nożem. Ból był tak straszny, że upadłam. Przez chwilę widziałam jeszcze twarz Meg, zobaczyłam też sir Reksa i nagle przed oczyma zrobiło mi się ciemno.

- Czy przedtem miewała pani takie przypadłości?

- Bardzo rzadko, ale to, co zdarzyło się teraz, to coś więcej niż zwykły ból głowy. To było straszne.

- Zerknęła na sir Reksa. Wyglądał na ogromnie zmartwionego. Przypuszczalnie obarczał winą siebie. Bał się, że chwile namiętności, które Blanche przeżyła po raz pierwszy w życiu, spowodowały tak gwałtowną reakcję.

- A w jakiej ogólnie jest pani kondycji?

- Cieszę się dobrym zdrowiem, prawie nigdy nie choruję...

- Tylko nic nie je! - wtrącił się Rex. - Na śniadanie lady Harrington zjadła jedną grzanekę, potem pół dnia spędziła na koniu.

- Może rzeczywiście zemdląca pani z głodu

- stwierdził doktor. - Zdarza się to wielu damom, a pani jest bardzo szczupła i delikatna. Stanowczo powinna pani jeść więcej.

- Tyle że nie mam apetytu. Pewnie nigdy, od samego dzieciństwa, nie czułam się tak, by móc powiedzieć, że jestem głodna jak wilk.

- Lady Harrington ma za sobą smutne przeżycia - odezwał się znów sir Rex. - Pół roku temu zmarł jej ojciec, do którego była bardzo przywiązana. Odziedziczyła fortunę, teraz przeżywa najazd starających się o jej rękę. Przyjechała do Land's End, szukając spokoju i wytchnienia. Niestety, jak widać, nie znalazła.

- Rozumiem... - Doktor Linney pokiwał głową. - Lady Harrington, czy chciałaby pani coś jeszcze dodać?

Ociągała się z odpowiedzią, zastanawiając się w duchu, czy sir Rex nie ma racji. Śmierć ojca, tłum natrętnych zalotników, a teraz te chwile namiętności, o których naturalnie doktor nigdy się nie dowie. Tyle przeżyć, a przedtem w jej życiu panował wyłącznie błogi spokój...

- Nie, nie mam nic do dodania. Sądzę, że sir Rex ma rację. Ostatnie miesiące były dla mnie niełatwe.

Doktor znów pokiwał głową i wyprosił sir Reksa z pokoju. Zbadał jej puls, osłuchał i zadał kilka pytań na temat kondycji.

- Niczego niepokojącego nie znalazłem - orzekł, zamykając czarną lekarską torbę. - Moim zdaniem, jest pani zdrowa. Skłonny jestem twierdzić, że istotnie była to reakcja organizmu na napięcie, które towarzyszyło pani przez ostatnie miesiące. No i je pani za mało. Stąd to omdlenie.

Blanche wiele by dała, żeby sympatyczny doktor rzeczywiście miał rację.

Sir Rex zapukał i pchnął drzwi.

- Proszę, proszę, niech pan już wejdzie! - zawołał wesoło doktor. - Niecierpliwi się pan jak kochający mąż.
- I jak? - spytał od progu sir Rex.
- Być może to zapowiedź, że niestety będzie pani cierpieć na migreny - powiedział doktor, poklepując Blanche po ręku. - W każdym razie dobrze, że ból minął. Na wszelki wypadek dam pani środek na uspokojenie i na sen. Proszę dużo wypoczywać, dużo jeść i niczym się nie denerwować. Gdyby dolegliwość się powtórzyła, proszę natychmiast mnie wezwać. Sir Rex odprowadził doktora do drzwi, potem wrócił do Blanche.
- Zawiozę panią do Londynu, lady Harrington. Powinien panią zbadać najlepszy specjalista. Moim zdaniem, to wcale nie jest migrena.
- Naprawdę czuję się lepiej. Ostatnie miesiące były pełne przeżyć i...
- A ja dodałem następne - stwierdził ponuro. - Niech pani temu nie zaprzecza.
- Sir Reksie, przecież nie mam panu nic do zarzucenia.
- A ja sobie mam. Od pierwszego dnia pobytu w Land's End niepokoiłem panią, o czym zresztą nie wspomniała pani doktorowi ani słowa. Wystraszyłem panią, kiedy wieczorem zastała mnie pani pijanego w wielkiej sali, a dziś, podczas przejażdżki, naprawdę przesadziłem.
- Nie, sir Reksie. Niech pan nie mówi, że z tego powodu zemdlałam. Bardzo miło spędziliśmy czas,

a ból nie dopadł mnie zaraz po powrocie, tylko co najmniej godzinę później.

- Owszem, ale wcale nie tryska pani zdrowiem. Przeciwnie, jest pani drobną, delikatną damą. Troszczy się pani o wszystkich, a o sobie zapomina. Zadbala pani nawet o mnie, choć można było wyręczyć się służbą. A czy ktoś po śmierci lorda Harringtona zaopiekował się panią?

- Mam bardzo dużo służby, a także mnóstwo przyjaciół i znajomych...

- Co z tego? Pani ojciec umarł, a pani zostaje wydana na pastwę tłumy nicponi. Ucieka pani przed nimi do Land's End, a ja zamiast zapewnić pani spokój i wypoczynek, konsekwentnie wprowadzam zamęt. Wcale się nie dziwię, że końcu pani z tego wszystkiego zemdlala. Podejrzewam, że z mojego powodu miarka w końcu się przebrała i pani organizm odmówił posłuszeństwa.

Poczuła pulsowanie w skroniach. Głowa znów bolała, ale tak normalnie, na pewno nie był to ten straszny ból rozsadzający czaszkę. Wreszcie gotowa była powiedzieć sir Reksowi całą prawdę o tym, że owszem, żyje w stałym napięciu, ale jeszcze z innego powodu. Nie tylko z powodu mocnych przeżyć, lecz również dlatego, że pierwszy raz w życiu zdarzyło jej się to odczuć. Nagłe przestała być zimna i wyciszona. Zaczęła przeżywać wszystko jak normalna, wrażliwa kobieta, która stawia przed sobą wysokie poprzeczki. Ot, choćby decyzja o zaproponowaniu sir Reksowi małżeństwa. Przecież to nadzwyczaj poważne zamierzenie, które może zmienić całe jej życie, o ile nie zostanie odtrącona.

- Anne przyszykowała dla pani kolację. Przyniosę tacę. - Ruszył do drzwi. - Proszę nie protestować. Troszczyła się pani o mnie, kiedy niedomagałem, teraz moja kolej. Odpocznie

pani przez kilka dni, wróci do sił i mam nadzieję, że ten dzień odejdzie w niepamięć. Chociaż to wcale nie znaczy, że nie będzie już powodu troszczyć się o panią. Jest pani wielką damą, ale kryje się pod nią kobieta krucha i wrażliwa, wręcz bezbronna.

Wyszedł. Blanche, porażona prawdą jego słów, była bliska łez. Tym razem jednak postanowiła im się oprzeć. Żadnych łez, bo to nie będzie płacz, tylko rozpaczliwy szloch! Ściągnęła z siebie kaszmirowy szal i cisnęła nim o podłogę. Och! Jak żałowała, że nie ma pod ręką szklanki.

Nagle znieruchomiała.

Głowa! Znów wbija ktoś w nią nóż! A przed oczyma ohydna twarz potwora z szyderczym uśmiechem...

- Sir Reksie! Proszę! - krzyknęła rozpaczliwie. - Sir Reksie!

Pojawił się prawie natychmiast. Pchnął drzwi i postukując kulą, wtargnął do pokoju.

Blanche siedziała na łóżku, obejmując rękoma głowę opuszczoną prawie do kolan. Kiedy usiadł przy niej, znów krzyknęła przeraźliwie:

- Nie!

Ostrożnie położył rękę na ramieniu Blanche, choć najchętniej by ją objął. Drżała, oddychała z trudem. Policzki były mokre od łez.

- Znow ten okropny ból?

- Tak, ale już trochę lepiej - powiedziała bardzo cicho, jakby bała się, że jej głos może z powrotem przywołać ból.

Sir Rex poczuł się bezradny. Niestety, do głowy przychodziły mu najgorsze myśli. Znał kogoś, kto cierpiał na potworne migreny. Wychudł, zmarniał, w końcu umarł.

- Blanche, to trwało tylko chwilę?

Skinęła głową, westchnęła i w końcu uśmiechnęła się tak żałośnie, że z kolei sir Rex miał ochotę się rozpłakać.

- Już dobrze - powiedziała.

Nie chciał się z nią spierać, choć uważał, że jest całkiem odwrotnie. ^

- Może zje pani coś, a potem zażyje opium? Dobrze się pani wyśpi i wypocznie.

- Ma pan rację. Tego najbardziej potrzebuję. - Doskonale wyczuwała jego niepokój, bo po chwili dodała: - Tak, to bez wątpienia tylko migrena, częsta dolegliwość u dam.

Cała lady Harrington. Zemdlała, bolała ją głowa, płakała, a mimo to starała się go pocieszyć.

- Z pewnością - skłamał gładko, żałując w duchu, że nie posłał Fenwicka do Londynu. Jest tam Tyrell, na pewno by znalazł najlepszego doktora od tego rodzaju dolegliwości. Chociaż może i doktor Linney ma rację. Blanche po prostu musi wypocząć.

A on stanowczo powinien panować nad sobą. Jego zaloty mogą tylko jej zaszkodzić.

- Pójdę po kolację dla pani. - Wstał. - Mam nadzieję, że zrobi mi pani przyjemność i coś przełknie przed udaniem się na spoczynek.

- Troszczy się pan o mnie. Czuję się zażenowana. Może posłać Meg...

- Równie dobrze mogę ja to zrobić. Pomijając wszystko, jestem pani dłużnikiem, Blanche. Pielęgnowała mnie pani po wypadku, może nawet uratowała mi życie. Proszę pozwolić mi zadbać o panią. - Skłonił się i wyszedł.

- Jak wyglądam, Meg? - spytała Blanche następnego ranka, spoglądając w lustro.

- Bardzo pięknie - odparła z pełnym przekonaniem pokojówka, zerkając do lustra zza pleców swojej pani. - Nikt by nie uwierzył, że milady wczoraj źle się czuła.

Cóż tam wyglądam... Blanche i tak była roztrzęsiona. Przecież zamierzała zaproponować sir Reksowi małżeństwo! Po prostu oświadczyć się. Wszystko już przemyślała zaraz po obudzeniu, a spała długo, prawie do południa. Dzięki opium, oczywiście.

Nadal trwała w przekonaniu, że sir Rex znakomicie będzie zarządzał jej ogromnym majątkiem, a poza tym ma wiele zalet. Jest miły, uprzejmy, troskliwy, a także, co nadzwyczaj ważne, można się na nim oprzeć. Prawdziwa opoka. Lepszego kandydata na męża ze świecą szukać, uznała.

Wzięła gorącą kąpiel, potem, jako że była to okazja szczególna, wystroiła się w jedwabną suknię w kolorze lawendy, bardzo elegancką, z głębokim dekoltem. Śmiało mogłaby w niej pójść na prośzoną kolację w Londynie. Ozdobiła się też ametystami

i brylantami. W pięknie ufryzowane włosy wsunęła spinkę wysadzaną brylantami. Chciała wyglądać jak najpiękniej, chciała go oczarować, przecież pragnęła, by przystał na jej propozycję.

Nie mogła też przestać myśleć o tym, że sir Rex obwinia siebie za jej dolegliwość. Całą noc podobno spędził na krześle w jej pokoju. Tak powiedziała Meg. Blanche była zachwycona, starała się jednak sprowadzić siebie na ziemię. Sir Rex wyraził się przecież jasno. Jest jej dłużnikiem. W sumie dobrze, że to powiedział, bo gdyby tylko z tego względu zdecydował się na małżeństwo, trzeba będzie propozycję wycofać.

A jeśli nie przyjmie jej oświadczyn? Serce Blanche zabiło niespokojnie. Przecież taka możliwość też istnieje, wołała jednak w ogóle o niej nie myśleć. Byłoby to straszne, bo sir Rex, abstrahując od licznych przymiotów, podobał jej się jako mężczyzna. Wszystko jej się w nim podobało, a już te dwa gorące pocałunki...

- Milady, proszę, niech milady tak się nie denerwuje - powiedziała pokojówka z uśmiechem. - Niech milady od razu powie sir Reksowi, że się jej" bardzo podoba.

Uśmiech Blanche nie był aż tak bez troski.

- Och, Meg, nic na to nie poradzę, po prostu umieram z niepokoju. Życz mi powodzenia. Szybkim krokiem zeszła do wielkiej sali. Drzwi do pokoju w wieży były otwarte, sir Rex na pewno tam był. Blanche odetchnęła głęboko i powoli zbliżyła się do otwartych drzwi, powtarzając sobie w duchu przygotowane argumenty. Sir Rex był człowiekiem bardzo rozsądnym, postanowiła więc posłużyć się logiką, a właśnie racjonalnie rzecz ujmując, byłby to związek ze wszech miar korzystny dla obu stron.

Siedział za biurkiem. Musiał słyszeć jej kroki, bo kiedy weszła, napotkała jego wzrok.
Wstał.

- Wraca pani do Londynu?! Blanche drgnęła.

- Nie.

Wyraźnie się odprężył.

- Pomyślałem tak, bo ubrana jest pani bardzo wytwornie.

Zarumieniła się.

- Naprawdę? Meg prosiła, żebym włożyła tę suknię. Sama nie wiem dlaczego. - Wzruszyła ramionami, by zatuszować zdenerwowanie. Och, tak naprawdę to umierała ze strachu. - Sir Reksie, czy znajdzie pan dla mnie chwilę? Chciałabym z panem o czymś porozmawiać.

- Naturalnie, bardzo proszę. Jak się pani czuje? Już lepiej?

Zamknęła drzwi i weszła w głąb pokoju, świadoma, że sir Rex musiał zauważyć, jak bardzo jest spięta. Patrzył na nią wręcz podejrzliwie.

- Dziękuję. Spałam bardzo dobrze i samopoczucie mam znakomite. Na śniadanie zjadłam cały omlet.

Pokiwał głową, ale dalej wpatrywał się w nią uważnie, jakby spodziewał się ataku. Blanche, czując się coraz bardziej niepewnie, przysiadła na krześle przed biurkiem i zaczęła nerwowo skubać spódnice. Trudno jej było utrzymać nerwy na

wodzy. Pewnie lepiej by było, gdyby odłożyła tę rozmowę na później, kiedy rozum już zapanuje nad emocjami.

Może powinna zająć miejsce na sofie? No cóż, trudno... Zresztą sir Rex usiadł już w krześle za biurkiem. Dzielił ich szeroki blat.

- Odnoszę wrażenie, że jest pani zdenerwowana, lady Harrington. Czy chce pani porozmawiać ze mną o interesach? Mówiła pani, że nie są pani najmocniejszą stroną. O interesach? Uśmiechnęła się. W sumie nie mylił się, w końcu małżeństwo jest też w pewnym sensie interesem.

- Tak. Może nie do końca... a jednak tak. Odchylił się nieco do tyłu, ona dla kurażu znów odetchnęła głęboko.

- Co się stało, lady Harrington? Ponownie uśmiechnęła się promiennie.

- Chciałabym omówić z panem pewną kwestię. Kłopot w tym, że nigdy dotąd tej kwestii z nikim nie roztrząsałam.

- Może jednak nie jest to aż tak skomplikowane.

- W pewnym sensie tak... Sir Reksie, przede wszystkim chciałam powiedzieć, że miał pan słuszność co do wczorajszego dnia. Byłam... bardzo poruszona, ale powtarzam, mój ból głowy nie ma z tym nic wspólnego. Wcale mi nie przeszkadzało, że pan mnie... niepokoił.

- Czyli podejrzewa pani, że przyczyną bólu było coś, co zdarzyło się potem, po powrocie do domu?

- Owszem. Intensywnie zastanawiałam się nad moją przyszłością, dyskutowałam sama z sobą, wnikliwie wszystko analizowałam. - Zauważyła, że drgnął. - Te właśnie rozważania, sir Reksie, w końcu jakże istotne, wywołały we mnie napięcie i dlatego zemdlałam. Zapadła cisza. Po dłuższej chwili zapytał:

- Lady Harrington, o czym my tak naprawdę rozmawiamy?

- Zamierzam... zamierzam odprawić zalotników. Sam mi pan to zresztą radził, gdy tylko pojawiłam się w Land's End. Poza tym... Sir Reksie, śmiem przypuszczać, że w ciągu minionego tygodnia, kiedy mieliśmy sposobność poznać się bliżej, nawiązaliśmy przyjaźń.

- To prawda. Czuję się tym zaszczycony.

- Dziękuję. Odnoszę też wrażenie, że darzy mnie pan szacunkiem, co wielce sobie cenię. Również bardzo pana szanuję, wspominałam zresztą o tym już wcześniej.

- Owszem. Lady Harrington, co próbuje mi pani przekazać? Nie chcę być niegrzeczny, ale wstęp mamy już za sobą, nastąpi chyba pora na konkrety.

- Podczas mojej wizyty w Land's End przekonałam się, że ma pan wiele zalet. Jest pan bardzo inteligentny i bystry. Pracowity! Uczciwy! Pomysłowy! - Nagle zorientowała się, że już nie mówi, a krzyczy. Stąd to wielkie zdumienie w oczach milorda. - A swoim majątkiem ziemskim zarządza pan wzorowo - dokończyła zamierającym głosem. Sir Rex spojrzał na nią z jeszcze większym zdumieniem. Nie miał najmniejszego pojęcia, ku czemu ona zmierza, to było dla niej oczywiste. - Jestem świadoma, że różni nas bardzo wiele, ale po

wnikliwym rozważeniu tej kwestii doszłam do wniosku... - Zamilkła. Bardzo chciała wyjść za sir Reksa, co do tego nie miała żadnych wątpliwości, nadal jednak trudno jej było znaleźć odpowiednie słowa, dzięki którym jej propozycja byłaby przekonująca.

- Przepraszam, ale co to za kwestia? - spytał niezbyt pewnym głosem. - Hm... Czuję się zdezorientowany.

- Małżeństwo.

- Małżeństwo?! - Jeszcze nigdy w swym burzliwym życiu nie był tak zdumiony.

- Tak, małżeństwo. Pomyślałam, że... może pasowalibyśmy do siebie. Gdyby tylko zechciał pan zastanowić się nad tą kwestią... Nad ślubem ze mną! - Niestety, ze zdenerwowania znów dokończyła co najmniej o ton głośniej.

Sir Rex był wyraźnie wstrząśnięty. Wstał, otworzył usta, ale nie powiedział nic.

Blanche zmartwiała w poczuciu klęski, wszystko bowiem wskazywało na to, że był nie tylko zaskoczony jej propozycją. Był przerżony.

Powoli podniosła się z krzesła.

- Widzę, że sprawiłam panu niespodziankę...

- Nie ukrywam. - Sapnął, otarł twarz. - Pani pozwoli, że się upewnię. Proponuje pani, żebyśmy się pobrali? Pani i ja?!

- Tak... - szepnęła, zdając sobie sprawę, że jest czerwona jak piwonia.

- Pani i ja... - powtórzył sir Rex zachrypniętym głosem.

- Tak. - Była wystraszona jego reakcją, musiała jednak jakoś wyłuszczyć rzecz do końca. Jeśli nie da rady tego zrobić, pozostanie tylko ucieczka. - Sir Reksie, pan potrzebuje żony, a ja

męża. Pan potrzebuje majątku, a ja potrzebuję kogoś, kto będzie zarządzał moim majątkiem. Takie małżeństwo z rozsądku i względów majątkowych, poparte przyjaźnią, będzie korzystne dla obu stron! - Niestety, znów podniosła głos.

- Małżeństwo z rozsądku i względów majątkowych - powtórzył jak echo. - Lady Harrington, gdybym chciał ożenić się z majątkiem, dawno bym to zrobił.

Och nie! Co on mówi? Zdezorientowana Blanche wlepiła w niego wzrok.

- Pan... pan odmawia?

- Przed wszystkim pytam, czy pani rzeczywiście się nad tym zastanowiła. Przecież doskonale pani wie, że ja wolę wieś, pani miasto. Pani jest światową damą, ja z natury odludkiem. Miałbym zamieszkać w Londynie?

- Och, niekoniecznie! Wiele małżeństw mieszka przecież osobno, każdy z małżonków żyje swoim życiem...

- A... rozumiem. Każdy żyje swoim życiem. Ja mieszkałbym tutaj, zarządzając jednocześnie pani fortuną, pani natomiast w Londynie...

Cóż, dostała, o co się prosiła.

- Przepraszam. Popełniłam niewybaczalny błąd. - Wstała z krzesła i potykając się o własne nogi, ruszyła do drzwi.

Do których jednak nie dotarła. Usłyszała z tyłu postukiwanie kuli i sir Rex zastąpił jej drogę.

- Blanche, proszę zostać. Przedstawia mi pani szokującą propozycję, potem po prostu wychodzi. Tak nie można! - Był bardzo poruszony, twarz mieniła się gniewem.

Kompletnie tego nie rozumiała.

- Proszę wybaczyć, milordzie, ale odniosłam wrażenie, że moja propozycja nie przypadła panu do gustu - powiedziała chłodno - podczas gdy w Londynie ponad dwustu dżentelmenów przyjęłoby ją z największą radością.

- Bo są łowcami posagów. A ja nie! Sądzi pani, że jestem jednym z tych, co szepczą pani do ucha

o miłości, marząc tylko o pani majątku?!

- Ależ nie! Naturalnie, że nie!

- Poza tym mówi pani o małżeństwie z rozsądku, o tym, że każde z nas żyłoby po swojemu, nie rozumiem więc, dlaczego pani po prostu mnie nie poprosi, żebym za jakąś opłatą zarządzał pani majątkiem. W końcu wyszłoby o wiele taniej, prawda?! A mnie zostałaby oszczędzona niechęć z strony pani drogich przyjaciółek!

- Moje przyjaciółki na pewno darzyłyby pana wielką sympatią! - wykrzyknęła.

- Nigdy bym się nie włączył do życia towarzyskiego! - On już wrzeszczał na całego.

Wrzaskliwa dyskusja, bez dwóch zdań.

- Wcale nie proszę, żeby przeniósł się pan do Londynu. Pomyślałam, że mieszkałby pan na wsi, a do Londynu przyjeżdżał wtedy, gdyby wymagały tego sprawy majątkowe.

- Czyli od samego początku rozłączenie od stołu i łoża?! Wybornie!

Zarumieniła się.

- Sądzę, że omawianie kwestii łoża jest nieco przedwcześnie!

- A ja sądzą inaczej, zważywszy na to, ile wczoraj w nas obojgu było namiętności!

- Tak... - Na moment zaniemówiła, jej umysł pracował jednak pełną parą. - Chcę mieć dzieci, sir Reksie - oznajmiła w końcu.

Zapadło przytłaczające milczenie.

- Rozumiem. - Kula zastukała, sir Rex ruszył w stronę drzwi.

Blanche, nagle wyzbyta z sił, oparła się plecami o ścianę. Była załamana. Nigdy nie przypuszczała, że sir Rex na jej propozycję zareaguje tak gwałtownie. Przecież nie chciała go urazić! Jego? Nigdy!

Lecz oto stukot kuli ucichł. Sir Rex zatrzymał się

1 spojrzął na Blanche.

- Zastanowię się nad tym, lady Harrington. Nigdy bym się nie spodziewał, że pani wystąpi do mnie z taką propozycją. Poza tym nie zamierzałem się żenić.

Dziwne, ale dotąd nie przyszło jej do głowy, że sir Rex po prostu będzie chciał rozważyć jej propozycję. Myślała, że poczuje się pochlebiony i przyjmie ją od razu.

- Dzień? Dwa? - Jego głos zabrzmiał szyderczo. - Chyba że pani się wycofuje!

Zabrzmiało to bardzo napastliwie. Może rzeczywiście odczuł jej propozycję jako coś obraźliwego? Może... w każdym razie dawna, rozsądna Blanche na pewno by się wycofała.

Ale nie ta nowa.

- Podtrzymuję propozycję. - Gdy z posępną miną skinął głową, dodała: - Sir Reksie, przepraszam, jednak czy nie przesadziłam z tą naszą przyjaźnią? - Musiała o to spytać, bo może wcale nie łączyła ich obopólna sympatia i jej propozycja była trochę na wyrost.
- Nie. Nie przesadziła pani - powiedział cicho, patrząc jej prosto w oczy.
- W takim razie... w takim razie nie pojmuję...
- W takim razie wyjaśnię. Muszę wszystko rozważyć, ponieważ mam poważne zastrzeżenia, ale nie wobec pani... tylko wobec siebie.

Rozdział dwunasty

Gdy wyszła z gabinetu, sir Rex zamknął drzwi i zapatrzył się w niewidoczną dal, a w głowie miał gonitwę myśli.

Nigdy by się nie spodziewał, że usłyszy z ust Blanche Harrington propozycję małżeństwa. Chyba postradała rozum, skoro uważa go za odpowiedniego kandydata. On był mrokiem, ona światłem. Miała dobre serce, za dobre dla człowieka takiego jak on. Zasługiwała na kogoś lepszego.

Podszedł do okna i wyjrzał na świat. Tu, na wsi, rozumieli się doskonale, więcej, nawiązali szczerą przyjaźń, i właśnie dlatego Blanche przyszedł do głowy tak niedorzeczny pomysł. Lecz jest jeszcze Londyn, a tam byłoby całkiem inaczej. Na pewno by ją rozczarował. Małżeństwo z rozsądku? Ze względów majątkowych? Każdy żyje po swojemu? Nie zamierzał się żenić, a już na pewno nie tylko

z rozsądku, ze względów majątkowych ł po to, by nadal żyć po swojemu. Absurd. Gdyby rzeczywiście jego żoną miała zostać Blanche Harrington, chciałby przebywać z nią jak najczęściej. Ostatnie dni były tego najlepszym dowodem.

Próbował spokojnie przeanalizować sytuację. On gardził socjetą i nigdy to się nie zmieni. Był człowiekiem prostolinijnym o niewyrafinowanych potrzebach i upodobaniach, o czym Blanche doskonale wiedziała. Owszem, zostali przyjaciółmi, było mu też niezmiernie miło, kiedy Blanche powiedziała, że darzy go sympatią. Z tym że on, oprócz sympatii, czuł do niej zdecydowanie coś więcej. Pojawiła się namiętność, a raczej jej zapowiedź, ale miał już okazję się przekonać, że pociąga Blanche. Jednak przyjaźń wzbogacona namiętnością to jeszcze nie recepta na szczęśliwą przyszłość.

Lady Harrington jest wielką damą, gdyby więc zamieszkał w Londynie i zaczął bywać w towarzystwie, w którymś momencie i tak by ją zawiódł. Naturalnie, że potrafił się zachować, ale wcale nie był ani uroczy, ani dowcipny, ani elokwentny. Nie znosił błyskotliwych rozmów o wszystkim i niczym, łaszenia się do dam i bzdurnych konwe-
nansów, o czym zresztą wszyscy wiedzieli.

Bardzo szybko puste londyńskie życie stałoby się dla niego nienawistne, a był już wystarczająco zgorzkniały, by nie pozwolić sobie na więcej. Chociaż może londyńska egzystencja nie okazałaby się dla niego tak do końca wstrętne, skoro byłby w niej jeden jasny promyk. Jego piękna, urocza, mądra, wspaniała żona Blanche Harrington... Blanche de WARENNE.

Nagle wyobraził sobie, że mieszka w Harrington Hall. Siedzi w bibliotece i wydaje polecenia kamerdynerowi, potem idzie przez amfiladę i spotyka Blanche, swoją żonę, która prowadzi miłą rozmowę z gośćmi w salonie.

Uśmiechnął się. Co tu rozważać? Prawą nogę miał już niekompletną, a dałby sobie uciąć jeszcze prawą rękę, żeby ożenić się z taką kobietą jak lady Harrington!

Blanche chce mieć dzieci...

Sir Rex oparł się o drzwi. Naturalnie, że chciałby być ojcem jej dzieci, co wcale nie oznaczało, że będzie mniej kochać swego syna Stephena. Nigdy nie pogodzi się z jego stratą, dlatego radość z posiadania pełnej rodziny byłaby tym większa...

Blanche Harrington, kobieta ideał, żoną też na pewno byłaby wspaniałą. Czy jednak samo małżeństwo okazałoby się udane? Według kodeksu de Warenne'ów ślubny związek to miłość i wierność, a on te słowa wymazał ze swojego słownika wiosną tysiąc osiemset trzynastego roku.

Tyle że w odniesieniu do Blanche... Była całkiem inna niż Julia. Już darzył ją całkowitym zaufaniem.

Jednym słowem, był na najlepszej drodze, by się zakochać. A tego po prostu się bał.

Co robić... co robić... Przyjąć jej oświadczyzny czy odrzucić?

Blanche wbiegła do swego pokoju, powtarzając sobie w duchu, że klamka jeszcze nie zapadła. Sir Rex musi się zastanowić, nie wiadomo, jaka będzie jego decyzja. Mimo to była roztrzęsiona i zapłakana.

Reakcja milorda na jej oświadczenia była dla niej ogromnie bolesna.

Pokojówka wygarniała z kominka popiół.

- Milady!

- Wszystko dobrze... - Uśmiechnęła się tak szeroko, że aż zaboląły ją usta. Ukryła twarz w dłoniach. - Och, Meg! Moja propozycja wcale mu się nie spodobała. Rozgniewała go! Rozjuszyła! Nie wiem dlaczego!

- Milady, proszę przede wszystkim usiąść. - Zaskoczona takim obrotem sprawy podprowadziła Blanche do krzesła.

- To znaczy on nie odmówił, Meg. Powiedział, że się zastanowi.

- Naprawdę?! Och, milady, tak mi przykro. Byłam pewna, że on milady kocha...

- Wcale nie zachował się jak zakochany mężczyzna! Nawet jak ktoś nastawiony do mnie przychylnie! Szczerze mówiąc, Meg, obawiam się, że sir Rex odrzuci moją ofertę!

- Jak odmówi, to i dobrze - stwierdziła z gniewem. - Milady niepotrzebny taki gbur! A ja przyniosę herbaty...

- Och!

- Milady! Dlaczego milady krzyczy? Co się stało? Już nie słyszała Meg. Zerwała się z krzesła i przykucnęła, zmagając się ze straszliwym bólem, który ją oślepił i zabierał powietrze. Dusił się, ból rozsadzał czaszkę, a z mroku zaczął wyłaniać się potwór. Chudy jak kościotrup mężczyzna z szyderczym uśmiechem zbliżał się do niej.

- Biegnę po sir Reksa!

Ból nagle zaczął ustępować, jakby potwór zrezygnował i zaczął powoli wyciągać nóż z jej czaszki. Mogła już oddychać, mogła nawet wstać, choć z wielkim trudem.

Boże wielki, ten potwór ma swoją twarz. Dziś ją zobaczyła...

Niczego bardziej nie pragnęła niż obecności sir Reksa. Przy nim czuła się bezpieczna, ale wrodzona duma nie pozwalała na to.

- Meg! Wracaj! Już mi lepiej. Pokojówka niechętnie cofnęła się od progu.

- Jak to? Przecież milady jest chora.

Chora? To gorsze niż choroba, pomyślała z przerażeniem Blanche. Sprawdziły się jej najgorsze obawy. Zaczynała przypominać sobie, co się stało podczas tamtych zamieszek.

Ujrzała pełną nienawiści twarz i była pewna, że to twarz człowieka, który zamordował jej matkę. Sam lub z bandą morderców.

Nie! Cóż za okropne myśli przychodzą jej do głowy! Mama upadła na bruk, uderzyła się w głowę. Nieszczęśliwy wypadek, nikt jej nie zamordował.

- Doktor Linney ma rację, Meg, to tylko migrena. Nie jestem pierwszą kobietą na świecie, która na to cierpi. Nie ma powodu do obaw. - Pomyślała o przykrej rozmowie z sir Rekssem.

Była pewna, że ją odtrąci. A bardzo jej się podobał, dlatego będzie to nadzwyczaj bolesne.

Czy nie lepiej więc...

- Milady, może pora wracać do Londynu? Chyba już za długo jest milady na wsi.

- Wiesz, Meg, że pomyślałam o tym samym...

- Milady, sir Rex pyta, czy zejdzie pani do ogrodu. Chce z panią porozmawiać.

Blanche siedziała ha szeslongu przed kominkiem zapatrzona w ogień. Sir Rex chce z nią porozmawiać. Czyżby tak szybko podjął decyzję? Prosił o dzień, dwa, a minęło zaledwie kilka godzin.

Ze smutkiem spojrzała na pokojówkę.

- Na pewno odmówi.

- Niewielka strata! - wykrzyknęła rozzłoszczona Meg. - Skoro jest taki głupi! Milady znajdzie sobie o wiele lepszego męża.

- Przecież mówiłaś, że sir Rex ci się podoba.

- Teraz już nie. Ani trochę! Po tym, co milady przez niego przeszła? Taki egoista! Woli żyć tu sam jak palec ze swoją melancholią, a nie z milady, a ja myślałam, że jest dżentelmenem. Dżentelmeni zawsze dbają o swoje kobiety!

- Nie jestem jego kobietą.

- Nie? Przecież tak właśnie się zachowywał. Prawie całował ślady stóp milady!

- Przestań, Meg. Sir Rex po prostu lubi życie na prowincji;- Aha, nie lubi Londynu. Czy to takie ważne?

Najważniejsze, żeby milady mu się podobała, wtedy wszystko by się ułożyło.

- Cały Londyn o nim plotkuje, nawet Bess

i Felicia. Sir Rex źle się czuje w towarzystwie. Powiedział mi, że pod tym względem na pewno mnie rozczaruje. Tyle że mu nie wierzę. Potrafi wszystko, wystarczy rozejrzeć się po

Land's End. Poza tym on nie wie, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat bywałam więcej niż niektóre damy przez całe swoje życie, więc raczej mi się przejadło i bez wielkiego poświęcenia mogłabym się ograniczyć do rodziny i przyjaciół. Och, Meg! Mnie wcale nie przeszkadza, że sir Rex nie przepada za życiem towarzyskim.

- To dlaczego milady mu o tym nie powie?

- Bo mam przeczucie, że i tak mnie odtrąci, dlatego lepiej weź się do pakowania.

Zarzuciła na ramiona jasny szal w kolorze kości słoniowej i zeszła na dół. Na dworze było szaro i ponuro. Zanosilo się na deszcz. Jakże to pasuje do jej ponurego nastroju i sytuacji... Już z daleka zobaczyła wysoką postać sir Reksa w brązowym surducie na tle szarego oceanu. Jej serce zabiło szybciej. Była pewna, że wyjazd z Land's End niczego nie zmieni, bo i tak na całe życie zachowa w sercu ciepłe uczucia do tego mężczyzny.

Zauważył ją, pochwycił jej wzrok. Zatrzymała się, nie mogąc się zmusić, by iść do przodu. Uczynił to sir Rex. Podeszedł do niej wolnym krokiem, jakby na duszy też było mu bardzo ciężko. Po chwili zobaczyła tuż przed sobą jego posępną twarz.

- Pani... wstrząsnęła mną - powiedział cicho.

- Domyślam się.

Drżała, gorzko żałując, że wystąpiła z tak nierozważnym, wręcz głupim pomysłem. Gdyby można było cofnąć czas...

- Pani propozycją czuję się zaszczycony. Blanche syknęła.

- Nie, sir Reksie. Jest pan zły, przestraszony, ale na pewno nie czuje się pan zaszczycony! - wy-

rzuciła z siebie jednym tchem, nie wierząc własnym uszom, że stać ją na tak zuchwałe słowa. - Jak przypuszczam odrzuca pan moje oświadczenia.

- Lady Harrington, przede wszystkim chcę podkreślić, że naprawdę czuję się zaszczycony. Oprócz tego doznałem wielu innych uczuć, nie ukrywam, ale na pewno nie strach. Poza tym chciałem powiedzieć, że podtrzymuję wszystko, co wcześniej wyłożyłem. Chciałem też podkreślić, że moim zdaniem, nie zasługuję na taką żonę jak pani. Jestem o tym w pełni przekonany, jednak jeśli pani bardzo zależy, przyjmę propozycję.

Blanche była kompletnie zaskoczona, spodziewała się przecież najgorszego. Dopiero po chwili zdołała wykrztusić:

- Sir Reksie... Pan... mój Boże, nie odmawia zdecydowanie?

- Nie, choć nadal jestem pełen obaw, czy nie rozczaruję pani.

- Na pewno pan mnie nie rozczaruje.

- Jest pani tego pewna, Blanche? Tu, w Land's End, między nami układa się bardzo dobrze, ale jak by to wyglądało po miesiącu, i nie tutaj, a w Londynie? Czy pani wyobraża sobie mnie u szczytu stołu podczas przyjęcia? Bo ja nie. Czy byłaby pani zadowolona, gdybym wracał na wieś, zostawiając panią samą? A te plotki? Plotki, w których potępia się mnie w czambuł. Po naszym ślubie pani też stałaby się przedmiotem plotek...

- Dlaczego pan widzi przyszłość tylko w czarnych barwach?

- Niczego nie da się przewidzieć. Gdybym zobaczył w kryształowej kuli, że nasza wspólna przyszłość będzie świetlana, nie wahałbym się ani chwili. Blanche, przede wszystkim chcę, żeby pani była szczęśliwa. Mam wobec pani wiele ciepłych uczuć...

- Aha... - Czyli jest nadzieja! Ze szczęścia aż zakręciło się jej w głowie.
- Proszę się nie dziwić, że byłem zdumiony pani oświadczeniami. Widziała mnie pani przecież w haniebnym okolicznościach, in flagranti ze służącą, potem pijanego. Zachowałem się wobec pani zuchwale, ale pani wcale mnie za to nie potępia, co więcej, otrzymałem propozycję małżeństwa.
- Bo domyślam się, milordzie jakie są przyczyny pańskiego postępowania. Proszę tylko nie zaprzeczać, że wojna i pewna dama nie są przyczyną pańskiej udręki. Po jego twarzy przemknął cień.
- Pani wybaczy, lady Harrington, ale nie mówmy o tym. Każdy ma prawo do swoich tajemnic. Wróćmy lepiej do kwestii naszego małżeństwa. Naprawdę nie chciałbym pani rozczarować, a nie mogę obiecać, że po roku czy dwóch nie zastanie mnie pani w nocy siedzącego nad butelką whisky i zmagającego się z duchami przeszłości. Będzie pani mną gardzić i gorzko żałować swej małżeńskiej inicjatywy.
- Nigdy!
- Pani to powiedziała, nie ja. Blanche, nie mogę też obiecać, że wytrzymam w mieście tak długo, jak pani będzie sobie tego życzyła. Czy pani nadal podtrzymuje swoją propozycję?

- Tak!

- W takim razie powinienem coś jeszcze wyznać. Jeśli wycofa się pani, będzie to dla mnie całkowicie zrozumiałe, nie wolno mi jednak tego zataić. Blanche... ja mam syna.

Ta wiadomość wcale nią nie wstrząsnęła, choć zaskoczyła, i owszem. Cała londyńska socjeta brała sir Reksa na języki, nikt jednak nigdy wspomniał o dziecku, czyli nikt o tym nie wiedział.

- Mój syn mieszka z matką, tak ustaliliśmy dziesięć lat temu.

- Rozumiem...

Z matką... Nagle Blanche olśniło. To ona! Sir Rex ma złamane serce, nie należy jednak łączyć tego z samą wojną, lecz z tą kobietą, matką jego syna.

- Wyszła za męża. Oprócz mego syna nie ma innych spadkobierców - mówił beznamiętnym głosem, jakby recytował wyuczony na pamięć tekst. - Mój syn dzięki temu zyskał o wiele wyższą niż ja pozycję społeczną. Nazywa się Stephen, ma dziesięć lat... - Odwrócił głowę i spojrzał gdzieś przed siebie.

Patrzyła na jego wyrazisty profil, dostrzegła też, że mieni się na twarzy.

Blanche ogarnęło współczucie. Bardzo by chciała go pocieszyć dobrym słowem czy chociażby lekko uścisnąć mu rękę, czuła jednak, że wystarczy jeden taki gest i sir Rex się załamie, a ponieważ jest człowiekiem dumnym, nigdy sobie tego nie wybaczy.

- Pewnego dnia mój syn odziedziczy jeden z najznamienitszych tytułów w naszej monarchii i olbrzymią fortunę.

- Jak wygląda? - spytała Blanche. - Podobny do pana? Też ma ciemne włosy?
- Przepraszam, lady Harrington, ale trudno mi o tym mówić. - Przeszedł kilka kroków i zatrzymał się koło rabaty o tej porze roku pozbawionej kwiatów. - Wierzę, że to, co uczyniłem, uczyniłem dla dobra mojego dziecka. On nie ma pojęcia, że jestem jego ojcem, dopiero kiedy odziedziczy majątek i tytuł, dowie się prawdy.
- Jakiż pan wielkoduszny, sir Reksie. Skłonił głowę.
- Dziękuję, lady Harrington. Nikt o tym nie wie, nawet moi najbliżsi.
- Czuję się zaszczycona pańskim zaufaniem. Oczywiście może pan liczyć na moją dyskrecję.
- Dziękuję... - Spojrzał jej prosto w twarz. - Nie potępia mnie pani?
- Za co? Że ma pan syna z nieprawego łoża? Mój Boże, przecież połowa socjety ma takich potomków. - Uśmiechnęła się, pragnąc, żeby sir Rex choć trochę się rozpogodził. Milczał przez chwilę, potem wyciągnął do niej rękę, z czego Blanche skwapliwie skorzystała.
- Nigdy dotąd nie spotkałem damy tak wspaniałomyślnej jak pani, lady Harrington.
- To nie ma nic wspólnego ze wspaniałomyślnością. Prawdziwi przyjaciele nie osądzają się nawzajem, nie oskarżają. Są wobec siebie lojalni.
- Bardzo pięknie to pani powiedziała... A teraz proszę mi powiedzieć, czy po tej szczerzej rozmowie nie chciałaby pani jeszcze raz rozważyć swojej propozycji?

- Nie muszę niczego rozważać, sir Reksie - powiedziała z uśmiechem, ściskając lekko jego palce. - Nadal mam nadzieję na naszą wspólną przyszłość. Niczego nie dam sobie wyperswadować! Złożył na jej dłoni delikatny pocałunek.

- W takim razie, lady Harrington, chciałbym złożyć pewną obietnicę. Jeśli wspólna przyszłość rzeczywiście jest nam pisana, obiecuję, że jako pani mąż będę wobec pani lojalny, zawsze będę bronił pani i dbał o pani interesy. Lojalność to również wierność. Będę jak wszyscy de Warenne'owie, którzy, jak wiadomo, po przygodach w stanie kawalerskim są zadziwiająco wiernymi mężami. Obiecuję to pani, a teraz pozwalam sobie zapytać jeszcze raz, czy jest panŁ całkowicie pewna, że nie chce jeszcze raz rozważyć swoich życiowych planów? - Całkowicie, sir Reksie.

- Skoro tak, pozwolę sobie udzielić ostatecznej odpowiedzi. Lady Harrington, czuję się zaszczycony pani wspomniaŁą propozycją i przyjmuję ją. Zostanę pani mężem i zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby łączące nasze więzy były jak najsilniejsze, a nasze wspólne życie szczęśliwe i radosne.

Blanche ogarnęła euforia.

- Czyli jesteśmy zaręczeni!

- Tak. Zrobię wszystko, żeby pani nigdy nie żałowała swej decyzji.

Ujął w dłonie jej twarz, jego spojrzenie pomknęŁo w dół, ku ustom. Nareszcie!

- Pozwoli pani?

- Tak! Teraz nie musi już pan prosić o pozwolenie, sir Reksie.

- Rex... - szepnął, dotykając ustami jej warg - Tylko Rex...

Rozdział trzynasty

Do sir Reksa podbiegł chłopiec stajenny i milord poszedł w stronę stajni. Blanche, otuliwszy się szczelniej kaszmirowym szalem, ruszyła powoli ścieżką przez ogród w kierunku zamku. Rozpierała ją radość. Niedługo zostanie żoną sir Reksa! Nie spodziewała się, że będzie aż do takiego stopnia zachwycona, nie spodziewała się też, że przyjazd do Land's End tak bardzo odmieni jej życie. Wychodzi za mąż... Co należy najpierw zrobić? Oczywiście zastanowić się, jaki będzie ślub. Na pewno kameralny, bo była przekonana, że sir Rex zdecydowanie optował za skromną uroczystością tylko w gronie rodzinnym i osób najbardziej zaprzyjaźnionych...

W pierwszym jednak rzędzie trzeba napisać do przyjaciółki intrygantki. Kiedy tylko Bess o wszystkim się dowie, na pewno zemdleje z wrażenia. A jak się ocknie, będzie skakać z radości!

Trzeba ustalić datę ceremonii. Ślub odbędzie się w zamku, potem przyjęcie. Jaką suknię będzie miała na sobie panna młoda?

Nagle przypomniała sobie o pewnej obietnicy. Miała zaprosić państwa Farrow na kolację, a teraz była na to bardzo stosowna pora. Przy okazji można by powiadomić ich o zaręczynach. Blanche nie mogła się doczekać, kiedy ta wieść się rozejdzie.

Gdy mijała zamkową wieżę, raptem ogarnęły ją wątpliwości. Sir Rex przyjął oświadczyzny, ale to wcale nie znaczy, że mogła już się czuć panią na tych włościach i przyjmować gości.

Poza tym sir Rex dał jasno do zrozumienia, że życia towarzyskiego nie znosi.

Tak, ale odrobina takiego życia na pewno mu nie zaszkodzi, uznała po namyśle.

Przystanąła niedaleko wieży, uświadamiając sobie, że kiedy sprawa dotyczy jej narzeczonego, po prostu czuje się tak, jakby u ramion wyrosły jej skrzydła. Uśmiechnęła się. Narzeczony... Jej narzeczony, sir Rex. Jakie to cudowne!

Objęła rozpalone policzki. Najpierw przeżywała jedno zaskoczenie za drugim, potem po raz pierwszy chwilę namiętności. A teraz... teraz w jej sercu narodziła się miłość. Cud, prawdziwy cud! Wreszcie opadła skorupa obojętności i ona stała się normalną kobietą, która będzie wiodła normalne życie.

Była nieprzytomna ze szczęścia.

Nagle poczuła strach. Od razu ten najgorszy, chwytający za gardło. Wszystkie cudowne, ciepłe uczucia zostały wymiecione z jej serca.

Czuła, jak stalowe ostrze noża wbija się w czas-

kę, w mózg. Przed oczami mrok, a z niego wyłania się potwór. Ten sam chudy jak szkielet człowiek

o bardzo jasnych, pełnych nienawiści oczach. W ręku trzyma to, czym zadaje śmierć, coś czarnego, żelaznego, z okropnymi zębami.

Potwór wyciągnął po nią rękę. Zaczęła krzyczeć przeraźliwie, dusiła się, mając wokół tłum rozwścieczonych ludzi-potworów, potrząsających widłami i nożami. Usłyszała przeraźliwie kwiki konia. Odwróciła się i zobaczyła, jak rozjuszeni mężczyźni przecięli uprząż, powalili konia, zadźgali go bezlitośnie widłami. Krew pociekła na bruk...

Płacząc rozdzierająco, zasłoniła uszy. Czuła, jak ziemia zaczyna się kołysać. Straszne obrazy, już nie takie wyraźne, zaczął spowijać mrok. Jej zbawienie. Niczego więcej nie pragnęła, tylko tej ciemności, która wpełza w mózg i odbiera świadomość.

Ciemność nie nadeszła. Mrok poszarzał, znikł. Blanche uświadomiła sobie, że leży na ziemi nieopodal zamkowej wieży. Pusto, nikogo wokół, ale straszny obraz utrwalił się już w jej głowie. Nie miała żadnych wątpliwości, że przypomniła sobie to, czego była świadkiem tamtego tragicznego dnia.

Spojrzała w górę, na złowieszczo szare niebo. Poczowała na twarzy zimne krople. Padało, suknia była już cała przemoknięta.

- Milady?

Na tle nieba zobaczyła Anne, która wpatrywała się w nią z wielką ciekawością.

Blanche szybko usiadła i obciągnęła suknię. Jak długo stoi tu Anne? Co widziała?

- Milady, czy iść po sir Reksa? - Spojrzenie Anne było odpychająco zimne, nieruchome, twarz doskonale obojętna.

Nie sposób było przeniknąć myśli tej sługi. Może śmiała się w duchu z damy w przemoczonej sukni, siedzącej na ziemi.

Jednak w tej chwili Anne nic dla Blanche nie znaczyła, bo zmagiała się ze straszną myślą: czy popada w obłąd?

- Czy milady mnie słyszy? Mam iść po sir Reksa?

- Nie! - Nie daj Boże, żeby oglądał ją w takim stanie!

- Może pójde po pokojówkę milady?

- Nie. Pomóż mi wstać - poleciła Blanche zachrypniętym głosem, po czym chwyciła dłoń Anne i podniosła się z ziemi.

Wiedziała, że pod stopami ma twardy, płaski grunt, ale czuła się tak, jakby stała na śliskim, niebezpiecznym zboczu.

Wychodzi za mąż, w jej sercu dojrzewa głębokie uczucie, przed sobą ma cudowną przyszłość, dlaczego więc te okropne wspomnienia dają znać o sobie właśnie teraz, kiedy jest taka szczęśliwa? Trzeba bronić się przed nimi, nie pozwolić, żeby świat realny zniknął, a Blanche Harrington powracała na londyńską ulicę opanowaną przez rozwścieczony motłoch.

- Pomogę milady wejść do środka - powiedziała Anne. - Lepiej, żeby sir Rex milady nie oglądał. Blanche spojrzała za siebie. Anne się uśmiechała.

Rex przechadzał się po gabinecie, usiłując wpro-

wadzić w swojej głowie jakiś ład. Próby okazały się bezskuteczne, co wcale go nie zmartwiło. Przecież był w jak najlepszym nastroju. Odkąd sięgał pamięcią, nigdy jeszcze nie czuł się tak lekki, radosny, po prostu szczęśliwy.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że niezależnie od optymizmu Blanche, w ich małżeństwie nie będzie jak w bajce. Przed nimi długa droga przez całkowicie nieznane tereny. Ta podróż nie będzie łatwa, ale Bóg tylko jeden wie, jak bardzo Rex pragnął, żeby Blanche nigdy się nim nie rozczarowała.

Blanche.

Uśmiechnął się i usiadł za biurkiem. Blanche, jego żona. Sam jeszcze do końca nie wierzył, że naprawdę żeni się z lady Harrington.

Czuł się najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Z kim podzielić się radosną nowiną? Wiadomo, z bratem.

Położył przed sobą dużą kartkę papieru, umaczał pióro w kałamarzu, napisał „Drogi Tyrellu” i znów się uśmiechnął. Chciałby widzieć minę brata, kiedy będzie czytał ten list!

Drogi Tyrellu!

Wiem, że całą rodziną jesteście w Londynie. Mam nadzieję, że miewacie się dobrze. A ja chciałem podzielić się z Tobą pewną nowiną. W Land's End bawi z wizytą lady Blanche Harrington.

Spotkało mnie wielkie szczęście, jesteśmy bowiem z lady Harrington po słowie. Nasze zaręczyny nie zostały jeszcze ogłoszone oficjalnie, nie ustaliliśmy też daty ślubu, ale na pewno wkrótce to zrobimy. Ty, mój bracie, dowiadujesz się o tym pierwszy. Mam nadzieję, że cieszysz się z tego nieoczekiwanego biegu wydarzeń. Zawsze podziwiałem lady Harrington. Po jej przybyciu do

Land's End szybko zapalałiśmy do siebie wielką sympatią i nawiązaliśmy szczerą przyjaźń. Moim jedynym zmartwieniem jest pytanie, czy Blanche nie zasługuje na kogoś bardziej wartościowego niż ja. Ona jednak twierdzi, że chce wyjść tylko za mnie. Jestem zdecydowany uczynić ją szczęśliwą.

Odłożył pióro i ponownie się uśmiechnął. Czy kiedykolwiek uśmiechał się tak często? Niebawem zjedziemy do Londynu, czeka nas wiele pilnych spraw w związku ze ślubem. Drogi bracie, będę wdzięczny, jeśli przekażesz dalej tę nowinę.

Twój brat Rex

Odłożył pióro. Ależ Tyrell będzie zdumiony! I cała rodzina, cały Londyn. Oczywiście zaraz zaczną się plotki, ale nie dbał o nie. Blanche mówiła mu, że myśli podobnie, choć nie bardzo jej wierzył. Kobiety są przecież bardziej wrażliwe od mężczyzn. Dlatego przyrzekł sobie, że uczyni wszystko, by chronić ją przed złośliwymi szeptami.

Zalakował list, przyłożył pieczęć, schował ją i otworzył inną szufladę, z której wyjął portrecik Stephena, swojego syna.

Będą z Blanche małżeństwem, więc najpewniej

na świecie pojawi się więcej jego dzieci, przyrodnie rodzeństwo Stephena. Wkrótce będzie miał siostrę lub brata, więc może w związku z tym należałoby skorygować umowę z Mowbrayami? Nigdy nie próbował odebrać syna Julii, nie chciał niweczyć jego praw do tytułu i majątku, jednak niedługo będzie miał swoją rodzinę. Czyż Stephen nie powinien też do niej należeć? Niestety, wyjawienie prawdy o pochodzeniu nieuchronnie zniszczy jego przyszłość...

- Milordzie?

W progę stała uśmiechnięta Anne, a jemu natychmiast przypomniały się ich swawole w łóżku. Dobry nastrój prysł. Anne to kłopot. Sir Rex zaręczył się z lady Harrington, obecność tej służki w zamku była niepożądana, wręcz haniebna.

- Wejdz, Anne.

Weszła, spoglądając na niego czujnie.

- Zabieram się do szykowania kolacji. Czy stek z królika zadowoli milorda?

Wstał, obszedł biurko, stanął tuż przed Anne i powiedział:

- Muszę z tobą porozmawiać. - Gdy spojrzała na niego ze zdziwieniem, odpowiedział posępną miną. - Lady Harrington i ja zaręczyliśmy się.

Twarz Anne na ułamek sekundy stężała, lecz zaraz potem zmieniła się w obojętną maskę.

- Pozwolę sobie powinszować milordowi - powiedziała i dygnęła.

- Anne, nie udawaj, że nie jesteś tą nowiną poruszona. Trudno, żeby było inaczej. Wiadomo też, że wszystko ulegnie zmianie. Muszę ciebie odprawić. Dostaniesz zapłatę za cały miesiąc i referencje. - Czyżby się mylił, że po jej twarzy przemknął ironiczny uśmiezek?

Nie był pewien, bo opuściła głowę. - Nie chciałbym, żebyś czuła się pokrzywdzona.

Podniosła głowę.

- Milordzie, przecież nie jestem głupia. Od początku wiedziałam, że milord pewnego dnia się ożeni. A milady... czy milady jest chora?

- Jest delikatna, jak większość dam. Dlaczego pytasz?

- A... tylko tak. - Wzruszyła ramionami. - Słyszałam, że milady ma bóle głowy. Czy milord życzy sobie, żebym zastała tu, póki nie znajdzie się ktoś na moje miejsce?

- Nie, dziękuję, Anne. Przez ten czas twoje obowiązki pełnić będą Fenwick i Meg, a tobie od razu przekażę czek. - Siadł za biurkiem i wypisał czek na pokaźną sumę.

Anne podeszła do biurka. Patrzyła, jak sir Rex pisze, jak składa podpis na czeku, po czym odebrała go i wsunęła za stanik.

- Milord jest bardzo hojny... - Zniżyła głos, jej oczy rozbłyły. - Może milord chce, żebym pożegnała się z nim należycie? Nie miałabym nic przeciwko temu...

- A ja tak! Byłoby to haniebne.

- Dlaczego, milordzie? - Przykryła dłonią jego dłoń. - Przecież milord nie jest jeszcze żonaty. Cofnął rękę.

- Idź się pakować.

Dygnęła i odwróciła się do drzwi.

W progu stała Blanche. Miała mokre włosy, poszarzałą twarz.

Jej widok przeraził sir Reksa.

Gdy Anne przemknęła obok, blade policzki Blanche poróżwiały.

- Przepraszam, nie chciałam przeszkadzać - powiedziała nieswoim głosem.

- Kochanie! - Kula zastukała głucho o podłogę, sir Rex starał się jak najszybciej znaleźć przy narzeczonej. - To wcale nie było tak, jak się pani wydaje!

- Nie! - Szybko cofnęła się o krok. Słyszał ciężki oddech, ale na twarzy lady Harrington pojawił się uprzejmy uśmiech. - Ma pan pełne prawo do prywatnego życia, sir Reksie. Ona ma rację. Przecież nie jesteśmy jeszcze małżeństwem.

- Do diaska! - Chwycił ją za rękę. - Złożyłem pani przysięgę i nigdy jej nie złamię. Anne zaczęła się do mnie zalecać, nie zaprzeczam, ale ją odprawiłem - wyjaśnił żarliwie.

- Jeśli chce pan z nią dalej romansować, postaram się to zrozumieć...

- Czy pani słyszała, co powiedziałem? Odprawiłem Anne. Zapłaciłem jej za cały miesiąc i kazałem się pakować. Blanche, proszę, to już przeszłość, teraz pragnę tylko pani. Pani!

Po jej twarzy przemknął nikły uśmiech.

- Przepraszam, sir Reksie. Zachowałam się niemądrze, ale to dlatego, że boli mnie głowa.

- Znowu? Bardzo boli?

- Och, nie tak bardzo jak poprzednio. Byłam poruszona naszą rozmową, to rozumiałe, więc migrena dała znać o sobie, a kiedy tu weszłam, obecność Anne nasiliła ten stan. Zaraz jednak mi przejdzie. Jestem zadowolona, że pan ją odprawił.

- Może przejdziemy do wielkiej sali? Widzę, że pani przemokła. Posiedzimy przed kominkiem, ogień osuszy panią i rozgrzeje, a ja dowiem się, o czym chciała ze mną pani porozmawiać. Intuicja podpowiada mi, że o naszym ślubie.

- Tak łatwo mnie rozszyfrować?

- Akurat ja nie mam z tym trudności. Proszę, chodźmy.

Kiedy rozsiedli się na sofie przed kominkiem, sir Rex bez żadnych wstępów zakomunikował:

- Zgadzam się na wszystko.

- Tak po prostu? Och, proszę zrozumieć, zależy mi, żeby pan też był zadowolony z naszego ślubu.

Z uśmiechem wziął ją za rękę.

- Na pewno będę. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

- Myślałam o kameralnej uroczystości. Pańska rodzina i kilka zaprzyjaźnionych osób.

- Naprawdę tak to sobie pani wymarzyła? Czy też chodzi o to, by zrobić mi przyjemność?

- Naprawdę. To dobrze, że jesteśmy w tej sprawie zgodni - wyznała z entuzjazmem.

Była w tym swoim zapale po prostu zachwycająca, nic więc dziwnego, że sir Rex nie mógł się powstrzymać od złożenia na jej ustach gorącego pocałunku. Całował ją, a od nadmiaru szczęścia aż kręciło mu się w głowie. Ta cudowna kobieta będzie przecież jego żoną!

Przed chwilą omal wszystkiego nie zepsuł. Cud,

że tak się nie stało. Może zresztą nie tyle cud, bo zdecydowało zaufanie, którym darzyła go narzeczona. Jest taka słodka, łagodna, zgodna... Czego warto by się od niej nauczyć.

- Blanche, o ile sobie przypominam, chciała pani zaprosić gości na kolację.

- Tak, ale nie ma z tym pośpiechu. Teraz musimy zastanowić się nad ślubem.

- Odbędzie się za pół roku, może nawet za rok, bo trzeba uzgodnić termin odpowiadający wszystkim, i te całe przygotowania, a gości możemy przyjąć, o ile taka pani wola, choćby jutro.

- Sir Reksie...

- Tylko Reksie - poprawił ją z uśmiechem. Zagryzła wargi, zawahają się.

- Przepraszam... ale jednak sir Reksie. Nie musimy się śpieszyć z przyjmowaniem gości.

- Owszem, ale możemy zacząć. Proszę czuć się panią tego zamku.

- Dziękuję. W takim razie może oprócz państwa Farrow zaprosić też doktora Linneya z małżonką?

- Jak. pani sobie życzy.

- Jest tylko pewien kłopot. Meg nie umie gotować, chyba trzeba będzie poprosić Anne, żeby przygotowała kolację.

Rzeczywiście to duży kłopot, uznał sir Rex, przecież chciał, żeby Anne jak najszybciej opuściła zamek.

- Może nająć kogoś z wioski?

- Sama już nie wiem. Anne gotuje nieźle, dlaczego nie mogłaby zostać tu jeszcze dzień, dwa? Chociaż... moglibyśmy poczekać z przyjmowaniem gości, aż będziemy po ślubie, czyż nie?

Ten pomysł bardzo przypadł mu do gustu, wiedział jednak, że Blanche bardzo cieszy się na tę proszoną kolację. Nie chciał jej pozbawiać przyjemności.

- Powiem Anne, że ma zostać do jutra - zdecydował.

Blanche na pierwszą kolację w towarzystwie narzeczonego postanowiła ubrać się naprawdę elegancko, dlatego wybrała wytworną wieczorową suknię z jedwabiu w kolorze kości słoniowej z różowymi dodatkami. Wyglądała naprawdę ładnie, myślała zadowolona, kiedy przed wyjściem z pokoju po raz ostatni przeglądała się w lustrze. Była taka szczęśliwa...

Nagle odbicie promiennej Blanche znikło. Znikło też lustro. Pojawił się on, człowiek-potwór odsłaniający żółte zęby w szyderczym uśmiechu.

Rozległ się przeraźliwy kwik katowanego konia.

Blanche krzyknęła, zasłoniła uszy. Znow była małą, przerażoną dziewczynką, po którą człowiek-potwór wyciąga rękę.

Gdzie mama?

Nie ma jej, wywlekli ją z powozu! Blanche to widzi... i widzi, jak jasnooki potwór wyciąga po nią rękę. Na szczęście udało jej się umknąć przez rozwścieczony tłum, który wyległ na ulice Londynu. Biegła, ślizgając się po bruku zalany krwią. Kwik konia cichł, obraz szyderycy stawał się coraz bardziej niewyraźny. To już nie był żywy człowiek, tylko to, czym był naprawdę. Koszmarnym wspomnieniem, które na zawsze wryło jej się w pamięć.

Uzmysłowiła sobie, że jest w końcu korytarza, przy schodach, i trzyma się kurczowo balustrady. Dyszała ciężko, serce kołatało się w piersi, po policzkach spływały łzy. Nie miała pojęcia, jak tu się znalazła. Matko przenajświętsza, czyżby traciła rozum? Ludzie zdrowi na umyśle są zawsze świadomi, gdzie przebywają i dokąd idą, nie tracą nagle świadomości, nie przemieszczają się w czasie. Nie wracają do swojej przeszłości.

- Blanche?

Na dole, przy schodach, stał sir Rex. Czekał na nią. Na szczęście był pogodny i uśmiechnięty, czyli nie widział, jak biegła korytarzem niczym obłąkana. I wyglądał bardzo elegancko, do pierwszej kolacji z narzeczoną wystroił się w biały frak.

Stał tam jak bezpieczna przystań. Miejsce, do którego trzeba dotrzeć jak najprędzej.

Miała nadzieję, że udało jej się przybrać pogodny wyraz twarzy. Okazało się, że nie, bo kiedy stanęła przed sir Rekssem, spytał z wyraźnym niepokojem:

- Blanche, czy coś się stało?

Miał pełne prawo poznać całą prawdę, był przecież jej narzeczoną, poza tym szczerze wyznanie na pewno przyniosłoby jej wielką ulgę. Mogłaby wypłakać się w jego ramionach, powiedzieć, że zaczyna przypominać sobie krwawe zamieszki, a w tych wspomnieniach znów staje się sześciolletnią dziewczynką. Jednak po takim wyznaniu sir mógłby pomyśleć, że oszalała, i odstąpić od małżeństwa, co zresztą chyba powinien zrobić. Te koszmary powtarzają się, a sir Rex zasługuje na zdrową żonę. Może jednak majaki przeminą? - rozważała Blanche. Może z Bożą pomocą odejdą z powrotem w niepamięć? Przecież jest zakochana.

- Nic się nie stało - zapewniła i przywołała na twarz promienny uśmiech.

Wziął ją pod rękę.

- Wygląda pani na wystraszoną.

- Och, troszkę denerwuję się jutrzejszymi gośćmi, to wszystko.

- Tylko tym? Naprawdę? Bo czasami mam wrażenie, że skrywa pani przede mną jakąś tajemnicę.

- Skądże! Nie mam nic do ukrycia.

- Czy ma pani kłopoty, Blanche?

- Jedynym moim kłopotem jest zbyt wielka fortuna, którą odziedziczyłam po ojcu, ale tego problemu się pozbędę, kiedy wszystkie sprawy złożę w pańskie doświadczony ręce.

Chodźmy, kolacja na pewno czeka na stole.

Rozdział czternasty

Blanche zajrzała do kuchni o wpół do szóstej. Włosy miała upięte i ozdobione brylantami, ale ubrana była jeszcze w codzienną suknię z szarej wełenki. Państwo Farrow mieli przybyć o wpół do siódmej, miała jednak niedobre przeczucia, dlatego postanowiła sprawdzić, co się dzieje w kuchni.

Pachniało rybą!

- Anne!

Ani śladu służącej. Blanche, coraz bardziej rozgniewana, ujrzała na patelni filety z dorsza i ziemniaki, mimo że zarządziła podanie kornwalijskich kur i jagnięcych nóżek. W garnkach dostrzegła jeszcze więcej ziemniaków i zielony groszek.

Przeczucie jej nie myliło. Służąca zlekceważyła polecenia.

- Anne!

Zajrzała do spiżarni. Nikogo, spojrzała więc w okno i aż zatrzęsała się ze złości. Zobaczyła Anne i jasnowłosego kowala. Gawędzili sobie w najlepsze, jakby pierwsza proszona kolacja w Bodenick nie miała zacząć się za godzinę. Blanche stanęła w drzwiach.

- Anne! Bardzo proszę do kuchni!

Służąca odwróciła się do niej, podobnie uczynił jasnowłosy kowal, który z szacunkiem zdjął czapkę. Natomiast Anne nieśpiesznie podeszła do kuchennych drzwi.

- Gdzie są kornwalijskie kury i nóżki jagnięce?

- spytała podniesionym głosem Blanche.

- Przepraszam, milady, ale mówiłam pani pokojówce, że na rynku nie było ani kur, ani jagnięcych nóżek.
- Meg nic mi nie powiedziała!
- Widocznie zapomniała.
- Dorsz jest bardzo pospolitą rybą! Nikt go nie podaje na proszoną kolację.
- Mam tylko dorsza, milady. Zrobiłam za to taki sos, jak pani poleciła.
- A także dorsza! Czy to przypadkiem nie złośliwość z twojej strony?
- Gdzieżbym śmiała, milady. Poza tym sir Rex jest dla mnie taki hojny, zawsze był dla mnie bardzo dobry...

Naturalnie, była to grubymi nićmi szyta aluzja do niedawnej zażyłości z sir Reksem.

- Och, tyle że mnie chcesz zrobić na złość! Mnie!
- krzyknęła. - Bo nie w smak ci, że sir Rex żeni się ze mną! - Nigdy by się nie spodziewała, że upadnie tak nisko i w ten sposób będzie rozmawiała ze służącą.

- Za nic bym się nie ośmieliła nie spełnić poleceń milady. Cieszę się bardzo, że milord i milady biorą ślub. A jeśli kolacja ma być gotowa na siódmą, powinnam wracać do roboty - wyrecytowała Anne beznamietnym głosem, po czym weszła do kuchni.

W skroniach Blanche zaczęło niebezpiecznie pulsować. Czyżby koszmar powracał? Teraz?! Nie, na szczęście nie, bo żaden wyimaginowany nóż nie przebija czaszki, to tylko zwyczajny lekki ból głowy po scysji ze służącą.

Jednak wcale nie było z nią dobrze. Gdzie podziało się słynne opanowanie lady Harrington? Nawet jeśli Anne chciała zrobić jej przykrość i zepsuć pierwszą proszoną kolację w Bodenick, nie powinna wpadać w złość. -Nie do wiary, że zachowała się tak zenująco!

Weszła do środka i zajrzała do kuchni. Anne krzątała się przy piecu kuchennym. Już nie tak zła, Blanche udała się do swojego pokoju. Na łóżku leżała suknia w kolorze ciemnej, soczystej zieleni. Przynajmniej strój jest odpowiedni, pomyślała z goryczą, nagle pełna obaw, chociaż przyjmowała gości setki razy, była mistrzynią w salonowej konwersacji i potrafiła zadbać, by każdy, kto ją odwiedza, czuł się swobodnie. Dzisiejszego wieczoru na pewno nikt nie będzie się zastanawiać, dlaczego podano dorsza, trzeba tylko postarać się, by nie zabrakło dobrego wina.

Kiedy przystąpiła do zdejmowania szarej sukni, w pokoju zjawiała się pokojówka.

- Meg, dlaczego mi nie powiedziałaś, że nie ma kur ani jagnięcych nówek?

- Nie wiedziałam o tym, milady.
 - Anne powiedziała, że prosiła cię, byś mi to przekazała.
 - Nic mi nie mówiła, przysięgam. Nie zamieniłam z nią dziś ani jednego słowa. Przysięgam, milady. Ależ z niej kłamczucha! Nie lubię jej. Milady, przed nią trzeba się mieć na baczności
 - zakończyła ostrzegawczym tonem.
 - Też tak myślę... Pomóż mi się ubrać. Nie ma się czym tak przejmować. Przeżyjemy tego dorsza, a dni Anne w Land's End są policzone. Nikt i nic, a już zwłaszcza ta służka, nie zmieni faktu, że teraz ja tu jestem panią.
 - Oczywiście, milady. A niedługo milady będzie żoną sir Reksa.
- Blanche pomyślała z zadowoleniem, że mimo skromnego dania wieczór jest bardzo udany. Państwo Farrow czuli się jak w siódmym niebie, bo zaproszono ich do zamku. W związku z tym zachwycali się wszystkim. Doktor Linney był bardzo układny, a sympatyczna pulchna doktorowa traj-kotała bez przerwy, nieustannie kierując rozmowę na jeden temat, czyli rodzinę sir Reksa. Wyraźnie była zafascynowana znanym irlandzkim rodem, a hrabinę wychwalała pod niebiosa.
- Wszyscy wiedzą, że hrabina ma tyle samo urody, co szlachetności w sercu. Znana jest z dobroczynności. Tak żałuję, że nigdy jej nie widziałam, gdy bawiła z wizytą w Bodenick, chociażby na ulicy w Lanhadron. Sir Reksie, kiedy hrabina zjedzie tu następnym razem, czy mógłby pan nas o tym powiadomić?

- Naturalnie, łaskawa pani.
- Cudownie! Czy będzie można złożyć hrabinie wizytę? Mam nadzieję, że nas przyjmie.
- Oczywiście, pani Linney, z największą przyjemnością - zapewnił uprzejmie i z uśmiechem spojrzawszy na Blanche, która siedziała na drugim końcu długiego stołu.

Odwzajemniła uśmiech, po czym powiedziała:

- Hrabinię znam od lat, to czarująca dama. Mimo wysokiej pozycji jest wręcz ujmująca wobec wszystkich. Na pewno nie zlekceważy sąsiadów swego syna, natomiast ja ze swej strony, kiedy wrócę do Londynu, wspomnę hrabinie, że kiedy będzie bawić w Kornwalii, pani chciałaby złożyć jej wizytę.

Doktorowa rozpromieniła się.

- Pani również jest przemiła, lady Harrington. Nic dziwnego, że oczarowała pani sir Reksa. Blanche spojrzawszy na narzeczonego, który wydawał się tą uwagą rozbawiony.
- Również jestem pod urokiem lady Harrington
- szarmancko włączył się do rozmowy Paul Farrow. -Wiele słyszeliśmy o pani, milady, nigdy jednak nie spodziewałem się, że zastaniemy tu tak uroczą panią domu. A jedzenie jest wyborne, proszę przekazać słowa uznania kuchmistrzowi.
- Jak długo zabawi pani na wsi, lady Harrington?
- spytała Margaret Farrow.
- Sama jeszcze nie wiem - odparła Blanche, nie przestając uśmiechać się do sir Reksa. -
Odwiedziłam Kornwalię po raz pierwszy i jestem po prostu zachwycona.
- A mnie tutejszy klimat nie bardzo odpowiada

- powiedział doktor Linney, spoglądając na strugi deszczu spływające po okiennych szybach. - Chociaż w lecie jest naprawdę pięknie. Musi pani przyjechać tu w lipcu, lady Harrington.

Blanche i sir Rex wymienili się spojrzeniami.

- Tak zamierzam zrobić - powiedziała cicho, zastanawiając się, czy właśnie nie nastał dobry moment na ogłoszenie zaręczyn.

Sir Rex jakby czytał w myślach narzeczonej, bo nieznacznie skinął jej głową i oznajmił:

- Chcielibyśmy podzielić się z państwem pewną nowiną - oznajmił, nie odrywając oczu od Blanche. - Lady Harrington zgodziła się zostać moją żoną. Nasze zaręczyny nie zostały jeszcze oficjalnie ogłoszone, nie spisaliśmy nawet intercyzy, ale jesteśmy już po słowie, o czym z radością państwa powiadamy.

Ta wieść wywołała wśród gości wielkie poruszenie. Doktor Linney i pan Farrow rzucili się do sir Reksa z najlepszymi życzeniami, ich małżonki patrzyły na Blanche roziskrzonym wzrokiem. - A ja coś przeczuwałam. Naprawdę! - zawołała zachwycona Margaret. - Cudownie, będziemy sąsiadkami, bo przecież po ślubie nie zapomni pani o Kornwalii? Będzie tu pani przejeżdżać, prawda?

- Oczywiście. Poza tym bardzo mi będzie miło, jeśli wszyscy państwo odwiedzą nas w Londynie, w Harrington Hall.

- Och, dziękujemy!

- Przyznam się, że jestem trochę zaskoczona

- powiedziała doktorowa zniżonym głosem, na-

chylając się nieco ku Blanche. - Byłam pewna, że sir Rex na zawsze pozostanie w stanie kawalerskim, a oto proszę, spotkało go takie szczęście! Udało mu się oczarować tak słodką damę.

- To mnie spotkało szczęście - odparła z uśmiechem Blanche.

- Musi pani jednak wiedzieć, że sir Rex jest człowiekiem o dość zmiennych nastrojach - z powagą oznajmił doktor.

Skwitowała to promiennym uśmiechem, po czym rzuciła lekko:

- Och, poradzę sobie!

- Czyli usidliła pani bohatera z ostatniej wojny - skomentował pan Farrow. - Mój kuzyn mówił mi, że sir Rex, sam ciężko ranny, - na własnych plecach wyniósł z pola bitwy rannego księcia Clarewooda, czym uratował mu życie.

Blanche zerknęła na sir Reksa. Głowę miał lekko pochyloną, zauważyła jednak, że się zarumienił.

Paul Farrow natychmiast zorientował się, że popełnił gafę.

- Przepraszam, milordzie. Uprzedzono mnie, że nie lubi pan wojennych wspomnień, ale mój kuzyn służył w Jedenastym Regimencie Dragonów Lekkich i nie mogłem się powstrzymać, żeby nie wspomnieć o tamtych krwawych czasach.

Sir Rex wypił łyk czerwonego wina, spojrzał na pana Farrowa, po czym wzruszył ramionami.

- Nie wspominam wojny. To było wieki temu.

- Ma pan rację. Po co przywoływać te okropne obrazy. Chwała Bogu, że dzięki takim bohaterom jak pan wygraliśmy tę wojnę.

Zaniepokojona Blanche podniosła się ze swojego miejsca, bowiem sir Rex zbyt intensywnie wpatrywał się w swój kieliszek.

- Miłe panie, może przejdziemy do wielkiej sali? Panowie będą mieli sposobność nacieszyć się cygarami i brandy. - Kiedy zaczęły wstawać z krzeseł, na moment podeszła do narzeczonego. - Powiem Fenwickowi, żeby przyniósł brandy.

- Dziękuję, Blanche - powiedział cicho, nie patrząc na nią.

Przeprosiwszy panie, pomknęła do kuchni i poleciła Fenwickowi podać dżentelmenom brandy. W drodze powrotnej, kiedy mijała otwarte drzwi pokoju jadalnego, zauważyła z zadowoleniem, że sir Rex już się rozchmurzył i słuchał pilnie tego, co opowiadał pan Farrow. Kiedy zaś zbliżała się do otwartych drzwi wielkiej sali, zauważyła, że pani Farrow i pani Linney bardzo zaaferowane szepczą coś między sobą.

Szepczą, bo nie chcą, żeby ktokolwiek je usłyszał. O czym więc tak sobie poszeptują?

Blanche nigdy nie podsłuchiwała, teraz jednak, zadając kłam swoim obyczajom, podeszła na palcach i bezwstydnie nadstawiła ucha.

- Jestem całkowicie wytrącona z równowagi - szeptała pani Linney. - Tak mi jej żal...

- W ogóle w to nie wierzę! - powiedziała pani Farrow też szeptem, ale zabrzmiało to bardzo stanowczo.

- Niestety, to prawda! Ktoś słyszał o tym z ust rodzonej ciotki tej dziewczyny. Biedna lady Harrington nie ma pojęcia, że sir Rex tuż pod jej

nosem w najlepsze romansuje ze służącą. Taki wstyd! Taki wstyd!

- Nie wierzę! - powtórzyła niemal na głos pani Farrow.

Zaskoczona i wystraszona Blanche oparła się o ścianę. Sir Rex uprzedzał ją, że zaczną krążyć plotki na ich temat. Cóż, miał rację. Problem w tym, że skoro pani Linney wiedziała o jego amorach z Anne, wiedziała również o tym cała okoliczna szlachta, w ogóle wszyscy mieszkańcy parafii.

Co robić? Wejść z uśmiechem jakby nigdy nic? Na pewno zrobiłaby tak kiedyś, gdyby coś niepowołanego dotarło do jej uszu, lecz nie teraz.

Wkroczyła do sali z marsową miną.

Damy jak na komendę zwróciły głowy w jej stronę, obie zbladły.

- Proszę wybaczyć, miłe panie, ale nie toleruję plotek pod moim dachem - powiedziała oschłym tonem lady Harrington. Pani Linney zbladła jeszcze bardziej, a Blanche, odetchnąwszy głęboko, wypowiedziała jedno z największych kłamstw w swoim życiu: - Ta służąca od samego początku sprawiała wielkie kłopoty. Sir Rex chce ją odprawić, a ona, żeby zrobić mu na złość, rozsiewa głupie plotki. Bardzo głupie, bo sir Rex, mój przyszły mąż, jest prawdziwym dżentelmenem i nigdy by nie zadawał się ze służącą.

- Och, przepraszam - płaszczyła się doktorowa. - Sama nie wiem, jak mogłam zachować się tak skandalicznie!

Oczywiście, że mogła. Blanche znała tylko jedną kobietę, która nie dbała o plotki, choć wciąż docierały do jej uszu, na przykład od Bess. Tą kobietą była ona sama. Dla niej plotki były obrzydliwe oraz groźne, bo gdy już zaczynały o kimś krążyć, nie zostawiano na nim

suchej nitki. Niestety, akurat ta plotka bardzo ją zabolą. Nagle całe to salonowe życie wydało jej się płytkie, głupie, wręcz obmierzłe. Zdecydowanie przyjemniej jadać kolację tylko w towarzystwie sir Reksa.

- Będę pani bardzo wdzięczna, pani Linney, jeśli pani łaskawie zdementuje tę ohydną plotkę.

- Ależ oczywiście! - przyrzekła skwapliwie.

- Może pani na mnie polegać, lady Harrington. Wcale nie miała pewności, czy doktorowa nadal

nie uważa, że w owej pogłosce tkwi ziarno prawdy, była jednak pewna, że ta w sumie dość bystra kobieta zrobi wszystko, by być zapraszana do Bodenick.

- Dziękuję - powiedziała Blanche. - Zależy mi na tym, tym bardziej że bardzo cenię sobie naszą znajomość i nie chciałabym, by zmały ją tego rodzaju nieprzyjemne sprawy.

- Lady Harrington, proszę, niech pani usiądzie!

- Pani Farrow wyglądała na szczerze zmartwioną.

- Może napiłaby się pani herbaty?

- Dziękuję. Dotknęła mnie ta obrzydliwa plotka, nie ukrywam, ale doszłam już do siebie. Nagle zauważyła, że tuż za drzwiami stoi sir Rex. Wcale nie musiała zastanawiać się, ile usłyszał, bo ponura mina mówiła sama za siebie.

Wszedł do sali.

- Panie są już znużone, jak widzę... - Było oczywiste, że z trudem hamuje gniew.

- W rzeczy samej! - krzyknęła nerwowo pani

Farrow. - Pora zbierać się do domu. Nie chcielibyśmy nadużywać gościnności państwa. Lady Harrington, ma pani teraz tyle na głowie. Byłabym szczęśliwa, gdyby pani pozwoliła sobie pomóc w czymkolwiek. Proszę się nie krępować. Jeszcze raz dziękujemy za zaproszenie, było nam bardzo miło.

Do sali weszli pozostali dżentelmeni, żeby się pożegnać, jednak pierwsza do Blanche podeszła pani Linney, z trudem kryjąc zdenerwowanie, powiedziała:

- Proszę wybaczyć, naprawdę nie chciałam pani urazić, lady Harrington. Tak się cieszę, że pani i sir Rex się pobieracie. Jeśli pani pozwoli, w przyszłym tygodniu złożę pani wizytę. Blanche zmusiła się do uśmiechu.

- Naturalnie, będzie mi bardzo miło. Jeszcze chwila i Fenwick wreszcie zamknął za gośćmi drzwi. Kiedy sir Rex z powrotem wszedł do sali, Blanche, która nie czuła się na siłach do zasadniczej rozmowy, rzuciła lekko:

- Bardzo miły wieczór, prawda? - Miała nadzieję, że usłyszy równie zdawkową uwagę i temat zostanie wyczerpany, jednak pod wpływem ponurego spojrzenia narzeczonego musiała dodać: - Sir Reksie, tak mi przykro, że pan to usłyszał.

- A mnie jest przykro, że usłyszała to pani. Zdecydowała się pani wyjść za mnie, a tu rzucają pani w twarz okrutną prawdę...

- Już ją wcześniej poznałam i pogodziłam się z nią. Przecież to już przeszłość, zamknięta księga, natomiast ważne jest to, że jesteśmy sobie przychylni, czyż nie tak?

- Tak, lady Harrington. A co do kolacji... Podoba mi się pani Farrow. To miła, wartościowa osoba. Mam nadzieję, że się zaprzyjaźnicie.

- Też mam taką nadzieję. A jej mąż...

- Jest nic niewart. Jego obecność jestem w stanie tolerować tylko wtedy, kiedy będzie to konieczne.

Czyli sir Rex był w fatalnym nastroju. Blanche, czując się bezradna, uznała, że jedyne, co może zrobić, to się wycofać.

- Przepraszam, jestem bardzo znużona. Pójdę do siebie.

Sir Rex bez słowa podszedł do stolika i zaczął nalewać sobie brandy. Nagle odwrócił się.

- Mówiłem już pani, że takiej czczej gadaniny nie znoszę!

A więc wojna? Proszę bardzo. Blanche skrzyżowała ramiona na piersiach i wypaliła:

- Jest pan zły, bo wymusiłam na panu tę proszoną kolację? Czy dlatego, że nie może pan zabawiać się ze służącą?

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Więc w końcu potępia mnie pani? Uświadomiła sobie, że właśnie to zrobiła, choć nie miała takiej intencji, przynajmniej świadomej. A podświadomie? Cóż, sprawa nie była prosta i jednoznaczna.

- Nie, nie potępiam pana, wiem tylko, że gdyby to się nie zdarzyło, nie byłoby złośliwych plotek.

- Ma pani rację. Powinienem był romansować z panią Farrow albo z którąś z jej przyjaciółek. To byłoby do przyjęcia!

Wojowniczy nastrój natychmiast opuścił Blanche.

- Nie o to chodzi - powiedziała znużonym głosem. - Rzecz w tym, że zawsze lekceważyłam plotki, lecz coś się zmieniło. Nie jest mi obojętne, co ludzie o nas powiedzą, i to głównie ze względu na pana... Zresztą nieważne. Będą o nas gadać rok czy dwa, potem znajdą sobie nowe ofiary. - Jednak gdy wychylił kieliszek do dna, milcząc uparcie, oznajmiła

zdenerwowana: - Sir Reksie, pan wie, ile jest we mnie sympatii dla pana, ale zachowuje się pan tak dziwnie, że jestem całkowicie zbита z tropu. Zupełnie nie wiem, co powiedzieć!

- W takim razie powinna pani się zastanowić nad naszą wspólną przyszłością, bo nie mogę pani obiecać, że czasami nie będę-się zachowywał tak właśnie! Tak dziwnie! A już szczególnie wieczorami!

- Ponownie napełnił kieliszek, wychylił do dna, po czym kula zastukała o posadzkę i drzwi do gabinetu trzasnęły.

Blanche została sama. Ogarnęła ją rozpacz. Na samą myśl, że mogłaby stracić sir Reksa, zrobiło się jej słabo.

Będzie przeraźliwie smutna i opuszczona. Dwie najbliższe osoby straciła bezpowrotnie.

Rodzice... Po śmierci ojca nie uroniła ani jednej łzy, matki w ogóle nie pamiętała, lecz teraz tama pękła. Łzy zakręciły się w oczach, czuła wielki żal. Nie ma ich, ani matki, ani ojca...

- Blanche? - Kula znów zastukała głucho o podłogę. Z gabinetu wyszedł sir Rex. - Blanche, proszę, niech pani nie płacze. - Usiadł obok i ją przytulił.

- Przepraszam. Jestem skończonym draniem.

Chciała mu powiedzieć, że nie płacze z jego powodu, nie była jednak w stanie wydobyć z siebie słowa, mogła tylko cicho łkać wtulona w narzeczonego. Łzy płynęły, a przez głowę Blanche zaczęły przemykać obrazy. Najpierw te straszne. Martwy koń, cały skąpany we krwi... człowiek-potwór z szyderczym uśmieszkiem... zakrwawione zęby wideł. A potem pojawiła się... mama. Piękna i uśmiechnięta, tak właśnie uśmiechała się do artysty, który namalował jej portret.

Ojciec zmarł sześć miesięcy temu, matka przed wielu laty. Nie pamiętała ani jednej chwili z nią spędzonej, ale to była jej matka. Wreszcie była zdolna ją opłakiwać. Powitała to z niejaką ulgą.

Pogłaskał ją po plecach, przytulił mocniej.

- Blanche... - szepnął - tak mi przykro...

Wtuliła twarz w jego szyję, wargi dotknęły gładkiej, ciepłej skóry. Rozpacz zaczęła znikać, tłumiona rosnącym pragnieniem. Dłonie Blanche przesunęły się po ramionach sir Reksa.

Jakże cudownie szerokie, jakie mocne...

Cały był taki przystojny, postawny i męski. Po prostu oszałamiający! I należał do niej.

Przesunęła palcami po bicepsach, ustami musnęła jego szyję.

- Blanche...

Powoli podniosła głowę, spojrzała w ciemne błyszczące oczy, potem na pełne, pięknie wykrojone usta.

- Sir Reksie, niech pan... niech pan zabierze mnie na górę, do siebie.

W jego wzroku pojawiło się bezbrzeżne zdumienie. Działo się coś...

- Blanche, jest pani wytrącona z równowagi i nie zdaje sobie sprawy z tego, co mówi.
- Sir Reksie - szepnęła, wtulając twarz w jego szyję - niedługo skończę dwadzieścia osiem lat, a nadal jestem dziewicą. Pragnę pana,.. Proszę zabrać mnie do siebie...

Rozdział piętnasty

Sir Rex jeszcze się zastanawiał, choć w tych okolicznościach nie było łatwo zebrać myśli, jednak po krótkich, gorączkowych rozważaniach doszedł do wniosku, że dlaczego by nie? Lady Harrington, jego narzeczona, przed chwilą z nieśmiałym uśmiechem wyraziła swoje życzenie. Była dziewczicą i pragnęła złożyć mu swoją niewinność w darze. Chciała mieć z nim dzieci, on pragnął, by została matką jego syna czy córki.

Prędzej czy później i tak wezmą ślub, a tej ślicznej, filigranowej damy pożądał, jak żadnej innej kobiety.

- Blanche, moim największym marzeniem jest być z panią, nie chciałbym jednak, żeby pani jutro tego żałowała.

Potrząsnęła tylko energicznie głową i przytuliła się do niego jeszcze mocniej, na co serce sir Reksa

zabiło jak dzwon. O dalszej powściągliwości nie było mowy.

Spojrzał głęboko w ufne, niewinne oczy.

- Proszę, chodźmy na górę, ale proszę też pamiętać, że w każdej chwili może pani się wycofać.

- Nie chcę - szepnęła ledwie słyszalnie. - Nie chcę się wycofywać...

Spytał ją jeszcze raz, wprowadzając do swojej sypialni, jednak Blanche, spoglądając na tradycyjne łoże z baldachimem i czterema słupkami, ponownie pokręciła przecząco głową.

Wtedy zamknął drzwi i przytulił ją do siebie. Drżała, na pewno jednak nie bardziej niż on.

- Pragnę pani jak szalencie. - Pogłaskał ją po policzku. - Jakby lat mi ubyło, jakby świat przejaśniał. Czuję się jak niedoświadczony, nieśmiały młodzik. Nie zrobię pani krzywdy, obiecuję.

Spojrzeli sobie głęboko w oczy.

- Wielce sobie cenię pańską delikatność, sir Reksie - szepnęła, potwierdzając, że bardzo by nie chciała mieć do czynienia z nieokiełznanym barbarzyńcą. .

Nie mógł mieć o to do niej pretensji. Uśmiechnął się, musnął ustami jej wargi i podprowadził do szerokiego łoża.

Ogień w kominku już dogasał, nie było jednak potrzeby zapalać lampy. Sir Rex szybko pozbył się surduta, rozpiął koszulę i przyciągnął do siebie Blanche, świadomy, jak bardzo niepewnie się czuje w tej zupełnie dla niej nowej sytuacji. Złączeni gorącym pocałunkiem opadli na łóżko. Sir Rex obdarzał ją delikatnymi, słodkimi pieszczotami. Drżała, wzbudza-

jąc w nim największe pożądanie, nad którym jednak, jak sam doskonale wiedział, musiał zapanować.

- Chcę dotykać pani wszędzie... - Gdy odrzuciła głowę w tył i zamknęła oczy, wsunął rękę pod jej plecy i zaczął rozpinać suknię, a kiedy uniosła powieki, uśmiechnął się, by dodać jej otuchy. - Jest pani taka piękna, Blanche. Chcę na panią patrzeć.

- Sir Reksie, jak mogę być piękna, skoro uważana już jestem za leciwą damę? - zaprotestowała z powagą.

- Pani leciwa? Cóż za pomysł!

Ostrożnie zsunął z niej suknię, starając się przy tym kontrolować swoje reakcje, co było trudne. Zarówno koszulka z cieniutkiego batystu, jak i gorset uszyty z koronki w kolorze kości słoniowej niewiele zakrywały.

Położył dłoń na piersi Blanche. Oczy miała półprzymknięte, gęste rzęsy trzepotały. Sir Rex nie był już w stanie o czymkolwiek pomyśleć, zresztą wcale nie chciał. Zsunął koszulkę, ściągnął gorset i przytulił ukochaną. Nagie piersi przywarły do jego odsłoniętego torsu.

- Chcę z pani zdjąć wszystko - szepnął. - Nie zmieniała pani zdania?

Jej usta poruszyły się, łaskocząc go w pierś.

- Nie... Może pan całkiem mnie rozebrać, ale pod warunkiem, że sam też pozbędzie się ubrania.

Uśmiechnął się, kryjąc twarz w jej pachnących włosach.

- Interes korzystny dla obu stron... - Żarliwie pocałował ją w usta, potem przylgnął wargami do nagiej piersi Blanche.

Krzyknęła cicho. Sir Rex, spojrzawszy jej głęboko w oczy, pociągnął w dół najpierw suknię, potem koszulkę i gorset, na koniec jedwabne pantalety.

Całkiem już naga Blanche natychmiast wsunęła się pod kołdrę.

- Jestem... za chuda - szepnęła, oblewając się rumieńcem.

- Jest pani ideałem kobiety - odparł z pełnym przekonaniem, zdążył bowiem coś niecoś zobaczyć, i drżącą ręką zaczął rozpinąć spodnie. - Czy moja noga nie przerazi panią? - spytał niby obojętnie.

- Sir Reksie, przecież widziałam już pana - odparła cicho, przełamując wstyd. - Czuwałam przy panu wtedy, gdy był pan ranny. Pan, kiedy śpi, ma zwyczaj zrzucania z siebie kołdry.

- Co prawda, to prawda. - Zdjął spodnie i bieliznę, rzucił je na podłogę i wyciągnął się na łóżku. Ogromne niebieskozielone oczy spoglądały na niego znad brzegu kołdry. - Blanche...

- Wziął ją w ramiona. - Nie będę się śpieszyć, zrobię to jak najdelikatniej. Chcę tylko jeszcze raz się upewnić, czy pani nie chce się wyco...

- Nie! Absolutnie nie!

Smukłe ramiona o jedwabistej skórze objęły go za szyję, na biodrze poczuł szczupłą łydkę.

Przyzwolenie miał, wiedział jednak, że wciąż musi być delikatny, nad wyraz uważający.

Był też czuły i namiętny, a kiedy spytał potem z troską, czy nie bolało, odpowiedziała, że tylko troszkę. I przytuliła się do niego. Nadal go pragnęła, co dla niego było szczytem szczęścia.

Rankiem Blanche obudziła się, czując na twarzy ciepłe promienie słońca, a w sercu niebывałą radość. Miała wrażenie, że z tej radości jest leciutka jak piórko i unosi się w

powietrzu. Och, aż do tej pory nie miała pojęcia, że prawdziwa bliskość to coś tak cudownego!

Wtuliła się w poduszki, przywołując w pamięci najbardziej niesamowite momenty minionej nocy. Swoje wybuchy pożądania i nieprawdopodobną śmiałość. I jeszcze czuła niedosyt.

Niesamowite. Po takiej nocy! Czyżby była kobietą namiętą?

Wspaniale! Uśmiechnęła się, wspominając dotyk silnych, a jakże delikatnych palców sir Reksa, jego pocałunki, całą sztukę miłosną, której, jak sądziła, nie wykorzystał do końca. I jakie to cudowne, że sir Rex uważa ją za kobietę wyjątkowo ponętą. Wziął ją tyle razy... Może będzie miała dziecko? Och, jak bardzo tego pragnęła.

Przypomniała sobie mgliście, że kiedy była jeszcze na skraju snu i jawy, sir Rex nachylił się nad nią i wyszeptał, że wzywają go pilne sprawy, a ona niech śpi jak najdłużej. Była pewna, że przed wyjściem ją pocałował. Jakiż to miły, łagodny człowiek, jak cudownie będzie być jego żoną...

Nagle poczucie szczęścia znikło i zastąpiła je rozpacz tak przytłaczająca, że zapierała dech. Przed oczami zaczęły przesuwać się obrazy z przeszłości. Ojciec złożony chorobą, matka nie taka jak z portretu, tylko blada jak ściana, przerażona. Siedzi obok Blanche w powozie otoczonym przez rozwścieczony tłum...

- Nie! - Usiadła na łóżku. Boże wielki, dlaczego

właśnie dziś?! Dziś, kiedy jest tak bardzo szczęśliwa i tak bardzo nie chce przypominać sobie tych strasznych chwil.

Niestety, bezlitosna pamięć podsuwała następne przerażające obrazy. Zobaczyła, jak kilku mężczyzn wyłamuje drzwi powozu i wywleka matkę na bruk.

W głowie Blanche zawirowało, ból przypuścił szturm. Zwlekła się z łóżka, gdy ból osiągnął apogeum.

Usłyszała rozpaczliwe błagania matki:

- Nie zabijajcie mojej córki! Jest taka mała! Proszę, oszczędźcie ją!

Łotry powlokły ją gdzieś, koło powozu pojawił się jasnooki potwór i z szyderczym uśmiechem krzyknął do Blanche:

- Wsiadaj! - Gdy sparaliżowana strachem nie ruszyła się z miejsca, wykrzywił się paskudnie. - No już! Bo sam cię wywlokę!

Znów usłyszała krzyk matki. Krzyk katowanej kobiety...

Potwór wyciągnął po Blanche rękę. Skuliła się, cofnęła. Potwór zaklął i wsunął się do powozu. Chwycił ją, ona gwałtownie się szarpnęła, kopała, lecz i tak zaraz poleciała na bruk.

Znów krzyk matki. Znów błagania o litość nad dzieckiem.

- Mamo! Mamo! - krzyknęła rozpaczliwie Blanche.

- Dziecinko! Uciekaj! Na litość boską, uciekaj! Potwór pochylił się nad Blanche, zdołała jednak

umknąć spod jego ręki. Jak jaszczurka przemknęła na czworakach po bruku i znikła wśród nóg rozjuszonych gawiedzi.

Słyszała krzyk matki. Krzyk, krzyk...

Mała Blanche zasłoniła uszy. Przykucnęła, skuliła się i zakołysała w przód i w tył, powtarzając w duchu błagalną prośbę: „Mamo, proszę, mamo, przestań! Przestań!”.

Mamrotała coraz głośniejszym głosem, by jej głos zagłuszył przerażające krzyki umierającej matki i triumfujące wrzaski oprawców.

- Mamo, proszę, przestań!

Nagle uzmysłowiła sobie, że rozdzierający krzyk matki ucichł, wciąż jednak się kołysała, bała się bowiem przestać powtarzać swoją prośbę zanoszoną do niebios w takt kołysania, które jakoś ją uspokajało. Tak, wiedziała już, że nie jest małą dziewczynką i nie przebywa w Londynie, lecz w Land's End, wciąż jednak była sparaliżowana strachem, który nie pozwalał opuścić najciemniejszego kąta w sypialni. Skulona kiwała się na piętach i niestrudzenie mamrotała swoją prośbę, bo potwory nadal tu były, czaiły się w każdym zakamarku, do którego nie docierało światło dnia...

- Milady, dlaczego milady mnie nie zawołała? Przecież pomogłabym milady przy ubieraniu. Nie przychodziłam wcześniej, bo milord zapowiedział, żebym nie przeszkadzała.

Blanche stała przed otwartą szafą, prawie już pustą. Większość swoich ubrań wyjęła i rozłożyła na łóżku. Milord... czyli sir Rex. Nie, nie chciała o nim myśleć. Była pewna, że koszmary tylko czekają, by

znów wychynąć z czeluści, musiała więc temu zapobiec, dlatego narzuciła sobie jak największy dystans do rzeczywistości. Gzuła się tak, jakby sama sobie zaaplikowała cudowną pigułkę, dzięki której skołatana dusza wreszcie odnalazła spokój. Naturalnie nie oznaczało to, że nie należy mieć się na baczności, bo i tak, wciąż miała wrażenie, że stoi na krawędzi przepaści. Z tego właśnie powodu z całym samozaparciem wystrzegła się jakichkolwiek myśli o sir Reksie. Były zbyt bolesne, a tylko Bóg jeden wiedział, co się z nią dzieje, kiedy ulega tym strasznym emocjom.

- Meg, proszę, skończ pakowanie. Ja pójdę do stangreta i powiem, żeby szykował powóz.

- Wyjeżdżamy?! Jak to? A co z sir Reksiem? Czy milady dobrze się czuje? Milady wygląda trochę... dziwnie.

- Czuję się znakomicie, Meg. - Podeszła do stolika i nalała do szklanki wody z dzbanka, stwierdzając z zadowoleniem, że ręce jej nie drżą. - A co do milorda... coś się zmieniło.

Niestety, będę musiała zwrócić mu słowo.

Wolała nie wymawiać na głos jego imienia. Ich wspólna przyszłość nie wchodziła już w grę, skoro radość i namiętność były dla Blanche tylko preludium do bólu, strachu i przerażenia. Wszystko zaczęło się tutaj, w Land's End, choć ani to miejsce, ani pan na zamku Bodenick w niczym nie zawinili. Niestety, uczucia, które w niej wzbudzał sir Rex, ożywiały zarazem straszne wspomnienia, które doprowadzały ją do obłędu.

Po tym, co przeżyła tego ranka, nie mogła ani chwili dłużej przebywać w Land's End.

Naturalnie przedtem będzie musiała stanąć twarzą w twarz z sir Reksiem i powiedzieć, że zaręczyny okazały się okropną pomyłką. Na pewno będzie bardzo rozczarowany, ale z

czasem podźwignie się i znajdzie inną damę, młodszą, ładniejszą i o wiele bardziej namiętną. Ożeni się z kobietą zdrową i zrównoważoną, nie zaś z wariatką. Jej pozostanie wrócić do spokojnej egzystencji w Harrington Hall. Nie wyjdzie za mąż, choć niełatwo będzie pozbyć się namolnych kawalerów łasych na jej fortunę. A może i łatwo? Kiedy ludzie zaczną szeptać, że postradała rozum, adoratorzy sami uciekną.

- Milady, co się stało? - spytała strwożonym szeptem pokojówka.

- Odzyskałam rozum, Meg - odparła z uśmiechem. - Proszę, nie przejmuj się tak bardzo. Nie mogę się doczekać, kiedy wrócimy do domu. Mam już dość tej wsi, a ty?

- Milady, jak to tak? Sir Rex będzie załamany! - rozpaczła pokojówka.

- Zaraz porozmawiam z nim, a ty pośpiesz się z pakowaniem.

Postukując kulą, sir Rex wszedł do gabinetu i zasiadł za biurkiem. Uśmiechnął się. Jego ulubiona klacz ożrebiła się ubiegłej nocy, ale nie to było powodem wspaniałego nastroju. Spojrzał na rozłożone przed nim papiery, lecz zamiast nich ujrział słodką twarz Blanche. Śliczną, łagodną i nawet po upojnej nocy - niewinną. Zerknął na zegar. Dochodziło południe, więc

Blanche pewnie już wstała, chociaż wcale by się nie zdziwił, gdyby było inaczej. W końcu ta ich namiętna noc nie pozwoliła jej spać, usnęła dopiero nad ranem. Na początku był bardzo delikatny i ostrożny, bo nie chciał sprawić jej bólu, ale wkrótce okazało się, że Blanche jest tak samo namiętna i nienasycona jak on. W rezultacie to on musiał wreszcie zarządzić odpoczynek. Zasnęła w jego ramionach, drobne dłonie przyciskając do jego piersi: Na całym świecie nie ma drugiego człowieka, któremu los by bardziej sprzyjał. Będzie mężem kobiety, w której zakochał się do szaleństwa. Kobiety, która Bogiem a prawdą już osiem lat została damą jego serca.

Drzwi były szeroko otwarte, ktoś jednak zapukał. Podniósł głowę i zobaczył Blanche. Uśmiechnął się, ale uśmiech zaraz znikł, kiedy spojrzał w twarz narzeczonej. Była dziwnie nieruchoma, bez cienia uśmiechu, dlatego serce sir Reksa na moment przestało bić z tej nagłej pewności, że cały jego świat, teraz tak piękny, za sekundę legnie w gruzach.

- Sir Reksie, czy można? Chciałabym zamienić z panem kilka słów. To dość pilna sprawa. Znajdzie pan chwilę dla mnie?

- Naturalnie. Dla pani zawsze.

Spojrzenie Blanche było bardzo chłodne. W niczym nie przypominała zakochanej kobiety, która przed paroma godzinami po raz pierwszy w życiu krzyczała z największej rozkoszy. Czyżby jednak żałowała tej nocy?

- Nie wygląda pani na zadowoloną, Blanche.

- Doszłam do wniosku, że powinnam wracać do Londynu.

Spojrzał w okno. Powóz Harringtonów zajechał już na dziedziniec.

- Pani mnie porzuca?!

Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Sztuczny, bezduszny uśmiech porcelanowej lalki.

- Było mi ogromnie miło, sir Reksie, bawić u pana z wizytą, nie powinnam jednak nadużywać pańskiej gościnności.

Wyjeżdżała, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Zdawało mu się, że dostał obuchem w głowę. Gdyby nie oparł się mocniej na kuli, na pewno upadłby na podłogę.

- Pani mnie porzuca!

- Sir Reksie, chciałabym bardzo, by obyło się bez scen. Doszłam do wniosku, że zaręczyliśmy się zbyt pochopnie. Bardzo mi przykro. Na pewno los się do pana uśmiechnie i...

- Proszę wyjść!

Czuł, że zaczyna się dusić. Lady Harrington, którą parę godzin temu trzymał w ramionach, przekazywała mu właśnie idealnie beznamietnym głosem, że znaczy dla niej tyle co nic, udowadniając tym samym, że jest kolejną głupią, zepsutą damą bez serca.

W szeroko otwartych nieruchomych oczach Blanche coś błysnęło.

- Przepraszam...

Nie panował już jednak nad sobą. Za dużo w nim było bólu, gniewu i nienawiści. Podniósł kulę i uderzył nią w lampę, bo stała najbliżej.

- Wyjdź stąd! - ryknął.

Jedwab zaszeleścił, Blanche znikła za drzwiami. A on, zrzuciwszy wszystko, co było na biurku, walił kulą w blat i walił, póki się nie złamała.

Wtedy się poddał i z przeraźliwym krzykiem osunął się na podłogę.

Rozdział szesnasty

Od powrotu z Kornwalii minęły trzy dni. Blanche, przechadzając się po wielkich, pięknie umeblowanych pokojach Harrington Hall, coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że postąpiła słusznie. Prawie w każdym pomieszczeniu natykała się na kogoś ze służby, mimo to w całym domu panował spokój. Jeszcze nigdy tak bardzo go nie potrzebowała.

Jednocześnie jednak zachowywała największą czujność, świadoma, że jeden fałszywy krok może zburzyć spokój i znów znajdzie się na granicy obłędu. Dlatego konsekwentnie tłumiała w sobie wszelkie uczucia, bojąc się nawet w minimalnym stopniu odczuwać radość czy ból, co nie było łatwe, skoro za każdym razem, gdy przechodziła koło biblioteki, widziała tam ojca pochylonego nad książką, a kiedy spojrzała na portret matki, zamiast uśmiechniętej damy widziała przerażoną kobietę, którą oprawcy włoką na śmierć.

Pozwalała sobie wtedy tylko na chwilę melancholii, nigdy jednak na rozpacz.

A w którymś zakamarku jej mózgu czało się jakże niebezpieczne wspomnienie o sir Reksie, które również mogło zburzyć jej spokój.

Weszła do wyłożonego marmurem foyer i wyjrzała przez okno. Na podjeździe stało osiem powozów z mężczyznami, którzy czekali, aż wybije dwunasta i będą mogli złożyć wizytę lady Harrington. Wieść o jej powrocie do Londynu rozeszła się lotem błyskawicy. Była przyzwyczajona do życia towarzyskiego, czułaby się co najmniej dziwnie, gdyby nikt jej nie odwiedzał, ale teraz, w tej sytuacji... Jak traktować tych kawalerów? Jako starających się o jej rękę? Wybrać sobie któregoś z nich na męża? Nie. Wiedziała, że nie wolno jej tego robić. Nie po tych minionych dwóch tygodniach, bo gdyby odważyła się dochodzić prawdy o sobie, musiałaby przyznać się, że ma złamane serce, a do takiego wniosku nie dochodzi się ze stoickim spokojem.

Blanche weszła do Złotego Salonu, jednego z największych pokoi w Harrington Hall, zaślanego pięknymi dywanami z Aubusson w pastelowych barwach.

- Milady - odezwał się od progu kamerdyner - przyjechały lady Waverly i lady Dagwood.

Pozwoliłem sobie zaprosić je do środka. Pomyślałem, że milady będzie chciała z nimi porozmawiać, zanim zjawią się panowie.

- Dobrze zrobiłeś, Jem. W którym pokoju czekają?

- W Błękitnym Pokoju, milady.

Przeszła do małego saloniku. Bess, wystrojona w brązy i zieleń, stała przy oknie, Felicia siedziała w szaroniebieskim fotelu i popijała herbatę. Wyglądała olśniewająco, nowy mąż zdecydowanie jej służył.

Na widok Blanche przyjaciółki rzuciły się z serdecznościami.

- Tęskniłyśmy za tobą! - wykrzyknęła Bess, spoglądając na nią roziskrzonym wzrokiem. - Opowiadaj, jak było w Land's End! Naprawdę oświadczyłaś się sir Reksowi? Kiedy dostałam twój list, z wrażenia omal nie umarłam!

- Mój głupi list? Och! Napisałam go pod wpływem impulsu. Zapomnij o nim.

Damy wymieniły znaczące spojrzenia.

- Bess dała mi ten list do przeczytania - oznajmiła Felicia. - Moja droga, czy ty aby, pisząc go, nie byłaś czymś odurzona?

- Na pewno nie - odparła Blanche nieswoim głosem.

Niestety, przyjaciółki poruszyły już czułą strunę. Przed jej oczyma pojawił się sir Rex.

Spoglądał na nią tak jak podczas ich wspólnej nocy. W jego oczach były czułość i namiętność. Przez moment, bo nagle pojawił się inny sir Rex, rozgniewany, z płonącym wzrokiem.

„Wyjdź!”.

Serce Blanche zabiło szybciej. Odwróciła się i zamknęła oczy, powtarzając sobie w duchu: Nie wolno! Nie wolno czuć czegokolwiek! Nie teraz! Nigdy! Sir Rex to przeszłość, o której trzeba zapomnieć!

- Blanche, co się stało? - spytała zaniepokojona Felicia.

- Co? Och, nic! - Próbowwała się uśmiechnąć.

- Powiedziałam już, że pośpieszyłam się z listem. Proszę, nie mówmy o nim...

Ostatnie zdanie zabrzmiało żałośnie, serce Blanche bowiem nie słuchało żadnych zakazów. Było nieszczęśliwe.

- Moja droga... - Bess objęła przyjaciółkę. - Co się stało? Nigdy nie miałyśmy przed sobą żadnych tajemnic, a więc...

- Nieprawda! Nic się nie stało! - krzyknęła Blanche.

Bess drgnęła, Felicia zawołała:

- Mój Boże, kochanie! Co się dzieje?

- Duszno tu! - krzyknęła jeszcze głośniej, podbiegła do okna i zaczęła je szarpać, próbując otworzyć. W skroniach jej pulsowało, w głowie czuła tępy ból. Symptom był oczywisty, zbliżały się straszne wspomnienia.

- Tych okien się nie otwiera! - zawołała Bess.

- Wyjdźmy na dwór. Felicio, biegnij po sole trzeźwiące!

Blanche zastygła z palcami przyciśniętymi do skroni. „Wyjdź!”.

Och, Boże! Sir Rex krzyknął na nią tak samo głośno, z takim samym gniewem jak ci, co krzyczeli na mamę!

- Wsiadaj z powozu, damulko, wsiadaj! Jeden z potworów wyciągnął rękę po mamę.

Mama z całej siły ścisnęła rączkę drżącą ze strachu małej Blanche.

Mamę wywlekli z powozu. Ktoś złapał dziewczynkę.

Mama krzyczała:

- Uciekaj! Blanche, uciekaj!

Dziewczynce udaje się umknąć potworowi. Upada na bruk. Mama znów krzyczy, teraz z bólu.

Brukowana ulica ucieka spod nóg, kręci się wokół Blanche.

- Mamo! - krzyczy rozpaczliwie, próbując pod-pełznąć do matki, ale ziemia wiruje coraz szybciej. Krzyki matki są ogłuszające.

Blanche poddała się. Przykucnęła, skuliła się sparaliżowana strachem, zasłoniła uszy i wpatrywała się w to, co miała przed sobą. Niebiesko-beżowe dywany na podłodze, a nie bruk. Lecz te dywany też wirują.

Usłyszała głos Bess.

Koniec. Koszmar ustąpił. Blanche odetchnęła głęboko, uświadamiając sobie, że jak kiedyś po bruku, szła teraz na czworakach po niebiesko--beżowym dywanie...

Czuła, jak Bess obejmuje ją ciepłym ramieniem i podsuwa do ust szklanekę.

- Kochanie, napij się. Chociaż łyczek. Skinęła głową, świadoma, że policzki ma mokre od łez. Dotarło też do niej, co myślą jej przyjaciółki: że oszalała.

- Już lepiej? - spytała Bess.

- Tak... ale nie wolno nam rozmawiać o sir Reksie.

- Kochanie, chodź... - Bess wzięła ją za rękę i podprowadziła do kanapy. - Myślę, że najrozsąd-

niej będzie, jak sobie usiądziemy i spokojnie mi powiesz, co się dzieje.

Blanche spłoszonym wzrokiem spojrzała na mały, śliczny salonik i na moment zamknęła oczy, starając się do reszty pozbyć przerażenia, ustatkować myśli.

- Bess, ja... ja zaczynam sobie przypominać, co działo się podczas tamtych zamieszek.

- Boże wielki! Mówisz o tej strasznej rewolcie, podczas której zginęła twoja matka? Byłaś wtedy małym dzieckiem...

- Tak. Te wspomnienia chcą ożyć we mnie, pojmujesz? Atakują, chociaż nie chcę niczego pamiętać, niczego! Sama widziałaś, co się ze mną w takich chwilach dzieje.

- Widziałam.

Dopiero teraz zauważyła, że jej przyjaciółka jest blada jak ściana. Było to coś niezwykłego u zawsze promiennej Bess.

- Blanche, przykucnęłaś na podłodze jak małe dziecko i płakałaś rozpaczliwie. Dlaczego?

- Bo ta nie są tylko wspomnienia, Bess. Ja wracam do przeszłości, tracę kontakt z rzeczywistością. Przeżywam to wciąż na nowo. Zdarzyło mi się to już kilkakrotnie. Znow są te zamieszki, jestem małym dzieckiem zagubionym wśród motłochu, który wyległ na ulice Londynu. A wszystko zaczęło się w Land's End... Och, Bess! Zakochałam się!

Zamierzaliśmy się pobrać! Lecz... lecz nic to. Marzę tylko o tym, żeby było jak przedtem.

Nie chcę już niczego odczuwać, bo to miłość i namiętność wyzwoliły we mnie bolesne wspomnienia. Nie powinnam była się zakochać. Mnie nie wolno, pojmujesz? Nie wolno!

Bess spojrzała na nią z powątpiewaniem.

- Sądzisz, że jedno z drugim się wiąże? Nie wierzę. Blanche, jeśli zależy ci na sir Reksie...

- Nie! Nie! To skończone!

- W mieście już plotkują o waszych zaręczynach. Spotkałam hrabinę na Bond Street. Sir Rex napisał

o was w liście do swego brata. Ból głowy nasilał się.

- Błagam, nie mówmy o tym, bo znowu będę miała urojenia.

Bess zbladła jeszcze bardziej.

- Matko Boska! Dlaczego? Z powodu zwykłej rozmowy? Niepojęte... Blanche, nie wyobrażam sobie, żebyś miała znowu żyć w tej swojej krainie obojętności, niczego nie odczuwać. Przecież obudziło się w tobie tyle namiętności i wrażliwości! Potrafisz płakać...

- Musi mi się udać - szepnęła.

- Może i tak. - Bess zadumała się na moment. - Lepiej bronić się przed tymi wspomnieniami, jeśli masz przeżywać coś takiego jak dziś. Bardzo bym nie chciała, żeby twoja pokojówka czy nawet Felicia oglądały ciebie w takim stanie. Wiesz, jak to jest...

- Myślisz, że zaraz zaczną o mnie plotkować

1 okrzykną wariatką? Och, Bess, może naprawdę jestem szalona?

- Nie, Blanche, nie jesteś, ale lepiej, żeby ta twoja... dolegliwość była naszą tajemnicą.

Wybacz, ale nie mogę się powstrzymać się od tego pytania. Czy sir Rex wie o tym?

- Nie. W Land's End zemdlałam dwa razy, ale on chyba sądzi, że mam klaustrofobię. Poza tym, ponieważ zwykle jadam bardzo mało, podejrzewał, że straciłam przytomność z głodu.

- Może powinnaś pójść do doktora? Przepisze ci jakiś lek. Popytam się dyskretnie, a ty dziś zażyj na noc opium. Wyśpisz się i jutro na pewno poczujesz się lepiej.

- Nie wiem, Bess, czy to dobry pomysł. Kiedyś słyszałam, Jak pewien doktor mówił, że nigdy by nie zaordynował opium kobiecie przy nadziei...

Bess osłupiała.

- Blanche... - wykrztusiła po chwili - chyba nie chcesz powiedzieć, że...

- Tak. Wszystko wskazuje na to, że jestem w odmiennym stanie! - Łzy znów popłynęły szerokim strumieniem.

- Czyli ty i sir Rex...

- Tak! To była tylko jedna, jedyna noc, ale bardzo długa i namiętna! Och, Bess, jestem prawie pewna, że spodziewam się dziecka.

- Skoro tak, moja droga, to czy nie należałoby powiadomić o tym sir Reksa i zastanowić się jednak nad małżeństwem?

- Nie mogę mu o tym powiedzieć, Bess. Nie mogę za niego wyjść, bo wtedy będzie jeszcze gorzej.

- Posłuchaj, Blanche... Naprawdę jesteś przekonana, że twoje uczucie do sir Reksa jest przyczyną tych urojeń? Nie znam go dobrze, ale jestem pewna, że to człowiek, który nigdy by ciebie nie opuścił, nawet gdyby zobaczył cię w takim stanie jak dzisiaj.

Kto wie, czy dolegliwość nie minie, kiedy sir Rex będzie z tobą.

- Nie sędę. Wiem natomiast, że mój były narzeczony zasługuje na zdrową żonę, a nie na wariatkę. Przecież zachowuję się jak obłąkana, dlatego nie zamierzam nigdzie bywać ani przyjmować u siebie. Nie mogę ryzykować. Nie daj Boże, żeby stało się to przy świadkach.

- Niestety, Blanche, lepiej przyjrzyj się jak najprędzej któremuś z kawalerów. Jeśli istotnie jesteś przy nadziei, będziesz musiała wyjść za mąż.

- O Boże... - Zdawała sobie doskonale sprawę, że panna z dzieckiem natychmiast zostaje wykluczona z towarzystwa. Na razie jednak, póki nie miała całkowitej pewności, starała się o tym nie myśleć.

- Masz rację, Bess, muszę tylko znaleźć kogoś, kto będzie mi całkowicie obojętny. Wtedy łatwiej to wszystko zniosę - powiedziała cicho, czując się przy tym okropnie, jak człowiek pośledniejszego gatunku. - Jakoś sobie poradzę.

- Milady, przyszedł pan Carter, chce widzieć się z panią.

Blanche była w bibliotece. Kazała wynieść wielkie biurko ojca i wstawić małe portugalskie biureczko. Ledwie je przyniesiono, poleciła przesunąć w inne miejsce, po czym postanowiła zmienić w tym pokoju wszystko, a na początek pomalować ściany na inny kolor. Miało to być zrobione następnego dnia, dlatego kazała przykryć meble białymi płóciennymi pokrowcami.

Siedziała przy biurczku i przeglądała dokumenty przekazane przez pełnomocników. Nie bardzo rozumiała, na czym polegała ostatnia inwestycja jej ojca, ale nawet dla niej było jasne, że była to inwestycja bardzo zyskowna. Ponad tysiąc funtów rocznie! Trzeba będzie zapytać plenipotentę, Geof-freya Williamsona, czym ta spółka się zajmuje.

Od jej powrotu do Londynu minął tydzień. Bess, wierna przyjaciółka, nie dopuszczała do niej kawalerów, poza tym, zgodnie z umową, sir Rex i ewentualna ciąża były tematami tabu. Blanche, spowita w mgiełkę spokoju, zachowywała jak największą ostrożność.

Żadnych wielkich smutków, żadnego gniewu, dbała też o to, by cały czas mieć głowę czymś zajęta. Na pierwszy ogień poszła biblioteka, w drugiej kolejności zamierzała przemeblować Złoty Salon, potem wprowadzić zmiany w ogrodach Harrington Hall.

Ponieważ wszystko układało się dobrze, poprzedniego dnia Bess ostrożnie zapytała ją, czy jednak nie zamierza wrócić do życia towarzyskiego, jako że wszyscy już się zastanawiają, dlaczego po powrocie z Land's End lady Harrington zamknęła się na cztery spusty.

Niektórzy uważają, że zaręczyła się z sir Rekssem, więc jest pochłonięta przygotowaniem do ślubu, lecz inni plotkują o złamanym sercu. Pojawia się też opinia, że Lady Harrington wciąż nie przeboleła śmierci ojca i przedłużyła okres żałoby. Dlatego, zdaniem Bess, żeby położyć kres plotkom, najlepiej znów zacząć bywać.

W rezultacie w Harrington Hall już za godzinę mieli pojawić się goście. Blanche była pełna obaw, powtarzała sobie jednak w duchu, że na pewno nic złego się nie wydarzy. Będzie bardzo miło, przecież jest niezrównaną panią domu.

- Nie zapraszałam żadnego pana Cartera, Jem. Czy dał bilet wizytowy?

- Nie, milady. Pozwolę sobie zauważyć, że to prostak. Najchętniej bym go odesłał, jednak powiedział, że ma do milady pilną sprawę związaną z jej pobytem w Land's End.

Serce Blanche zabiło niebezpiecznie szybko.

- Odeślijcie go, Jem.

Przysunęła do siebie następną teczkę z dokumentami, które dotyczyły dzierżawców w majątkach ziemskich w środkowej części monarchii. Kiedy zabrała się do tak przyziemnej lektury, w drzwiach biblioteki ponownie stanął Jem.

- On nie chce odejść, milady. Powiedział, że będzie siedział na schodach, dopóki milady go nie przyjmie.

Poczuła, że cała drży. Cóż to za aż tak pilna sprawa związana z Land's End? Przed jej oczami natychmiast pojawiła się przystojna, smągła twarz sir Reksa. Czyżby przydarzyło mu się coś złego? Może pije nadmiernie? Tak bardzo chciała, żeby sir Rex i jego sprawy były jej doskonale obojętne. Niestety...

- Przyślijcie go tutaj, Jem.

Blanche podeszła do niskiego stoliczka ustawionego przed sofą z zielonym obiciem i naląła sobie herbaty. Nie darjeeling, lecz ziołową, którą zaczęła ostatnio preferować.

Usłyszała kroki, po chwili, ku swemu najwięk-

szemu zdumieniu, zobaczyła w progu zgiętego w ukłonie jasnowłosego kowala z Kornwalii, przyjaciela Anne.

- Dziękuję, milady.

- Proszę wejść. Jem, dziękuję.

Gdy kamerdyner zniknął, Blanche starannie zamknęła drzwi.

- Panie Carter, co za niespodzianka. Jak się miewa sir Rex?

Po twarzy Cartera przemknął nieprzyjemny, chytry uśmiezek.

- Chyba dobrze. Po wyjeździe milady w zamku nic się nie zmieniło.

- Czy... Anne nadal pracuje z zamku?

- Tak.

Czyżby sir Rex dalej romansował ze służącą? Nie odprawił jej, bo tak było mu wygodnie? - zadała sobie w duchu pytania. W każdym razie nadal przebywają pod jednym dachem...

Blanche poczuła ukłucie zazdrości. Czuła gorycz, czuła, jak budzi się w niej gniew.

- Milady nie wygląda na zadowoloną - powiedział Carter.

Jego ton bardzo jej się nie spodobał. W chłodnym spojrzeniu dostrzegła satysfakcję.

- Mój nastrój to nie wasza sprawa, Carter.

- Zgadza się, milady. To sprawa milady, a ja przyjechałem tu też w sprawie milady. - Znów ten obrzydliwy, chytry uśmiezek. - Porozmawiać o sprawie milady... z sir Reksem.

Blanche zamarła.

- Przepraszam, o co wam chodzi?

- Niech milady nie udaje. Ja wiem, że kiedy milady była w Land's End, zabawiła się z milordem, a potem go odtrąciła. Tyle że milady na pewno dalej rozgląda się za mężem. Nie dziwię się, że milady woli kogoś innego niż pijaka.

- Wolałabym, żebyście o sir Reksie wyrażali się z większym szacunkiem!

- Kiedy to prawda, milady. Anne mówiła mi, że sir Rex upija się co noc.

Ogarniał ją coraz większy gniew. Bała się, że może stracić panowanie nad sobą.

- Wyjdźcie stąd, Carter!

- Pójdę sobie, milady, ale przedtem chciałem jeszcze tylko powiedzieć, że lepiej, żeby ci kawalerowie, co starają się o milady, nie wiedzieli, że milady zabawiała się z sir Reksiem.

My z Anne nie piśniemy nikomu ani słowa. Oczywiście trochę to będzie milady kosztować... - Co?!

- Po sto funtów dla każdego z nas, dla Anne i dla mnie, a będziemy milczeć do grobowej deski. - Ośmielasz się mnie szantażować?!

- Tak.

Blanche, trzęsąc się z oburzenia, odwróciła się gwałtownie i przeszła kilka kroków po pokoju.

- A mów sobie, komu chcesz! Nie dbam o to! Za miesiąc kończę dwadzieścia osiem lat, nikt nie będzie mnie osądzać! A już na pewno nie ty i Anne.

- Nowemu narzeczonemu milady może to nie być obojętne.

- Wynoś się! Precz!

Oczy Cartera niebezpiecznie pociemniały.

- Milady tego pożałuje - syknął gniewnie i ruszył do drzwi.

Blanche chwyciła się za skronie. Pulsowało, w głowie odzywał się znajomy ból...

Koszmar anonsował swoje nadejście.

Anne widziała ją w takim stanie. Była świadkiem, jak nachodziły ją upiory. Kiedy Carter wróci do Land's End i powie jej, że lady Harrington poskąpiła pieniędzy, Anne wpadnie w gniew i zacznie rozgłaszać, że lady Harrington jest szalona.

- Zaczekaj! - Gdy Carter odwrócił się, powiedziała: - Przyjdź jutro. Dostaniesz pieniądze.

Przez pół godziny leżała nieruchomo na łóżku, próbując nie myśleć o szantażu, tylko skupić na wyimaginowanym jeziorze. Unosi się w mętnej wodzie. Szaro, cicho... Wraca spokój.

Gości, czyli stado nicponi czyhających na jej fortunę, witała już ze stoickim spokojem. Potem jednak, rozdając uśmiechy na prawo i lewo, nie wypuszczała z rąk filiżanki z uspokajającą ziołową herbatą.

Piła już trzecią, kiedy pojawił się koło niej bardzo przystojny młody dżentelmen o brązowych włosach i niebieskich oczach.

- Po wywczasach w Kornwalii wygląda pani bardzo pięknie, lady Harrington. Jak widzę, pobyt na wsi posłużył.

Któż to taki? Blanche wyteżyła pamięć. Ach, to ten nicpoń, trzeci syn hrabiego, notoryczny hulaka bez grosza przy duszy. Tak mówiła o nim Bess, podkreślając, że jedną zaletę jednak ma, a mianowicie stroni od hazardu. Jak jednak może być inaczej, dodała, skoro nie ma czego przegrywać?

James Montrose. Blanche spojrzała na niego uważniej. Przystojny, dobrze zbudowany, wysoki, ale nie chudy, tylko umięśniony. Prawdopodobnie dużo czasu spędza na koniu.

- Jestem bardzo zadowolona z pobytu w Kornwalii, panie Montrose. Po raz pierwszy byłam na południowym krańcu naszej monarchii.

- A zna pani północ? Mój ojciec ma w Szkocji domek myśliwski. Byłbym zaszczycony, gdyby pozwoliła się pani tam zaprosić.

- Jeśli chodzi o północ, nie byłam dalej niż w Stirling... - Zamilkła, zauważyła bowiem wchodzącą do salonu hrabinę Adare, której towarzyszyły synowa Lizzie oraz przybrana córka, a obecnie synowa Eleanor O'Neill, jasnowłosa piękność o bursztynowych oczach i posągowych kształtach.

- Czy coś się stało? - spytał Montrose.

Milczała, zastanawiając się gorączkowo, czy rodzina sir Reksa wie o zaręczynach. Bess od tygodnia rozpowiada po całym Londynie, że żadnych zaręczyn nie było, nalegała też, by Blanche również dementowała pogłoski, bo może usłyszeć pytania, które ją „zdenerwują”, jak to ujęła.

W skroniach zaczęło pulsować. Błagam, nie teraz, błagam...

- Lady Harrington? - usłyszała zaniepokojony głos Montrose'a. - Może pani łaskawie usiądzie?

- Nie ma takiej potrzeby. Przepraszam, pójdę przywitać się z hrabiną Adare. Pan wybaczy... Skłonił się z uśmiechem, zauważyła jednak, że

przeszywał ją wzrokiem. Zignorowała go, odetchnęła głęboko, otuliła się spokojem jak ciepłym wełnianym płaszczem i ruszyła damom na spotkanie.

- Mary, jak miło!

- Blanche, nie mogłam się doczekać, kiedy znowu zaczniesz przyjmować, moja droga.

Serdecznie uściskała Mary de Warenne, starając się nie zapomnieć o uśmiechu, choć serce biło jej niebezpiecznie szybko i głośno. Czy Mary sądzi, że wita się z przyszłą synową? Odwróciła się do pozostałych dam.

- Jak się miewasz, Lizzie?

- Znakomicie, choć na pewno nie tak znakomicie jak ty, Blanche.

- Dziękuję. Eleanor, witaj, nie wiedziałam, że zjechaliście już do Londynu. Jak się miewasz? Jak Sean? Jak synkowie?

- Dziękuję. Sean ma się znakomicie, tak samo chłopcy - zapewniła Eleanor, chwytając Blanche za dłonie. - Moja droga, mów! Jesteś zaręczona z moim bratem czy nie? Rex napisał do Tyrella, że jesteście po słowie. Czy to tajemnica? Kiedy Rex przyjedzie do Londynu? Cóż to się wydarzyło? Musisz być bardzo zakochana, skoro zdecydowałaś się usidlić mojego brata melancholika.

Blanche milczała. Sir Rex... Pokochała go przecież, kochała nadal, na zawsze pozostanie jej wielką miłością. Niestety, musiała się go wyrzec...

Ogarnęła ją przytłaczająca rozpacz, trudno jej było oddychać. Przecież nie wolno dopuszczać do siebie emocji!

- Eleanor, proszę - odezwała się zaniepokojona hrabina. - Zdenerwowałaś Blanche...

- To... to była pomyłka - szepnęła, czując, jak gorące łzy spływają jej po policzkach. - Bardzo mi przykro, ale nie jesteśmy zaręczeni.

Damy wpatrywały się w nią zaskoczone i rozczarowane, a straszliwy ból już rozrywał czaszkę. Podłoga zakołysała się, rozległy się rozdzierające krzyki katowanej matki. Tłum wytwornych gości zmienił się w tłum prostaków, zamiast kryształowych żyrandoli nad głową było szare niebo, zamiast dywanów bruk.

Mama znów krzyczy:

- Uciekaj, Blanche! Uciekaj!

A zaraz potem usłyszała inny krzyk matki, ten najstraszliwszy, kiedy matka padła na ziemię, a mężczyźni zaczęli bezlitośnie dźgać ją widłami. Blanche wrzeszczała przeraźliwie, bała się zostać, bała się uciekać.

Oni... biją mamę. Nie, przestali, bo mama już nie krzyczy. Wyciągają ręce po Blanche...

Rozrywana przez szloch, próbowała umknąć przed wyciągniętymi rękami. Nie udało się, ktoś podniósł ją z ziemi. Nad sobą zobaczyła jasne oczy potwora...

Zapadła ciemność.

Przez dłuższy czas miała wrażenie, jakby unosiła się w powietrzu, wśród chmur. Ktoś ją wołał, prosił, żeby się ocknęła, ale wołała zostać wśród tych chmur, w tym błogim stanie, kiedy człowiek jest tylko na poły świadomy. Niestety, szarość zaczęła znikać, przed zamkniętymi powiekami

pojaśniało. Poczwała obrzydliwy zapach soli trzeźwiających.

Zacwała kaszleć i ockwała się na sofie w Błękitnym Pokoju. Obok stały Bess i Felicia. Zza drzwi dobiegały jakieś głosy.

Goście. Blanche przypomniała sobie, co się wydarzyło.

- Boże...

Gdy usiadła, Bess nachyliła się nad nią.

- Nie wstawaj, kochanie. Zemdlałaś, trzeba trochę odpocząć...

- Daj spokój, Bess. Błagam, powiedzcie prawdę. Felicio?

- Zaczwałaś krzyczeć - powiedziała Felicia tak samo biała i wystraszona jak Bess. - Mordercy!

Mordercy! Potem przebiegłaś przez cały salon i upadłaś, skuliłaś się i dalej krzyczałaś, płakałaś. Lady de Warrenne uspokaja gości. Oczywiście wszyscy już wychodzą.

Blanche siedziała nieruchomo, nawet nie próbując otulać się w szarą chmurę spokoju.

- Jestem przeklęta... Czy... czy to wyglądało aż tak strasznie? Bess? — Gdy przyjaciółka tylko odwróciła głowę, hamując łzy, spojrzała na Felicię:

- Powiedz prawdę, proszę.

- Tak! Okropnie! Chyba tracisz rozum! - krzyknęła histerycznie, lecz zaraz się zreflektowała, usiadła obok Blanche i wzięła ją za rękę. - Kochanie, przepraszam, ale nigdy jeszcze nie widziałam kogoś w takim stanie. Posłałam już po twojego doktora.

- Ona cierpi na migreny - odezwała się Bess.

- Zaczęło się to niedawno. Głowa boli ją okropnie, co fatalnie wpływa na cały organizm. Sama widziałas, do jakiego stopnia.

Blanche spojrzała na nią z wdzięcznością.

Bess nieznacznie skinęła głową, po czym oznajmiła:

- Pójdę teraz do gości i powiem im, co naprawdę się stało.

Gdy wychodziła, przez uchylone drzwi Blanche dostrzegła w korytarzu hrabinę Adare, Lizzie i Eleanor. Miały poszarzałe twarze. Poza tym cisza, pewnie wszyscy dżentelmeni zrejterowali. Oprócz jednego. James Montrose stał oparty o ścianę i głęboko się nad czymś zastanawiał.

Gdy Bess podeszła do nich i zaczęła coś tłumaczyć, cała czwórka jak na komendę spojrzała w stronę Błękitnego Pokoju.

- Felicio, proszę, zamknij drzwi - szepnęła Blanche, modląc się w duchu żarliwie, by uwierzyli Bess, że lady Harrington cierpi na migreny. Owszem, jest chora, ale nie szalona.

Rozdział siedemnasty

W chwili, gdy podawano mu list, sir Reksa ogarnęły złe przeczucia, więc nie rozpieczętował go, tylko rzucił na biurko i choć dopiero było południe, sięgnął po butelkę whisky. Nalał sobie całą szklanę.

List był od bratowej. Wszyscy członkowie rodziny często pisywali do niego, jednak tym razem ten list był co najmniej zastanawiający. Przecież za dwa tygodnie planował jechać do Londynu na rocznicę ślubu rodziców, a jednak Lizzie i tak napisała, czyli musiała mieć do przekazania coś ważnego.

Natychmiast stanęła mu przed oczami lady Harrington, co było bardzo niepożądane, dlatego szybko napił się whisky. Nie myślał o Blanche, surowo sobie tego zabronił. Na szczęście miał mnóstwo roboty. Nowa stajnia została ukończona, więc zabrał się do odbudowy wieży, poza tym wznoszono kamienne murki wokół pastwisk, w pokojach wstawiono duże okna...

Palce sir Reksa zacisnęły się na szklance. Nastąpiła wiosna, która tego roku dziwnie się ociągała. Chciał, żeby było już lato, bo w lecie, jak co roku, zamierzał wyjechać. Zwykle w lipcu lub w sierpniu spędzał parę tygodni w Irlandii, jednak tym razem wybierał się do Londynu. Nie mógł doczekać się wyjazdu, bo nigdy dotąd nie czuł się w Land's End aż tak bardzo samotny.

Wyjedzie i może nigdy już tu nie wróci. Daj Boże...

Spojrzał na list. Lizzie, żona Tyrella, była bardzo ładna i zaokrąglona, taki też miała charakter pisma.

o czymże mogła go zawiadamiać tymi swoimi okrągłymi literami? Był przekonany, że zna odpowiedź. Przed dwoma miesiącami dostał list od Tyrella. Brat zapewne składał mu gratulacje albo też, znając już prawdę, pisał, jak mu przykro. Co jednak napisał, tego Rex nie wiedział, jako że nie rozpieczętował listu. Więcej, spalił go.

Czuł coraz większą rozpacz. Otworzył szufladę

i wyjął portrecik Stephena. Przez chwilę wpatrywał się w poważną twarz ciemnowłosego chłopca. Bardzo za nim tęsknił, dręczyło go pozbawione nadziei poczucie straty. Dotąd jakoś sobie z tym radził, przyjmował to, co się stało, jako coś nieuniknionego i oczywistego, lecz oto ból gwałtownie się nasilił. Dlaczego właśnie teraz? Tego nie wiedział, w każdym razie dojrzewiała w nim decyzja o powiadomieniu Mowbraya, że zamierza odwiedzić syna. Listu jeszcze nie napisał. Dzień mijał, wieczorem zasiadał do kolacji zakrapianej czerwonym winem, potem popijał brandy i w rezultacie przestawał

myśleć o Stephenie, a zaczynał o Blanche, której nienawidził, a jednocześnie wciąż kochał. Tęsknił za nią, myśl o niej towarzyszyła mu przez wiele bezsennych nocy, kiedy pragnął jej każdą najmniejszą cząstką swego ciała.

Jednak teraz, w samo południe, nie zamierzał o niej myśleć, bo musiał wreszcie zająć się synem. Postanowił, że więcej nie będzie odwlekał i napisze do Toma Mowbraya, bo tak dalej być nie może. Rodzony ojciec musi w końcu stanąć twarzą w twarz ze swoim dzieckiem, uśmiechnąć się do niego, usłyszeć Jego głos. Ma do chłopca tyle pytań! Naturalnie, że nigdy by mu do głowy nie przyszło zaszkodzić przyszłości Stephena. Chciał, żeby jego syn miał to, czego on sam nie mógł mu dać. Przywileje, władzę, wszystko to, co zapewni mu Mowbray, jednak rodzony ojciec powinien w jakiś sposób uczestniczyć w życiu dziecka, choćby jako przyjaciel rodziny. W końcu razem z Mowbrayem walczyli podczas wojny, a on uratował mu życie.

Wypił whisky do dna, a czuł się tak, jakby nie wypił ani jednej kropli. Spojrzał na okrągłe pismo Lizzie. Miał wielką ochotę spalić i ten list, ale się powstrzymał. Może coś zmieniło się w rodzinnych planach? Byłby bardzo zadowolony, gdyby postanowiono świętować w Adare, a nie w Londynie, gdzie w każdej chwili mógł natknąć się na Blanche. Wolałby tego uniknąć, bo wcale nie był pewien, czy podczas tego przypadkowego spotkania zachowa się jak dżentelmen.

Rozpieczętował list, rozłożył przed sobą i zaczął czytać:

Drogi Reksie!

Jak się miewasz, mój najdroższy szwagrze? W zeszłym tygodniu do Londynu zjechał hrabia, tak samo Sean z Eleanor i synkami. Virginia i Devlin razem z dziećmi mają zjawić się lada dzień. Ned i Michael znów są w najlepszej komitywie, zbytują i czekają niecierpliwie, kiedy dołączy do nich ich prowodyr, Alex. Cliff i Amanda przyjadą nie wcześniej niż za tydzień. Rogan ma teraz trzy lata, jest bardzo podobny do matki. Postrach wszystkich, bez przerwy prześladowuje mojego Chaza. Jednym słowem, panuje u nas chaos, czyli jest cudownie. Wszyscy bardzo tęsknimy za Tobą. Czy nie mógłbyś przyjechać do Londynu trochę wcześniej, niż zamierzałeś? Tylko mi nie mów, że znów musisz cośponaprawiać. Na pewno możesz odłożyć to na później!

Uśmiechnął się, oczy lekko mu zwilgotniały. W Harmon House niewątpliwie panuje radosny chaos, skoro zjechała już połowa jakże licznej rodziny z czeredą rozbrykanych dzieci. Rex wszystkie je bardzo kochał i nie mógł się już doczekać, kiedy je zobaczy. Podczas tych spotkań było mu zawsze i słodko, i gorzko, skoro był jedynym kawalerem w rodzinie, w której żyło tyle kochających się par. Myślał wtedy o swoim synu, który rósł, nie znając kuzynów i kuzynek, ciotek, wujów i dziadków, co sir Reksa bardzo bolało. Był zdecydowany zawieźć kiedyś Stephena do Harmon House, nawet gdyby wiązało się to z ujawnieniem prawdy o jego pochodzeniu.

Znów pochylił się nad listem. Gdy zaczął czytać, jego serce od razu zabiło szybciej: *Drogi szwagrze, nie ukrywam, że do napisania tego listu skłonił mnie przede wszystkim wielki niepokój o Blanche Harrington. Tyrell i ja do dziś jesteśmy skonfundowani, że napisałeś jeden list, a potem żadnego. Złożyliśmy Blanche wizytę następnego dnia po jej przyjeździe do Londynu. Mieliśmy nadzieję, że przekaze nam nowinę, jednak w ogóle nie wspomniała o waszych zaręczynach. Podejrzewam, że zaręczyny, o których pisałeś, zostały zerwane. Nie chcę tego drążyć, wiem, jak pilnie strzeżesz swoich spraw osobistych, niemniej jestem przekonana, że darzysz Blanche sentymentem, powinieneś więc wiedzieć, że w chwili obecnej jest w bardzo delikatnej kondycji. Jeśli nadal jesteś jej przyjacielem, dobrze by było, gdybyś podczas swej bytności w Londynie złożył jej wizytę. Może będziesz w stanie jakoś ją wesprzeć czy pocieszyć. Blanche przyjmuje rzadko, co do niej niepodobne, dlatego aż huczy odplotek, mimo to nadal oblegana jest przez kawalerów. Wszyscy mówią, że niebawem wybierze sobie męża. Proszę, wybaczyć moją śmiałość, ale bardzo martwię się o Blanche. Jeśli poróżniliście się, może da się to naprawić. Bardzo do tego zachęcam. Proszę, uczynić pierwszy krok. Nie znam damy bardziej czarującej i miłszej od lady Harrington.*

Szczerze Ci oddana Lizzie

Skończył czytać, nie odrywał jednak wzroku od kartki. Był zaskoczony, ale i zmartwiony. Bo co to znaczy, że Blanche jest w bardzo delikatnej kondycji? Na Boga, czyżby Lizzie dawała do zrozumienia, że jego była narzeczona jest przy nadziei?!

Uświadomił sobie, że cały drży. Jedno dziecko przecież już stracił, oddając je Clarewoodowi, ale drugiego nie może stracić. Nie wolno mu do tego dopuścić! Byłby to największy błąd w jego i tak nieudanym życiu.

Delikatna kondycja... Jeśli chodzi o dziecko, dlaczego Blanche go nie powiadomiła? Poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go pięścią prosto w pierś. Przecież Julia nie powiedziała mu, że jest w odmiennym stanie, tylko uciekła do Mowbraya.

Tak, ale Blanche jest inna. Rozstał się z nią w gniewie, przekonany, że lady Harrington jest jeszcze jedną rozwiązłą, zepsutą damą bez serca, tak samo podłą jak Julia. Tak wtedy pomyślał, choć w głębi serca wcale w to nie wierzył. Dla niego nadal była świetlistym aniołem...

Przypomniawszy sobie, jak zemdląca przed kościołem w Lanhadron. Czyżby wciąż miała te bóle głowy? Czy mdleje? Kiedy bawiła u niego z wizytą, zemdląca dwukrotnie. Może jest chora... Czy ma dobrego doktora? Do diaska, czy Lizzie nie mogła wyrazić się jaśniej? Bał się o Blanche, choć nie powinien. Zaufał jej, a ona swoim postępowaniem udowodniła, że wszystkie kobiety są takie same. Pozornie czułe i kochające, a tak naprawdę puste, egoistyczne i niewierne.

W głębi duszy wiedział, że Blanche jest inna, jednak bronił się przed tą świadomością. Dwa razy w życiu zawierzył głupiemu sercu i za każdym razem był to horrendalny błąd.

Jeśli Blanche Harrington jest chora, to... trudno. Jej sprawa.

Podszedł do biurka i nalał sobie whisky, nie wypił jednak, tylko posepnym wzrokiem wpatrywał się w kieliszek. Na szczęście trochę już ochłonał i był w stanie wyciągnąć wnioski. Są dwie możliwości. Albo Blanche jest chora, albo przy nadziei, choć to ostatnie wydaje się mało prawdopodobne. Nawet gdyby po ośmiu tygodniach miała już pewność, że jest w odmiennym stanie, raczej nie podzieliłaby się tą nowiną z Lizzie de Warenne.

Wniosek z tego, że jest chora, a w tym wypadku nie ma potrzeby się wtrącać. Blanche jest dojrzałą kobietą, nie ma co prawda rodziny, jednak otacza ją grono przyjaciół, więc ktoś na pewno się nią zaopiekuje. Może nowy narzeczony?

Rozłożył przed sobą czystą kartkę i umoczył pióro w kałamarzu.

Droga Lizzie!

Swoim listem sprawiłaś mi wielką radość. Nie mogę się doczekać, kiedy zawitam w Harmon House i zobaczę was wszystkich, zwłaszcza nowe pokolenie. Ciekaw jestem, jak bardzo dzieciaki urosły. Z chęcią zajmę się Nedem, Michaeliem i Alekssem. Chłopcom przyda się twarda ręka! Niestety, nie będę mógł przyjechać wcześniej, nie pozwalają na to pilne sprawy w Land's End.

Przykro mi, że Blanche Harrington nie cieszy się dobrym zdrowiem. Ponieważ nasze rodziny znają się od lat i nadal uważam ją za osobę zaprzyjaźnioną, pragnę Cię powiadomić, że podczas pobytu w Kornwalii Blanche Harrington też nie była w dobrej kondycji. Proszę, nakłoń ją, żeby

udała się do najlepszego doktora w Londynie. . Jestem świadomy, że moim listem do Tyrella spowodowałem wielkie poruszenie. Blanche i ja przez krótki czas mieliśmy nadzieję na stworzenie zgodnego stadła, szybko jednak uzmysłowiliśmy sobie, że pod wieloma, i to bardzo oczywistymi względami, nie pasujemy do siebie. Dlatego zrezygnowaliśmy z tych planów.

Przepraszam za zamieszanie.

Do zobaczenia w końcu miesiąca

Twój oddany Ci szwagier Rex

Nie było osoby bardziej życzliwej ludziom niż Lizzie. Miała serce ze szczerego złota. Sir Rex był pewien, że bratowa skłoni Blanche do szukania pomocy u wybitnego specjalisty.

Naprawdę wybitnego, czuł bowiem, jak znowu ogarnia go niepokój. Blanche jest chora, to nie ulega wątpliwości. A jeśli jest chora i jednocześnie spodziewa się dziecka?

Spędzili z sobą całą noc. Byli po słowie, zakochani, oboje pragnęli dziecka. Szczerze mówiąc, on chciał, żeby po tej właśnie nocy Blanche zaszła w ciążę.

Rzeczywiście może być przy nadziei, a wszyscy mówią, że wkrótce wybierze sobie męża.

Czyli należy się wtrącić, nie zamierzał bowiem pozwolić, żeby ponownie jakiś inny mężczyzna wychowywał jego dziecko.

Blanche uśmiechała się wytrwale, kiedy Jem otwierał drzwi, wpuszczając co najmniej dwa tuziny kawalerów. Bess i Felicia stały razem z nią również z uśmiechami przyklejonymi do twarzy.

Od powrotu do Londynu minęło osiem tygodni. Gości przyjmowała raz w tygodniu, świadoma, że jest na ustach wszystkich, bo zbyt wielu dżentelmenów widziało ją, kiedy miała atak. I niestety, koszmar powracał. Stało się to wiele razy, na szczęście nie przy gościach. Jednak służba musiała ją widzieć, jak skulona na podłodze płakała i krzyczała, bo odnosiła się do niej inaczej. Owszem, nadal ona pozostała panią, a służba służbą, lecz Blanche wyczuwała coś nowego. Różnica była niby subtelna, lecz dająca się odczuć i zauważyć. Odnoszono się do niej tak samo, jak ona do szaleńca mijanego na ulicy: zachowanie jak największego dystansu, unikanie patrzenia w oczy...

Bess zebrała całą służbę i przekazała, że lady Harrington cierpi na wyjątkowo uciążliwą migrenę, po czym zapowiedziała, że każdy, kto będzie rozsiewał plotki, natychmiast zostanie odprawiony. Portier, dwie pokojówki i podkuchenna pożegnały się już z Harrington Hall.

Mimo nalegań Bess Blanche nie zgadzała się na wizytę doktora, bo panicznie bała się diagnozy. Wolała ratować się sama. Starła się panować nad uczuciami, unikała wychodzenia z domu, gości przyjmowała tylko raz w tygodniu, a kiedy głowa zaczynała

boleć, dyskretnie opuszczała salon. Do tego przed przyjściem gości wypijała kilka filiżanek ziołowej herbaty z dodatkiem brandy.

Teraz też opija się herbatą, dlatego była nadzwyczaj spokojna i zdolna do obdarzenia promiennym uśmiechem każdego dżentelmena, który wchodził do salonu. Kiedy witała kolejnego notorycznego hulakę, Harry'ego Dashwooda, przez otwarte drzwi dostrzegła na dworze kogoś, kto wydał jej się znajomy.

Jakiś chudy, wysoki, w wytartej kurtce i tweedo-wej czapce prostak wpatrywał się w jej dom.

Spojrzała jeszcze raz i rozpoznała nieproszonego gościa. To Paul Carter. Przechwycił jej wzrok, uśmiechnął się i zdjął czapkę, po czym zniknął jej z oczu. Serce Blanche omal nie wyskoczyło z piersi. Co on tu robi? Po co ten szantażysta wrócił do Londynu? Przecież osiem tygodni temu zapłaciła mu tyle, ile zażądał, w zamian za co jego noga miała nigdy już nie postać w Harrington Hall.

- Lady Harrington... - Dashwood skłonił się. - Któż to taki?

- Przepraszam, kto?

- Tamten wieśniak. Mam wrażenie, że wystraszył panią.

Spojrzenie ciemnych oczu Dashwooda było bardzo łagodne, na nią jednak nie działało kojąco. Serce nadal tłukło się w piersi, w skroniach czuła tępy ból.

- Nie mam pojęcia, kto to taki - rzuciła lekko. - Prawda, że dziś mamy piękny dzień, lordzie Dashwood?

- Jest piękny, kiedy mam przed sobą skończoną piękność.

Skończoną piękność... czyli bladą, chudą jak szczapa z powodu ciągłego napięcia, braku snu i apetytu lady Harrington. Nigdy jeszcze nie wyglądała tak nędznie, ale Dashwood i tak wytrwale obsypywał ją komplementami. Nie przeszkadzało jej to. Lepsze to niż badawczy wzrok Jamesa Montrose'a, który pojawiał się zawsze tego jednego dnia w tygodniu, kiedy przyjmowała gości.

Może wybrać Dashwooda? Naturalnie, że wcale jej nie pociągał. Ona jego też nie, nie była naiwna. Miał jednak trzydzieści lat, był przystojny, nieskończenie próżny i egoistyczny. Taki człowiek zawsze zajęty jest sobą, byłby więc mężem niekłopotliwym. Co więcej, choć nie grzeszył nadzwyczajną bystrością, podobno zdarzyło mu się zrobić kilka niezłych inwestycji. Pewnie ma mądrych plenipotentów, którzy pomogą właściwie zarządzać jej fortuną. Poza tym był synem barona.

Oczywiście planowała wyjść za mąż dopiero wtedy, kiedy zyska całkowitą pewność, że spodziewa się dziecka, a na to trzeba było trochę poczekać. Pewności więc nie miała, a jednak po prostu czuła, że dojrzewa w niej nowe życie. Była tym równie zachwycona, jak i przerażona.

Jak przebiegnie ciąża? Jaką okaże się matką? Czy w ogóle będzie mogła nią być, skoro już teraz trudno uważać ją za osobę zdrową?

- Czy wolno mi być zuchwałym? - spytał Dashwood z szerokim uśmiechem.

- Niczego innego od pana nie oczekuję - odparła, udając, że z nim flirtuje.

- Pozwoli więc pani, że zabiorę ją na małą przechadzkę? - Podał jej ramię.

Blanche zerknęła na Bess, która nieznacznie kiwnęła głową. Aprobowała Dashwooda, choć tylko z powodu jego smykałki do interesów.

- Pozwolę - powiedziała z uśmiechem. - Sądzę, że goście wybaczą mi chwilową nieobecność.

Wyszli przez frontowe drzwi. Blanche rozejrzała się i poczuła ulgę, bo nie zauważyła Cartera. Obeszli dom, a kiedy weszli do ogrodu, Dashwood zaczął rozmawiać o operze. Doskonale wiedziała, że to tylko preludium. Za chwilę zaprosi ją na spektakl, ona naturalnie odmówi, ale słuchała uprzejmie, układając już sobie tekst przeprosin. Nagle zobaczyła Cartera. Stał koło jej ogrodnika, szeptali coś. Blanche potknęła się, Dashwood ją podtrzymał.

Carter odwrócił się i spojrzał na nią.

Co powiedział ogrodnikowi? Czego tu chciał? Dlaczego wrócił do Londynu?

Ból w skroniach nasilał się, wiedziała, że zaraz zaczną się urojenia. Lekko ścisnęła Dashwooda za łokieć. Zamierzała powiedzieć mu, że nie czuje się dobrze, zaraz będzie miała migrenę, ale ani jedno słowo nie chciało jej przejść przez gardło.

Zdażyła jeszcze tylko zobaczyć pobladłą twarz Dashwooda i usłyszeć pełen niepokoju okrzyk:

- Lady Harrington! Lady Harrington!

Głowę zaczął rozsadzać rozdzierający wrzask matki. Ogród znikł, zmieniając się w brukowaną ulicę. Wokół rozszalały motłoch, a mała Blanche pełźnie do mamy. Potwór krzyczy na nią z wściekłością, chce złapać ją za nogę.

- Mamo! Mamo!

Krzyki mamy są coraz bardziej rozdzierające. Nagle cichną.

Mała Blanche już ją widzi. Swoją matkę, na bruku, w kałuży krwi.

Ta krew to krew mamy.

Bruk zakołysał się, jednocześnie zaczęło brakować powietrza. Niczego więcej nie pragnęła oprócz ciemności. Błogosławionej ciemności, która wreszcie nadeszła.

Rozdział osiemnasty

Kiedy po dwóch tygodniach sir Rex wkraczał do wielkiego holu w Harmon House, już od progu usłyszał miły sercu gwar, pokrzykiwania i śmiech chłopców przy akompaniamencie cienkich głosików dziewczynek. Uśmiechnął się. Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuł się prawie szczęśliwy.

Wszedł do bawialni, eleganckiego pokoju utrzymanego w tonacji zielono-złocistej, z oknami wychodzącymi na piękny ogród na tyłach rezydencji. Ned i Alex, zanosząc się od śmiechu, wymachiwali na zmianę śliczną chińską lalką. Mała Elysse była bliska łez, Ariella piszczała i krzyczała. Złotowłosa córeczka Cliffa pierwsza zauważyła Reksa.

- Stryjku, stryjku, oni zabrali lalkę! Ta lalka jest z Paryża, oni ją zniszczą!

- Miejmy nadzieję, że nie - powiedział sir Rex, jak zwykle zachwycając się egzotyczną urodą brata-

nicy. Miała jasne włosy i uderzająco niebieskie oczy, cerę natomiast bardzo śniadą. Odwrócił się do zaskoczonych jego widokiem chłopców.

- Łobuziaki, oddajcie lalkę, bo stryj Cliff rozprawi się z wami.

Rozbrykani chłopcy, wydawszy jeszcze jeden bojowy okrzyk, cisnęli lalkę na sofę. Sir Rex żartobliwie rozwichrzył im i tak potargane włosy, po czym spojrzał surowo na starszego z bratanków, pierworodnego Tyrella.

- Ned, dlaczego pastwisz się nad kuzynkami? Jesteś dziedzicem, kiedyś będziesz patriarchą tego rodu, twoim obowiązkiem jest wspierać swoje kuzynki!

- To tylko głupia lalka, stryjku. Elysse wszystkiego się boi jak mysz! - odezwał się zuchwale chłopiec, choć wyraźnie poczerwieniał. - Miau! Miau! Uciekaj! Uciekaj!

Rex chwycił go za ramię.

- Uważaj, bo twój ojciec dowie się o wszystkim.

- Czy stryjek wie, że idziemy na ryby? - zawołał Alex. - Stryjek Tyrell powiedział, że możemy już łowić w rzece.

- Na pewno nie pójdziecie, jeśli będziecie zachowywać się jak piraci. Ta lalka nie jest waszą własnością. Nie wolno wam jej zabierać i niszczyć!

- A my przyjechaliśmy dopiero wczoraj. Nie było wiatru przez trzy dni i nie mogliśmy płynąć - odezwała się poważnym głosem Ariella. - Stryjku, a oni cały czas się wygłupiają i naśmiewają z Elysse.

Elysse, pociągając noskiem, skwapliwie pokiwała głową.

- A to dlatego, że jesteś taka śliczna - powiedział Rex, uśmiechając się do dziewczynki. -

Chłopcy zawsze zaczepiają ładne panienki.

- Święta prawda! - rzucił ktoś wesoło od progu. Rex odwrócił się i uśmiechnął. Do bawialni wchodzili jego bracia. Tyrell, bez surduta, tylko w codziennej koszuli i spodniach, wyglądał jak dumny dziedzic, bo inaczej po prostu nigdy nie wyglądał. Cliff z kolei, choć w eleganckim surducie, przypominał pirata, którym naturalnie nie był. W jednym uchu połyskiwał złoty kolczyk, lśniły też rubiny w ostrogach przy butach z cholewami. Innych butów Cliff nie nosił.

- Wreszcie moje oczy ujrzały cię, drogi bracie!

- Klepnął Rekse w ramię wystarczająco mocno, żeby ten się zachwiał.

- A oni znowu drażnią się z dziewczynkami?

- spytał surowo Tyrell.

- Zabrali mi lalkę! - zawołała ze łzami w oczach Elysse, tuląc do siebie odzyskaną zabawkę. - Ta lalka jest z Paryża! Tata sam mi ją kupił.

Tyrell pogłaskał ją po główce i spojrzał karcąco na chłopców.

- Przez tydzień nie chodźcie na ryby. Nie ma dyskusji. A teraz na górę. Ned, bierz się do lekcji. Nie dokończyłeś wypracowania. Przed kolacją chcę je przeczytać.

Drugi ojciec również pośpieszył z interwencją:

- Alex! - huknął Cliff. - Też na górę i do lekcji! I pamiętaj, jak nie będziesz zachowywał się przy-

zwoicie, koniec z przyjazdami do Londynu. Zostaniesz w Windsong!

- Tak jest, kapitanie! - zwołał Alex.

Na schodach zadudniło, gdy chłopcy popędzili na górę.

- Dziękuję, wujku Tyrellu. - Elysse, mała kokietka, uśmiechnęła się słodko, cmoknęła wuja w policzek i zwróciła się do kuzynki: - Pobawimy się razem lalką?

- Och, nie wiem - odparła Arielle. - Czytam teraz o historii Indii...

- Może jednak pobawisz się z Elysse? - spytał ojciec. - Tak rzadko się widujecie, więc nie trać okazji. Poczytasz później.

- Dobrze, tatusiu.

Kiedy dziewczynki wyszły z bawialni, Cliff najpierw zamknął starannie wszystkie drzwi, a potem spytał bez ogródek:

- Bracie, co się dzieje?

Sir Rex westchnął. Niestety, tej rozmowy nie dało się uniknąć.

- To co zwykle - odparł tonem jak najbardziej obojętnym. - Od roku haruję jak wół.

- Harujesz... rozumiem...

Cliff spojrzał znacząco na Tyrella, który wzruszył ramionami, podszedł do kredensu i spytał:

- Napijcie się wina?

- Po prostu nalej - rzucił Cliff. - Rex, mówisz, że harujesz, ale oprócz tego coś ważnego w twoim życiu się jednak wydarzyło. Napisałeś przecież do Tyrella, że zaręczyłeś się z Blanche Harrington. Więc jak to właściwie jest?

- Było, minęło. Nie pasujemy do siebie. Blanche i ja nie jesteśmy dwiema połówkami jabłka. Naturalnie, nadal pozostajemy na stopie przyjacielskiej, ale nasze małżeństwo nie byłoby udane.

- Rozumiem... Tak, rozumiem, ale jednak zaręczyliście się. Ty i Blanche Harrington.

Zakochałeś się w niej?

- Nie, nie zakochałem się.

- Nie wierzę. Przecież mężczyźni z rodu de Warenne'ow, zgodnie z rodzinną tradycją, żenią się tylko z miłości.

- Nie tradycja, tylko uporczywie powtarzana legenda - sprostował szorstkim tonem Rex. - Poza tym wcale się nie ożeniłem.

- Nie, ale zamierzałeś, prawda?

- Zamierzał, nie zamierzał, wypijmy! - powiedział Tyrell, wręczając braciom kieliszki. - Jeśli zaś chodzi o Blanche Harrington, to podobno zaręczyła się z Harrym Dashwoodem, notorycznym hulaką. Z Dashwoodem?! Reksowi nagle zabrakło tchu. Czasami widywał tego hulakę i bawidamka u White'a, dokładniej przy stoliku karcianym. Dashwood grał bardzo dobrze i bardzo ostrożnie, kontentował się małą wygraną. Ziarnko do ziarnka... Przecież to on umizga się do coraz to innych, byle zamożnych dam w Londynie, i po każdym romansie staje się trochę bogatszy. Blanche zaręczyła się z nim? Zakochała?

- Z Dashwoodem? Znacie go? - spytał, nie dając znać po sobie, jak bardzo jest poruszony.

- Bardzo słabo - powiedział Tyrell. - Słyszałem, że miał wiele romansów, poza tym zrobił kilka

intratnych inwestycji. Według mnie to raczej nieciekawym, bardzo powierzchownym człowiekiem.

- Wprost własnym nie wierzę uszom! - zawołał Cliff. - Rex! Blanche wychodzi za innego, a po tobie to spływa jak woda po kaczce. Przecież byłeś z nią zaręczony! Ja wściekałem się z zazdrości, wystarczyło, że jakiś mężczyzna spojrzeł na Amandę, i to wtedy, jak pamiętacie, kiedy sam próbowałem znaleźć jej męża!

- Bo ty, mój drogi, w sferze uczuć zawsze byłeś najgorszą ofermą! - zawołała od progu, rozpluwając się w uśmiechu, Eleanor. Uściskała serdecznie Reksa i spytała go wprost, bez żadnych wstępów:

- Dlaczego nie jesteś zaręczony z Blanche Harrington? Podobno twierdzisz, że nie pasujecie do siebie. A ja uważam, że jest całkiem odwrotnie!

Nie odpowiedział, tylko wypił parę łyków wina.

- Jutro z Lizzie chcemy złożyć Blanche wizytę

- oznajmił Tyrell. - Rex, może wybierzesz się z nami? Na pewno będzie jej miło. W końcu sam powiedziałeś, że rozstaliście się w przyjaźni.

- Niestety, jutro jestem zajęty - odparł wbrew sobie, bo w głębi duszy marzył o spotkaniu z Blanche.

- Po prostu mam inną wizytę.

- Do kogo się wybierasz? - spytała dociekliwa siostra. - Do jakiejś damy?!

- Tego nie powiedziałem.

- Może wybiorę się razem z tobą?

- Nie, nie wybierzesz się.

- Wszystko jasne! Po prostu unikasz Blanche. Dlaczego?

Z ciężkim westchnieniem usiadł na sofie.

- Wcale nie - odparł, choć zdawał sobie sprawę, że wszyscy obecni są innego zdania. - Mam nadzieję, że ten Dashwood naprawdę jej się podoba. Blanche zasługuje na szczęście.

Eleanor, potrząsając bezradnie głową, przysiadła obok Reksa.

- Braciszku kochany, tak się cieszyłam, kiedy Tyrell podzielił się z nami nowiną. Bardzo bym chciała, żebyś też był szczęśliwy tak jak ja, Tyrell i Cliff...

- Ja? Ja nie szukam miłości.

- Dlaczego nie? Dlaczego sobie tego odmawiasz? Dlaczego uciekasz od szczęścia, udanego małżeństwa, miłych dzieci? Dzieci... Gdyby im powiedział, że dziecko już ma, natychmiast rozpętałyby się burza, a Eleanor nie dałaby mu spokoju. Zaczęłyby się domagać, by zerwał wszelkie układy z Mowbrayami, co więcej, mogłaby nawet przedsięwziąć jakieś kroki w tym kierunku. Choć bracia zapewne spojrzeliby na to bardziej praktycznie, uznając, że taki układ jest najlepszy. Niestety...

- Dzieci? - powtórzył, wzruszając ramionami.

- Nigdy o nich nie myślałem.

- Nie musisz - powiedział z uśmiechem Cliff.

- Same do ciebie przyjdą. - Wiedział, co mówi, przecież wychowywał dwójkę swoich nieślubnych dzieci. Matka Arielli nie żyła, zamordowano ją w haremie. Matka Aleksa, rosyjska hrabina, wyszła za kogoś innego, miała z nim dzieci. Jej mąż nie chciał Aleksa, prawdopodobnie nie chciała go też rodzona matka.

- Rex... - Eleanor wzięła go za rękę. - Przepraszam. Zachowałam się jak słoń w składzie porcelany. Niestety, bardzo często...

- Nie szkodzi, droga siostrzo. Jest ci wybaczone.

Cliff sączył wino, wyraźnie się nad czymś zastanawiając. Wypił do dna, odstawił kieliszek i nagle odezwał się zdecydowanym głosem:

- Jeśli wy mu tego nie powiecie, to ja to zrobię! Eleanor skrzywiła się.

- Ja na pewno nie... Rex poderwał głowę.

- Cliff! O co chodzi? Mów!

- Chodzi o te krążące od pewnego czasu głupie plotki. Powinieneś o tym wiedzieć. Rex, ludzie mówią, że Blanche Harrington postradała zmysły. Okrzyknęli ją wariatką!

Późnym popołudniem Rex razem z przyrodnimi braćmi, Devlinem i Seanem, wybrał się do White'a. Ledwie minęła piąta, ale sala na parterze była nabita dżentelmenami raczącymi się cygarami i portwajnem. Jednak Sean wypatrzył wolny stolik. Kiedy szli przez salę, Rex miał wrażenie, że wszyscy dżentelmeni odprowadzają go wzrokiem. Mało tego, kiedy mijali jeden ze stolików, nagle usłyszał, jak ktoś powiedział:

- Sądzi pan, że to on zwrócił jej słowo? Zatrzymał się w pół kroku. O kim, do diaska, on mówi? Czyżby...

- Ja na pewno bym tak zrobił - odrzekł drugi z mężczyzn.

Gdy Rex spojrział na nich, spłoszeni natychmiast odwrócili wzrok. Popatrzył w inną stronę i nagle znieruchomiał.

Przy jednym z okrągłych stolików siedział Tom Mowbray nad szklaneczką portwajnu i rozłożoną gazetą. Jednak Tom wcale nie wpatrywał się w gazetę, tylko w Rekxa.

Kiedy przechwycił jego spojrzenie, natychmiast opuścił głowę.

Kompletnie zaskoczony Rex nadal stał nieruchomo, na moment oczami wyobraźni ujrzał twarz swego syna. Przed wyjazdem do Londynu napisał w końcu do Mowbraya krótki list, przekazując, że chciałby spotkać się z nim i omówić kilka spraw. Odpowiedź nie nadeszła. Oczywiście Mowbray musiał się domyślić, że sprawy te związane są ze Stephenem.

U boku Rekxa pojawił się Devlin, rosły mężczyzna o wyjątkowo bujnych włosach, istnej lwiej grzywie.

- Coś się stało, Rex? Odetchnął głęboko.

- Nic takiego, bracie. Zaraz do was przyjdę, chciałbym tylko zamienić kilka słów z tym oto dżentelmenem.

- Dobrze. Czekamy na ciebie. Co będziesz pił?

- Cabernet.

Devlin skinął głową i odszedł, natomiast Rex, miarowo postukując kulą, zbliżył się do okrągłego stolika.

- Mowbray! - Nie miał zamiaru bawić się w formalności. Dla niego był to po prostu Mowbray, którego nie widział od dziewięciu lat.

- Rex!

- Dostałeś mój list?

Mowbray wstał. Z wiekiem rysy jego twarzy wyostrzyły się, wyraźnie zeszczupłał, nadal jednak był przystojnym mężczyzną.

Obrzucił sir Reksa wyniosłym spojrzeniem.

- List od ciebie? Nie przypominam sobie.

- Niemniej chciałbym z tobą porozmawiać, Tom. Mowbray drgnął.

- Teraz Clarewood - rzucił szorstko. - Albo, jak wolisz, Wasza Wysokość.

- O! Ciekawe... Kiedy w Hiszpanii ramię w ramię siekliśmy Francuzów, nie używaliśmy tytułów.

- Owszem - przytaknął chłodno - ale tamte dni dawno minęły. Wybacz, śpieszę się. Nie mam czasu na żadne rozmowy.

Odwrócił się, gotów do odejścia, jednak Rex powiedział półgłosem:

- Zamierzam odwiedzić Stephena. Mowbray natychmiast zareagował.

- Nie sądzę!

- A jednak! Chyba że przywieziesz go do Londynu. Doszedłem do wniosku, że obecny układ przestał mnie satysfakcjonować. - Gdy w oczach Mowbraya pojawił się strach sir Rex dodał: - Nie martw się, Tom, nie będę niczego ogłaszać światu, ale koniecznie chcę go zobaczyć.

- Nie życzę sobie żadnych zmian w naszej umowie.

- Nie planuję dokonywać istotnych zmian ani ujawniać prawdy o pochodzeniu Stephena, ale jestem jego rodzonym ojcem i z tego tytułu mam pewne prawa. Poza tym od samego początku była mowa o odwiedzinach.

- Twoje prawa? Sam je sobie odebrałeś, zresztą słusznie, wiele lat temu, żeby zabezpieczyć przyszłość Stephena. Traktuję go jak własnego syna i nie pozwolę, żeby ludzie znów zaczęli o nas gadać. Nie będę robił z siebie pośmiewiska.

- Chcę tylko odwiedzić mojego syna. Co w tym dziwnego? Znamy się z tobą od lat i podobno, jak wieść gminna niesie, kiedyś uratowałem ci życie. Dlaczego miałbym więc nie przyjechać do ciebie z wizytą? W jakimś sensie jesteś mi to winien.

Mowbray poczerwieniał, widać było, że z wielkim trudem hamuje gniew.

- Dziesięć lat minęło, nic ci nie jestem winien! - niemal krzyknął. - Skoro jednak tak bardzo się uparłeś, odwiedź go. Mam tylko nadzieję, że nie stanie się to twoim obyczajem.

Odwrócił się i bez słowa pożegnania odszedł. Rex odprowadzał go wzrokiem, uzmysławiając sobie, że z wrażenia aż się spocił. Ciekawe, jak ten Mowbray się zmienił! Z beztroskiego młodzieńca w oschłego, zimnego mężczyznę, do którego nie docierało, że Reksowi może po prostu zależeć na własnym dziecku.

Oczywiście, że Tom był zaskoczony, gdyby jednak raczył odpisać na list, uniknąłby tej przykrej niespodzianki.

Zaciskając mocniej palce na kuli, podszedł do stolika, przy którym siedzieli bracia. Sean, jak zwykle za bardzo spostrzegawczy, natychmiast przeszył go wzrokiem.

- Rex, co jest między tobą a Clarewoodem?

- Znamy się z czasów wojny - odparł, starannie unikając jego spojrzenia. - Potem nie widzieliśmy się ani razu.

- Aha... A teraz, jak spostrzegłem, ucieliście sobie miłą pogawędkę...

Reksowi udało się rozciągnąć usta w uśmiechu.

- Tylko nie mów, że podsłuchiwałeś.

- Niestety, nie było jak. Staliście za daleko.

- A ja znam Clarewooda - odezwał się Devlin. - Mieliśmy wspólne interesy. To twardy człowiek i myślę, że bardzo zgorzkniały. Rex, czy to właśnie Jego uchroniłeś przed śmiercią w Hiszpanii?

- Powiedzmy. Nie mógł iść, więc wyniosłem go z pola bitwy.

- Rozumiem...

Devlin z nieprzeniknioną twarzą zajął się whisky. Rex doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że braciom jego rozmowa z Clarewoodem wydaje się bardzo podejrzana, dlatego postanowił zmienić temat i spytał:

- Sean, wybierasz się do Adare? Bo ja tak, jadę tam prosto z Londynu.

- Jeszcze nie wiem... O! - Sean spojrzał ponad głową szwagra - Patrzcie, jest Dashwood.

Rex powoli obrócił się w krześle. Dashwood, razem z dwójką innych dżentelmenów, stał nieopodal. Byli bardzo rozbawieni, śmiali się i żartowali. Dashwood prezentował się nieźle. Przystojny, o atletycznej budowie, ubrany był nienagannie w modny surdut, śnieżnobiałą koszulę i jedwabną kamizelkę. Buty świeciły się jak lustro. Do przesady, stwierdził w duchu z niesmakiem sir Rex.

Był zazdrosny. Po raz pierwszy, odkąd usłyszał o zaręczynach Blanche z Dashwoodem, przyszło mu na myśl, że ta para być może jest już z sobą blisko. Bardzo blisko.

Ta myśl była nie do zniesienia.

- Znowu ci dopisało szczęście, ty trutniu! - zawołał jeden z kompanów Dashwooda, klepiąc go po ramieniu.

- Ano dopisało, Will, dopisało! - odparł Dashwood. - Właśnie zaczęliśmy spisywać intercyzę.

- Nie wiem, czy to takie szczęście - odezwał się drugi z kompanów. - Nigdy bym się nie odważył na ślub z wariatką!

Reksowi na moment pociemniało w oczach. Przecież oni mówią o Blanche i bez żadnego skrepowania wykrzykują, że jest szalona!

- Różnie to bywa - oświadczył Dashwood z dwuznacznym uśmiechem.

- Czyli jak to z nią tak naprawdę jest? - spytał zdezorientowany Will. - Stuknięta czy nie?

- Absolutnie tak - powiedział Dashwood, zniżając głos. - Widziałem na własne oczy, jak miała ten swój atak. I muszę wam powiedzieć, chłopaki, że mi to bardzo odpowiada. Bo wariatka nie ma prawa do majątku. Rozumiecie, o co mi chodzi?

Reksowi znów pociemniało w oczach. Sean złapał go za ramię.

- Spokojnie, bracie.

On jednak już chwycił kulę, szturchnął nią Dashwooda w plecy i wstał.

Zaskoczony Dashwood odwrócił się i wycedził:

- Witaj, de Warenne... Czyżbyś chciał złożyć mi życzenia?

Rex najpierw się uśmiechnął, a zaraz potem błyskawicznie uderzył chłystka kulą tuż pod kolanem. Dashwood upadł na plecy, waląc głową o podłogę. Rex zachwiał się. Gdyby nie chwycił się krzesła, też by upadł.

- Ty draniu... - wysyczał Dashwood, powoli podnosząc się z podłogi.

- A ty wbij sobie do głowy, że lady Harrington, twoja przyszła żona, nie jest obłąkana! - oznajmił lodowatym głosem Rex. - Poza tym, skoro nie ma w tobie wobec niej ani odrobiny szacunku, radzę, żebyś zastanowił się jeszcze raz nad waszą wspólną przyszłością!

Dashwood wstał.

- Ty draniu... - znów wysyczał i rzucił się na Reksa. Szczepieni z sobą runęli na podłogę.

Zakotłowało

się, natychmiast jednak liczne pary rąk zaczęły ich rozdzielać.

Reksowi pomogli wstać jego bracia, Dashwoodowi dwóch jego kompanów.

- Zapamiętaj sobie raz na zawsze! - powiedział Rex, ciężko dysząc. - Lady Harrington jest przyjaciółką całej naszej rodziny i nie pozwolimy, żeby ktoś ją obrażał! I radzę ci po dobroci, przemyśl jeszcze raz te zaręczyny!

- Idziemy... - szepnął Sean, biorąc go mocno pod ramię.

- Zapłacisz mi za to! - krzyknął Dashwood, również dysząc jak miech kowalski. - A ona i tak będzie moją żoną, jutro podpisujemy intercyzę!

Rex szarpnął się, czując znów gwałtowną potrzebę dania nauczki Dashwoodowi, jednak Sean, zakleszczając palce na jego rękę, gwałtownie pociągnął go do drzwi.

Ostatnie słowo należało do Devlina, który na pożegnanie rzucił Dashwoodowi przez ramię:

- Na twoim miejscu, chłopcze, mocno bym się zastanowił.

Rex stał przy oknie w bawialni. W ręku trzymał kieliszek z brandy, nie podnosił go jednak do ust, tylko patrzył w usiane gwiazdami niebo i odtwarzał w pamięci potyczkę z Dashwoodem.

Czwórka jego braci, dwóch rodzonych i dwóch przyrodnych, rozsiadła się wygodnie w fotelach. Wszyscy byli już w szlafrokach. Rozmawiali cicho, a Rex rozmyślał. Czy Blanche zdecydowała się wyjść za Dashwooda z rozsądku i ze względów majątkowych, czy też go kocha? Czy Dashwood istotnie tuż po ślubie chce ją ubezwłasnowolnić, żeby zawładnąć fortuną?

Odwrócił się, słysząc za sobą kroki.

- Piękna noc - powiedział z uśmiechem Cliff. - Noc kochanków. Wracam na górę, do żony.

Rex nie był w stanie odwzajemnić uśmiechu, wypadało jednak coś powiedzieć.

- Amanda chyba jeszcze nigdy nie wyglądała na bardziej szczęśliwą.

Na co Cliff, zamiast rozpromienić się, smętnie pokiwał głową.

- Za to ty, bracie, nigdy jeszcze nie wyglądałeś na aż tak nieszczęśliwego. Słyszałem o tym, co

wydarzyło się u White'a. To dowód, że nadal jesteś zajęty Blanche Harrington. Tylko nie zaprzeczaj.

- Cliff nie wiedział, bo nikt nie wiedział, że to Blanche odtrąciła Reksa.
- Przede wszystkim, Cliff, ten drań Dashwood rozgłasza, że Blanche jest obłąkana. Chce ją poślubić i zaraz potem ubezwłasnowolnić, żeby cała fortuna przeszła na niego.
- Rzeczywiście drań. Skąd o tym wiesz?
- Słyszałem na własne uszy, mówił o tym u White'a. Dlatego tak się wściekłem.
- Co zamierzasz zrobić?
- Chcę powiedzieć o tym Blanche, choć na pewno nie uwierzy, że Dashwooda stać na taką podłość, poza tym nie będzie zachwycona moją ingerencją w jej sprawy osobiste. Cóż mi jednak innego pozostało? Spróbuję ją przekonać, że mówię prawdę.
- Słusznie! - Cliff mocno klepnął go po ramieniu
- Masz moje błogosławieństwo, bracie.

Przed południem nie składa się wizyt, do wczesnych odwiedzin mają prawo tylko najbliżsi, dlatego Rex z mieszanymi uczuciami wysiadał z powozu, który zatrzymał się na półkolistym podejździe przed Harrington Hall. Zauważył jeszcze jeden powóz, zdecydowanie zbyt drogi i wytworny, żeby należał do pokątnego ciułacza Dashwooda.

Pomyślał, że to jeden z powozów Blanche, która pewnie gdzieś się wybiera.

Wszedł na schody wiodące do ogromnych hebanowych drzwi. Po obu stronach stało dwóch lokai w liberiach, nieruchomych jak posągi. Zastukał głośno, stanowczo. Przecież grał o wysoką stawkę, o przyszłość Blanche, o jej szczęście. Nie łudził się, że będzie jego widokiem

zachwycona, chociaż, jak to ona, nie okaże tego po sobie. Jak zareaguje, kiedy powiadomi ją o niecnym zamiarach Dashwooda? Oczywiście nie uwierzy, choć podziękuje uprzejmie za życzliwość i uzna wizytę za zakończoną.

Lokaj wprowadził go do jednego z salonów, na którego ścianach wisiały liczne olejne obrazy znanych mistrzów. Pod ścianami stały połączone krzesła, a na środku, na podwyższeniu, ogromny stół z piękną kompozycją z kwiatów.

Kiedy usłyszał lekkie kroki, serce omal nie wyskoczyło mu z piersi, jednak do salonu weszła nie Blanche, tylko lady Waverly. Ze ściągniętą twarzą, bez cienia uśmiechu.

Skłonił się.

- Lady Waverly.

- Sir Rex, cóż za niespodzianka. Zabrzmiało to bardzo ironicznie. Dlaczego? Co Blanche o nim naopowiadała?

- Proszę o wybaczenie, lady Waverly. Pora rzeczywiście zbyt wczesna na wizyty, jednak mam pilną sprawę do lady Harrington.

- Dopiero dziesiąta - odparła chłodno.

Rex zdał sobie sprawę z tego, że konfrontacji nie da się uniknąć.

- Jestem tego świadomy, podkreślam jednak, że mam sprawę niecierpiącą zwłoki.

- Przykro mi, ale lady Harrington dziś nie przyjmuje. Oczekuje gości w czwartki.

- W takim razie bardzo proszę o przekazanie lady Harrington, że tu jestem. Za względu na naszą długoletnią znajomość na pewno mnie przyjmie.

- Nie sądzę. Lady Harrington nie życzy sobie pana widzieć. Dała panu to jasno do zrozumienia dwa miesiące temu.

- Myli się pani. Kiedy lady Harrington wyjeżdżała z Land's End, byliśmy w jak najlepszej komitywie. Zdziwiłbym się bardzo, gdyby to się zmieniło.

- I zmieniło się, mój panie! - krzyknęła lady Waverly, nie kryjąc gniewu. - Wszystko się zmieniło! Żegnam pana!

Sir Rex nie ruszył się z miejsca.

- Wiem, że lady Harrington ma dziś podpisać intercyzę. Chciałbym przedtem koniecznie zamienić z nią kilka słów.

Te słowa okazały się przysłowiową ostatnią kroplą, bo lady Waverly do reszty straciła panowanie nad sobą.

- O nie, mój panie! Ona nie chce pana widzieć! Nigdy! - zaczęła krzyczeć histerycznie. - Przez pana ma ogromne kłopoty! Ogromne! Niech pan już idzie stąd! Żegnam! I proszę zostawić lady Harrington w spokoju!

Spódnica zaszeleściła, gdy lady Waverly pospiesznym krokiem wychodziła z salonu.

Sir Rex, który wcale nie zamierzał opuścić Harrington Hall, rozejrzał się po ogromnym pokoju. Przez otwarte drzwi, którymi wszedł, widział drzwi wejściowe do domu. Stał przy nich lokaj, oczywiście udając, że niczego nie słyszał i nie widzi gościa w salonie.

Rex ścisnął mocniej kulę i ruszył w kierunku drzwi, którymi wyszła lady Waverly. Przeszedł przez dwa bardzo ładne saloniki, nie słysząc niczego oprócz odgłosu swoich kroków. Nie znał tego domu, był jednak pewien, że lady Waverly podążyła w te rejony rezydencji, gdzie przebywa Blanche.

Wszedł w długi, kręty korytarz. Kiedy drzwi, które właśnie miał minąć, otwarły się, przystanął z nadzieją, że zobaczy Blanche. Niestety, na korytarz wyszedł szybkim krokiem jakiś młody człowiek i zniknął za innym drzwiami. Nie zauważył Reksa, on jednak dostrzegł jego profil.

Ze zdziwieniem rozpoznał Paula Cartera. Co, u diabła, robi ten kowal w Londynie, do tego w Harrington Hall? To narzeczony Anne, w której jest tyle złości do lady Harrington! Z czego wniosek, że obecność Cartera w tym domu nie wróży nic dobrego.

Postukując kulą, podszedł do przeszklonych drzwi, które Carter zostawił uchylone. Pchnął je i znalazł się w wielkiej bibliotece o jasnozielonych ścianach. W najbardziej oddalonym od drzwi rogu pokoju, przy małym biurczku, siedziała Blanche, wpatrzona w splecione dłonie ułożone na blacie. Wyglądała jak panienska ze szkoły, która właśnie coś nabroiła. Nie, poprawił się w myślach sir Rex. Wyglądała jak bardzo krucha istota, która rozpaczliwie potrzebuje opiekuna i obrońcy.

Wciąż ją kochał, od zawsze tylko ją, przyszłość tego nie zmieni. Stojąc nieruchomo w drzwiach, sycił oczy widokiem drobnej, wytwornej postaci,

świadomy, że zapewne nigdy już więcej nie będzie miał ku temu sposobności.

Blanche podniosła głowę i z jej ust wyrwał się cichy okrzyk zdziwienia.

Zamknął drzwi i z bijącym sercem ruszył przez duży pokój. Blanche siedziała nieruchomo, wpatrując się w niego równie nieruchomym spojrzeniem niebieskozielonych oczu.

A on poczuł rozpacz. Dlaczego musi właśnie tak być? Właśnie tak?!

Po kilku krokach odezwał się półgłosem:

- Mam nadzieję, że nadal jesteśmy przyjaciółmi. Jeszcze wczoraj marzyłem, żeby dostać amnezji

i zapomnieć o wszystkim, co wiązało się z Blanche, lecz kiedy ją zobaczyłem, zapragnąłem chociaż przyjaźni. Okruch zamiast...

- Jak pan tu wszedł? - spytała cichym głosem.

Była bardzo mizerna, pewnie w ogóle nie sypiała, o czym świadczyły ciemne sińce pod oczami. Schudła, wyglądała na osobę chorą.

- Dzięki pani lokajowi - odparł z uśmiechem, siląc się na lekki ton towarzyskiej pogawędki.

- Potem zagroził mi drogę pani cerber, czyli lady Waverly, ale postanowiłem wziąć sprawy w swoje ręce. Jeśli jest pani moim widokiem przerażona, proszę o wybaczenie.

Kiedyś... kiedyś wybaczyła mi pani większe przewinienia.

Odetchnęła głęboko.

- Nie wybaczam, sir Reksie.

- Dlaczego? Naprawdę nie może pani ze mną porozmawiać? Ze starym przyjacielem rodziny? Czyżbym w Land's End dopuścił się tak wielkiej impertynencji, że pani przychylność przerodziła się wręcz w odrazę?
- Och, skądże! Niczego takiego pan nie zrobił.
- Wstała, chwiejąc się jak małe drzewko podczas silnego wiatru, i spojrzała mu prosto w twarz. Niebieskozielone oczy lśniły od łez. - Wcale nie czuję do pana odrazy, tylko największy podziw i szacunek, jak zawsze. Bardzo cenię sobie naszą przyjaźń...
- W takim razie jesteśmy zgodni, bo też panią podziwiam i szanuję. Na zawsze pozostaniemy przyjaciółmi. Blanche, proszę wybaczyć, ale czy może mi pani powiedzieć, dlaczego jest taka smutna? I co robi tu ten Carter?
- Dlaczego jestem smutna? Nie zna pan najświeższych plotek? A może pan prosto z drogi, ledwie co zjawił się pan w Londynie? - Przyjechałem wczoraj. Słyszałem już, że zamierza się pani zaręczyć. Zarumieniła się, umknęła wzrokiem.
- Miałam na myśli innego rodzaju plotki - powiedziała prawie niesłyszalnym głosem, po czym odwróciła się. - Straciłam rozum, sir Reksie!
- Pani? To dziwne, bo nie znam osoby bardziej rozsądnej niż pani. Blanche, niech pani nie przejmuję się głupim gadaniem. A może to Dashwood rozsiewa takie plotki?
- Dashwood? Nie... - Potarła nerwowo skronie.
- Przepraszam, ale nie mogę o nim rozmawiać z panem. Nie mogę, nie mogę! Dla mnie to zbyt trudne! - podniosła głos.
- Blanche! - Szybko pokonał niewielką odleg-

łość, która dzieliła go od biureczka. - Blanche, nie chcę być nietaktowny, ale nie wygląda pani kwitnąco. Czy nadal miewa pani bóle głowy?

Nie odpowiedziała, tylko drżącą ręką sięgnęła po filiżankę. Zapewne z herbatą, ale Rex zauważył na biureczku butelkę z jeszcze jednym płynem. Z brandy. Obok butelki leżała łyżeczka.

- Przepraszam, co to jest?

- Brandy! Nie widzi pan? - krzyknęła. - Służy mi! - Wypiła łyk i gwałtownie odstawiła filiżankę na spodeczek.

- Blanche... - Delikatnie ujął jej małą, wychudzoną dłoń. - Przyszedłem tu, żeby porozmawiać

o Dashwoodzie, widzę jednak, że nie czuje się pani dobrze, dlatego nie będę przeciągał wizyty. Chciałem tylko prosić, żeby pani nie podpisywała dziś intercyzy. Proszę mi to obiecać. Blanche, czy doktor badał panią? - Nie odzywała się, wpatrując się w ich złączone ręce. Widział, jak na blade policzki wpełza ciemny rumieniec. - Blanche?

Potrząsnęła głową. Dotknęła skroni i szepnęła:

- Pan wybaczy, muszę iść...

- Blanche, proszę...

- Och! - Gwałtownie zerwała się z krzesła

i zasłoniła uszy, a jej twarz wykrzywiła się w największym przerażeniu.

- Blanche!

Krzyknęła przeraźliwie i ze szlochem osunęła się na podłogę.

- Blanche...

Do salonu wbiegła lady Waverly.

- O Boże! Blanche! Blanche! - Uklękła obok niej i objęła ramionami. - Niech pan stąd idzie!
Niech pan stąd idzie!

Ośłupiały patrzył, jak szloch cichnie, a Blanche zaczyna kołysać się miarowo w przód i w tył. Coś przy tym mamrotała "cicho.

Lady Waverly, nie wypuszczając jej z ramion, podniosła głowę. Płakała.

- Milady, proszę się nie niepokoić - powiedział Rex półgłosem. - To, co teraz widzę, zachowam w najgłębszej tajemnicy. I proszę... Naprawdę muszę z panią porozmawiać. Będę czekał przed domem. Blanche... - Z trudem powstrzymując łzy, spojrzał na drobną, kołyszącą się miarowo postać. - Blanche, nie wiem, czy pani mnie słyszy, ale chcę powiedzieć, że nic się nie zmieniło. Zrobię wszystko, żeby pani pomóc. Wszystko!

Rozdział dziewiętnasty

Bess, głaszcząc Blanche po plecach, starała się przede wszystkim sama uspokoić, by móc skutecznie pocieszyć przyjaciółkę. Panicznie bała się o Blanche, bo było z nią coraz gorzej. Szokujące epizody zdarzały się codziennie, czasami nawet częściej. Czyżby powoli przenosiła się do świata, z którego nie ma już powrotu? Bess nie tylko tym była przerażona. Od powrotu z Land's End minęło już dwa i pół miesiąca, a Blanche nadal nie miała comiesięcznej przypadłości, co oznaczało, że jest w odmiennym stanie. Czy ktoś, kto aż do takiego stopnia nie radzi sobie ze swoją psychiką, poradzi sobie z wychowaniem dziecka? Naturalnie, że nie. Dlatego Bess naciskała na jak najszybsze zamążpójście. Dziecko musi mieć ojca, bez względu na to, czy lady Harrington naprawdę potrzebny jest małżonek. Mamrotanie wreszcie ucichło. Blanche, dotąd skulona, wyprostowała się i otarła łzy, starannie unikając wzroku przyjaciółki. Oddech miała przyśpieszony jak ktoś po dużym wysiłku.

- Naleję ci herbaty - powiedział cicho Bess, podnosząc się z kolan. - Gdy Blanche skinęła głową, dodała: - Kochanie, czy przypomniałaś sobie coś nowego?

- Nie.

Blanche wstała i spojrzała na drzwi, którymi przed chwilą wyszedł sir Rex. Bess też tam zerknęła. Kiedy usłyszawszy krzyk Blanche, wbiegła do salonu i zobaczyła Reksa de Warenne'a, była przekonana, że atak spowodowany został jego obecnością. Teraz jednak wcale nie była tego pewna, przecież Blanche miała urojenia codziennie, choć sir Reksa przy niej nie było. Nawiedzały ją tak często, że najchętniej przesiadywała w pokojach.

Co powiedział sir Rex, wychodząc z salonu? „Zrobię wszystko, żeby pani pomóc”. Był przerażony, miał to wypisane na twarzy, ale jednocześnie szczerze zaniepokojony, taki życzliwy...

I jest ojcem dziecka.

Spojrzała na Blanche, która, obejmując się mocno ramionami, drżała, jakby było jej bardzo zimno.

- Czy on... nadal tu jest?

- Może i tak... - odparła Bess, podchodząc do stolika, na którym stała zastawa do herbaty. - Sądzę jednak, że nie powinnaś się z nim widzieć. Przynajmniej dziś.

- Kiedy go zobaczyłam... kiedy patrzył na mnie... to było bardzo przykre.

Bess, wpatrując się bacznie w twarz przyjaciółki, podała jej filiżankę.

- Nadal go kochasz? Proszę, powiedz szczerze.
- Och, Bess... Czy takiego człowieka można przestać kochać?
- W takim razie powinnaś zastanowić się nad zaręczynami z Dashwoodem.
- Przecież sama mówiłaś, że Dashwood jest wystarczająco bystry, żeby zarządzać moją fortuną, a ja dla dobra dziecka muszę wyjść za mąż... Nie mówmy już jednak o tym. Wybacz, pójdę do siebie. Znowu zaczyna mnie boleć głowa.
- Dobrze, kochanie. Przyślę do ciebie Meg - powiedziała Bess, choć obie doskonale wiedziały, że bardzo przywiązana do swojej pani pokojówka i tak na pewno trwa na posterunku. Była prawdziwym skarbem.

Bess odprowadziła Blanche do schodów. Kiedy mijaly Złoty Salon, przez otwarte drzwi widać było stojącego na środku pokoju sir Reksa opartego na kuli. Spojrzał na nie. Blanche zarumieniła się i umknęła wzrokiem, po czym podeszła do schodów i szybko się na nie wspięła.

Bess wróciła do Złotego Salonu.

- Jak czuje się lady Harrington? - spytał zaniepokojony sir Rex.
- Już o wiele lepiej. Poszła do siebie. Cierpi na poważne migreny...
- Och, proszę nie traktować mnie jak głupca! - przerwał jej szorstko. - Przecież wiadomo, że to nie migrena. Sprawa jest poważniejszej natury, tyle że lady Harrington nie jest obłąkana. W jego oczach Bess dostrzegła strach. Czyżby nadal kochał Blanche, choć tyle czasu jej nie widział? Może i tak. Nie znała go dobrze, ale instynktownie wyczuwała, że jest

człowiekiem, który niezależnie od okoliczności zawsze będzie trwał u boku swojej wybranki.

- Przykro mi, sir Reksie, ale nie czuję się uprawniona do omawiania z panem osobistych spraw lady Harrington.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Proszę wybaczyć mi moją szczerość, lady Waverly. Nie pałałem do pani sympatią, jednak dziś moje uczucia względem pani uległy całkowitej zmianie. Jest pani prawdziwą, lojalną przyjaciółką Blanche.

Potrząsnęła smutno głową.

- Myli się pan, sir Reksie. Wcale nie jestem dla niej dobrą przyjaciółką. Ona jest życzliwa całemu światu i nadzwyczaj wspaniałomyślna, a ja jestem pustą istotą, próżną, egoistyczną i rozwiązłą. Jednak kocham Blanche i zawsze będę ją kochała. Tak bardzo się o nią martwię! Wróciła z Land's End odmieniona. Coś musiało się tam stać, coś, co wstrząsnęło nią tak bardzo, że przestała panować nad emocjami. Czy pan nie domyśla się, co takiego mogło się wydarzyć?

- Pani pyta o to? Bo ja mam wrażenie, lady Waverly, że pani doskonale wie, co się wydarzyło. Jednak nie będziemy o tym rozmawiać, bo ja, podobnie jak pani, nie czuję się upoważniony to roztrząsania najbardziej prywatnych spraw lady Harrington. Nawet z panią.

Nie spodziewała się tak szlachetnej postawy. Jak się okazało, sir Rex, choć okrzyczany dziwakiem i pustelnikiem, był człowiekiem honoru i nad-

zwyczaj taktownym dżentelmenem. Poza tym szczerze martwił się o Blanche.

Po raz pierwszy lady Waverly obdarzyła go szczerym uśmiechem.

- Sir Reksie, Blanche uważa, że nie powinna się z panem spotykać, dlatego prosiłam, żeby pan opuścił ten dom, a jednak cieszę się, że pan mnie nie posłuchał. Sytuacja jest bardzo poważna. Te... migreny Blanche ma codziennie.

- Codziennie! - powtórzył Rex, nie kryjąc przerażenia. - Lady Waverly, proszę mi powiedzieć, czy lady Harrington nie sądzi, że to ja jestem powodem tej przypadłości?

- Nie wiem, wiem tylko, że miała nadzieję, iż po wyjeździe z Land's End dolegliwość minie. Przecież zaczęła się w pańskim domu, prawda?

- W Land's End wiele się wydarzyło, nie ukrywam, jednak Blanche, zanim do mnie przyjechała, przeżywała trudne chwile. Mam na myśli chorobę ojca i jego śmierć.

- To prawda... A teraz ukrywa się przed całym światem. Przyjmuje tylko we czwartki, sama nigdzie nie wychodzi, natomiast wszyscy tylko marzą o tym, by zobaczyć, jak lady Harrington traci rozum! Dokądkolwiek pójdę, wszędzie śmieją się z niej. A te plotki...

- Głupimi plotkami nie ma co zawracać sobie głowy - rzucił porywczo. - Najważniejsze to pomóc Blanche. Czy była u lekarza?

- Absolutnie się na to nie zgadza. Jak przypuszczam, boi się diagnozy... Sir Reksie, a pan, o ile sobie przypominam, chciał mi coś powiedzieć.

- Tak, lady Waverly. Blanche nie powinna wychodzić za Dashwooda.

- Dlaczego? Sama go wybrała.

- Lady Waverly... - zniżył głos - słyszałem na własne uszy, jak Dashwood mówił swoim kompanom, że obłąkana kobieta nie ma prawa do majątku. Śmiem przypuszczać, że ten łotr chce zaraz po ślubie ubezwłasnowolnić Blanche.

- Boże drogi! - W oczach Bess błysnęło przerażenie. - Jeśli naprawdę zamierza zrobić coś tak nikczemnego, to ma pan' rację. Trzeba za wszelką cenę zapobiec temu małżeństwu!

- Tak. Bardzo chciałbym jeszcze raz porozmawiać z Blanche. Może wtedy, gdy poczuje się lepiej.

- Powiem jej o tym. Powinna wiedzieć - odparła Bess, zastanawiając się, co zrobiłby sir Rex, gdyby dowiedział się, że Blanche nosi pod sercem jego dziecko. Oczywiście należałoby na małżeństwo. Niestety, Blanche zwróciła mu słowo, choć nadal go kocha, co może być dowodem, że sir Rex źle wpływa na jej stan. Tylko, na Boga, czyjej stan może być jeszcze gorszy? Poza tym najważniejsze, żeby miała u swego boku kogoś, kto roztoczy opiekę i nad nią, i nad dzieckiem.

- Pani mi się przygląda, lady Waverly - odezwał się szorstkim głosem.

- Przepraszam. Zastanawiałam się nad tym, co pan powiedział. Dopilnuję, żeby Blanche nie podpisywała intercyzy dopóty, dopóki w tym wszystkim się nie rozpatrzymy.

- To dobrze. - Użyła liczby mnogiej, czyli jego też brała pod uwagę, odnotował w myślach sir Rex.

- A teraz żegnam pana. Do zobaczenia.

Nie opuścił Harrington Hall, tylko po wyjściu z rezydencji podążył przez ogród do drzwi prowadzących do kuchni, mając nadzieję, że natknie się na pokojówkę lady Harrington. Był przerażony i zrozpaczony. Wreszcie zaczynał rozumieć, dlaczego Blanche zwróciła mu słowo, i nie mógł sobie wybaczyć, że przyrównywał ją do tak płoczej i kłamliwej istoty jak Julia Mowbray. Blanche miała kryształowy charakter, ale była poważnie chora i powinna się leczyć. Nie wierzył, że to z powodu silnej migreny krzyczy i rzuca się na podłogę. Zachowuje się jak obłąkana, był przecież tego świadkiem. Wiedział, że eblęd przekazywany jest z pokolenia na pokolenie. Ojciec Blanche był, człowiekiem jak najzdrowszym na umyśle, lecz matka? Rex nic o niej nie wiedział.

Drzwi do kuchni były otwarte. Stała w nich roześmiana służąca i flirtowała z młodym, jasnowłosym mężczyzną, którego sir Rex po raz drugi tego dnia zobaczył w Harrington Hall. Był to kowal z Lanhadron.

Mocno zaniepokojony przyśpieszył kroku. Czuł, że kowal nie przybył tu w dobrych zamiarach, a lady Harrington miała wystarczająco trudną sytuację, żeby ktoś sprawiał jej dodatkowy kłopot.

Zaskoczony jego widokiem Carter na moment znieruchomiał, po czym zdjął czapkę i ukłonił się.

- Milordzie.

- Chodź ze mną! - rozkazał sir Rex i energicznie ruszył przodem.

Kowal podążył za nim. Przeszli na tyły ogrodu, gdzie sir Rex zatrzymał się i spojrzawszy młodzieńcowi prosto w twarz, spytał:

- Skąd się tu wzięłeś, Carter? Co to za sprawy masz w Harrington Hall?

- Anne prosiła, żebym tu przyjechał, milordzie. Dla niej nie ma większej damy niż lady Harrington. Prosiła, żebym przywiózł lady Harrington podarek, spinkę ze skorupki żółwia. Anne...

- Podarek, powiadasz?! - huknął sir Rex, nie panując już nad sobą. - Jakbym nie wiedział, ile złości jest w Anne do lady Harrington! Nienawidzi jej za to, że się z nią zaręczyłem. Po co tu przyjechałeś, Carter? A może zachciało ci się szantażować lady Harrington?

- Ależ milordzie, skąd takie podejrzenia!

- Domyślam się, że nie przyjechałeś tu w dobrych zamiarach! Masz natychmiast się stąd wynosić. A jeśli dowiem się, że znów nachodzisz lady Harrington, to solennie ci obiecuję, że ani ty, ani Anne pracy w naszej parafii nie dostaniecie. Zrozumiałeś?! - Kątem oka dojrzał dwóch roślących ogrodników. Skinął na nich. - Ten człowiek nie ma prawa przebywać w Harrington Hall. Wyrzućcie go!

Kiedy dwóch osiłków wyprowadzało za bramę szarpiącego się Cartera, sir Rex poczuł drobną satysfakcję. Przynajmniej tę jedną kłodę udało się usunąć spod nóg Blanche.

Nagle poczuł na sobie czyjś wzrok.

Błyskawicznie odwrócił się i przemknął spojrzeniem po tarasie, potem po oknach na parterze. Na koniec popatrzył wyżej.

Blanche stała w oknie pokoju na piętrze, ustrojonym draperiami w kolorze kości słoniowej. Przez sekundę patrzyli sobie w oczy. Draperie poruszyły się i Blanche znikła.

Wolnym krokiem odeszła od okna i stanęła przed kominkiem. Sir Rex przegnał łotra, któremu co tydzień płaciła za milczenie. Czuła ulgę, że wreszcie coś pozytywnego wydarzyło się wśród przerażającego chaosu, w który zmieniło się jej życie.

Drżała. Nigdy dotąd nie czuła tak wielkiego smutku. Przecież kochała sir Reksa całym sercem, usychała z tęsknoty. Kiedy go znów zobaczyła, natychmiast w jej pamięci ożyła każda chwila spędzona razem z nim. Jego cudowna przyjaźń, uczciwość, życzliwość... i jak ją kochał...

Usiadła na szeszlunku przed kominkiem i ukryła twarz w dłoniach. Sir Rex był przy niej, kiedy ogarnęło ją szaleństwo. On zna straszliwą prawdę.

Nie było sensu dalej się łudzić. Z każdym dniem było coraz gorzej. Okłamała Bess, nie powiedziała jej, że podczas kolejnego ataku, który trwa zawsze dłużej niż poprzedni, jej pamięć ujawnia jakiś nowy, okropny szczegół. Za każdym razem jej więź ze światem realnym była coraz bardziej wąta; świadomość, że jest dojrzałą kobietą, lady Blanche z Harrington Hall, coraz słabsza, a coraz silniejsze przekonanie, że jest tamtą sześciolletnią dziewczynką. Pewnego dnia być może ta dorosła kobieta zniknie całkowicie, zostanie tylko przerażone, szlochające dziecko, którego ręce i ubranie pokryte są krwią matki.

Jestem szalona, myślała z rozpaczą. Jestem obłąkaną kobietą, która nosi pod sercem dziecko. Co będzie z tym maleństwem? Przecież jego matka, trzymając je na rękach, w każdej chwili może dostać ataku! I może je nieumyślnie zabić. Swoje dziecko! A jeśli stanie się to

najgorsze, jeśli pewnego dnia nie wrócę już do świata realnego, kto zaopiekuje się maleństwem? Dashwood?!

Blanche zaśmiała się histerycznie i rozplakała nad losem nienarodzonego syna lub córki. Przecież jej dziecku od życia należało się coś więcej niż matka wariatka. Nie ma co się łudzić, Dashwood na pewno byłby okropnym ojcem.

Opuszczając sir Reksa, miała nadzieję, że uda jej się wyciszyć, stworzyć wokół siebie oazę spokoju, jednak nie udało się, żyła w ciągłym napięciu. Jej nędzna egzystencja, ten nieustanny strach przeplatany chwilami szaleństwa, była nie do zniesienia. I, co najgorsze, nie miała już nadziei. Była obłąkana, cały świat o tym wiedział. Także sir Rex.

Sir Rex...

Otarła łzy i spojrzała w sufit. Siebie już nie ocali, ale trzeba myśleć o dziecku, o jego przyszłości. Ojcem dziecka jest sir Rex i on je wychowa. Będzie cudownym ojcem. To, że lubi samotność i popija, nie ma żadnego znaczenia, najważniejsze, że jest człowiekiem uczciwym, szlachetnym oraz solidnym. Nie zawiedzie. Jest silny, miły, troskliwy. Pokocha swego syna albo córkę, wychowa jak najlepiej. Poza tym dziecko będzie miało cudowną, wielką rodzinę, mnóstwo ciotek, wujów, kuzynek i kuzynów, a także wspaniałych dziadków.

Takiego ojca jak sir Rex powinno mieć każde dziecko, bez wahania uznała Blanche.
Wiedziała już, co zrobi. Przeniesie się do wiejskiej rezydencji, tam urodzi dziecko i odda je
ojcu, sir Reksowi. A potem...
Znów zaczęła szlochać rozpaczliwie.

Rozdział dwudziesty

Nieszczęścia rzeczywiście chodzą parami, pomyślał z goryczą sir Rex, wkraczając do przykrytego kopułą holu w londyńskiej rezydencji Clarewooda. Stephen był żywą raną w jego sercu, teraz drugą raną była Blanche...

Z wyłożonego marmurami holu przeszedł do niewielkiego przedpokoju ze sklepieniem łukowato sufitem, a stąd do salonu z marmurową posadzką w złocisty deseń. Pod przeciwległą ścianą zobaczył marmurowe schody przykryte purpurowym dywanem. Nad schodami wisiał obraz, który przykuł jego uwagę. Przedstawiał Julię i Stephena na de pięknego, rozłożystego drzewa. U ich stóp baraszkowały dwa springer spaniele. Julia, jak ją pamiętał, była piękna, wytworna, jasnowłosa i szarooka. Sześcioletni, a może siedmioletni Stephen ubrany w surdut, patrzył przed siebie z wielką powagą. Wyglądał bardziej na małego mężczyznę niż na dziecko.

Na portreciku, który przysłała mu Julia, Stephen też wygląda poważnie, uprzytomnił sobie sir Rex. Czy rzadko się śmieje, czy też podczas pozowania przykazano mu, że ma wyglądać jak przyszły książe i pan włości?

Usłyszał lekkie kroki, po chwili w korytarzu koło marmurowych schodów ukazała się Julia. Piękna Julia z nieskazitelną twarzą. Sir Rex, choć nie czuł do niej żadnego sentymentu, musiał przyznać w duchu, że czas obchodzi się z nią łaskawie.

- Sir Rex! - powiedziała z wymuszonym uśmiechem. - Nie wiedziałam, że bawi pan w Londynie. - Jej głos był nienaturalnie cienki.

Skłonił się.

- Lady Clarewood, wygląda pani pięknie.

- Dziękuję! A czemuż to zawdzięczam...

- Moją wizytę? Tom nie wspominał pani, że zamierzam odwiedzić Stephena? Spotkaliśmy się u White'a.

- Nie, nie wspominał - odparła. Była wyraźnie wystraszona.

Uśmiechnął się więc, żeby choć trochę ją uspokoić, i zapytał:

- Może przejdziemy do pokoju, w którym będziemy mogli swobodnie porozmawiać?

Oczywiście. - Spojrzała na kamerdynera, który stał kilka kroków za nią.

- Dziękuję - powiedział szybko Rex. - Proszę mnie niczym nie częstować.

Zaprowadziła go do biblioteki, gdzie z okien roztaczał się piękny widok na ogromny ogród z fontannami, stawami, sadzawkami i wspaniałym labiryntem z żywopłotu.

Kiedy weszli do środka, Julia zamknęła drzwi.

- Jak możesz coś takiego robić!
- Jesteś zdenerwowana? - spytał, rozglądając się po wspaniałej bibliotece, którą z powodzeniem można by przenieść do pałacu Buckingham. - Bardzo mi przykro, ale też mam powody do niezadowolenia. Nie widziałem swojego dziecka od dziesięciu lat.
- Czyli nagle zdecydowałeś się go odwiedzić...
- Tak. Chcę zobaczyć na własne oczy mego syna. Chyba nie proszę o zbyt wiele?
- I przez swój egoizm zamierzasz zniszczyć jego przyszłość?
- Chcę go tylko co jakiś czas widywać. Nie obawiaj się, Julio, nie zdradzę chłopcu, kim jestem, ani nie odbiorę ci go. Jesteś jego matką.
- Dziękuję. Wybacz, wystraszyłeś mnie niespodziewaną wizytą. Często zastanawiałam się, kiedy pojawisz się w naszym życiu i czy będziesz chciał zabrać Stephena lub choćby powiedzieć mu prawdę.
- Czyli w ogóle mnie nie znasz.
- Nie. Niestety, dziesięć lat temu dokonałam złego wyboru i do dziś za to płacę. Z nawiązką. Żałowała, że go zdradziła? Żałowała małżeństwa z jednym z najpotężniejszych arystokratów angielskich? To go naprawdę zdumiało.
- Co masz na myśli, Julio?
- Och... - Wzruszyła ramionami. - Przede wszystkim chcę, byś wiedział, że zrobię wszystko, po-

wtarzam, wszystko, żeby Stephen został kiedyś księciem Clarewoodem i odziedziczył to, co mu się z tego tytułu będzie należało.

- Bardzo go kochasz.

- To mój syn, moje jedyne dziecko. Ma prawo do tego wszystkiego. - Szerokim gestem wskazała wspaniały pokój.

- Julio, również pragnę, żeby Stephen miał kiedyś majątek i władzę, ale chcę też go widywać. Możecie przedstawić mnie jako starego przyjaciela rodziny.

- Może i tak... Może rzeczywiście dobrze, żebyś zaczął uczestniczyć w jego życiu.

- Julio, czy coś się stało?

- Och, nie! Tylko moje małżeństwo nie okazało się sielanką. Tom ma trudny charakter. Choćby człowiek nie wiadomo jak się starał, i tak go nie zadowolisz.

- Stephen też?

- Niestety... Swoim istnieniem przypomina nieustannie Tomowi, że nie jest w stanie spłodzić dziecka. Stephen stara się bardzo, ma wybitne osiągnięcia, ale dla niego to i tak za mało.

- Słyszałem, że ojciec Toma też taki był.

- Wiem.

- Czy Stephen cierpi z tego powodu? Zawahała się na moment.

- Nie, Rex. Z natury jest bardzo poważny i odpowiedzialny, sam stawia sobie wyzwania i odnosi sukcesy. Mówi już biegle w trzech językach, jest znakomity z matematyki, skończył

uczyć się podstaw, teraz przeszedł do algebry. Tak samo błyszczy z biologii, teraz uczy się anatomii. Nauczyciele mówią, że jest wybitny.

- Przecież ma dopiero dziesięć lat!

- Jestem z niego bardzo dumna, ty też powinieneś, ale czasami wydaje mi się, że Stephen jest pozbawiony prawdziwego dzieciństwa. ... O! Właśnie nadchodzi.

Rex odwrócił się. Mowbray i Stephen, obaj w ubraniach do konnej jazdy, zbliżali się do domu.

Serce zabiło mu tak szybko, że na moment zrobiło mu się słabo. Od razu zauważył, że chłopiec nosi się jak mały książę: sztywny, wyprostowany, z dumnie uniesioną głową, z nienaturalną powagą na dziecięcej buzi.

Rex wyszedł na taras i stanął oparty o otynkowaną na biało balustradę. Mowbray zauważył go, spojrzał nieprzychylnie, potem zerknął w dół, na Stephena, i coś do niego powiedział.

Chłopiec zerknął na przybysza... Po raz pierwszy Rex napotkał wzrok swego syna. Dzielił ich od siebie szeroki trawnik, ale Rex i tak wyczuł, że spojrzenie Stephena jest chłodne.

Czyżby jego syn miał już w sobie tyle samo pychy, co Mowbray? No cóż, ma do tego prawo. Pewnego dnia, kiedy odziedziczy tytuł i władzę, będzie mógł spoglądać na ludzi z wysoka jak książę Walii czy sam król na swoich poddanych.

Weszli na schody prowadzące na taras. Rex widział teraz, że chłopiec, choć nadal zachowuje się sztywno, spogląda na niego z wyraźną ciekawością.

- Mój drogi, mamy gościa! - zawołała dźwięcz-

nym głosem Julia. - Sir Rex! Nie widzieliście się ładnych parę lat. - Wzięła Stephena za rękę.

- Jak podobała ci się przejażdżka z ojcem, synku?

- Podobała mi się. Pokazałem ojcu, jak Odyseusz skacze przez wysokie murki.

Julia z uśmiechem spojrzała na Reksa.

- Stephen jeździ znakomicie. Śmiem twierdzić, że prawie jak pan, kiedy służył w kawalerii. Rex zdawał sobie sprawę, że Julia jest ogromnie zdenerwowana, on zresztą też. Trudno mu było uwierzyć, że jego syn stoi tak blisko, na wyciągnięcie ręki. Nie mógł oderwać od niego oczu, niestety musiał, żeby przywitać się z Mowbrayem.

- Witam, Wasza Wysokość.

W twarzy Mowbraya nie dfgnął żaden mięsień.

- Witam, sir Reksie. Miło, że pan nas odwiedził. Szkoda, że nie uprzedził pan o swojej wizycie, bo ja, niestety, śpieszę się na pilne spotkanie i nie będę miał przyjemności pogawędzić z panem.

Rex zdołał się uśmiechnąć i znów spojrzał na Stephena, który przyglądał mu się bacznie, jakby oceniał każde jego słowo i gest.

- Witaj! - powiedział, starając się, żeby w jego głosie nie było słychać wzruszenia.

- Stephenie - odezwał się Mowbray wciąż z twarzą nieruchomą jak maska - przywitaj się z naszym gościem, sir Reksem de Warenne'em. Sir Rex jest starym przyjacielem naszej rodziny. Jest synem hrabiego Adare'a.

Stephen ukłonił się bardzo oszczędnie, świadomy wyższej pozycji społecznej.

- Dzień dobry - przywitał się z powagą. - Podczas przejażdżki w parku widzieliśmy pańskiego ojca.
- O, to miło. - Reksa wcale nie dziwiło, że oddycha z trudnością. - Powiedz mi, jak wysoko skaczesz na Odyseuszu?
- Prawie trzy stopy!
- Znakomicie jak na chłopca w twoim wieku.
- Potrafię skakać jeszcze wyżej!
- Oczywiście! Przecież mój syn celuje we wszystkim - powiedział z ironią Mowbray. - I potrafi wszystko. Jeśli zapragnie polecieć na księżyc, jestem pewien, że tego dokona. Stephen zarumienił się, a Rex najchętniej dałby Mowbrayowi w szczękę za niepotrzebną uszczypliwość wobec dziecka. - Proszę nie śpieszyć się z odjazdem, sir Reksie - powiedział Mowbray, uśmiechając się chłodno. - Jestem pewien, że moja żona, widząc pana po tylu latach, jest zachwycona. - Skinął głową i znikł w głębi domu. Rex natychmiast zwrócił się do Stephena.
- Twój ojciec na pewno jest z ciebie bardzo dumny. Wiem, że twoja matka też. Chłopiec lekko przymrużył oczy.
- Skąd pan wie? Przecież nie był pan u nas z wizytą przez tyle lat. Rzeczywiście jest bystry, pomyślał sir Rex z satysfakcją.
- Twoją matkę widziałem kilkakrotnie podczas spotkań towarzyskich. Zawsze chwaliła się swoim synem.
- Mamie łatwo zrobić przyjemność. Doszedłem

do wniosku, że większość kobiet jest taka... - O tym, że ojciec jest inny, nie wspomniał. Zauważył tylko: - Mam wrażenie, że mój ojciec nie lubi pana.

- Ależ skąd! - zawołała nerwowo Julia A Rex powiedział po prostu:

- Znam twego ojca jeszcze sprzed wojny, Stephenie, a wojna zmienia ludzi. Zmieniła i twojego ojca, i mnie.

Chłopiec przyglądał się mu wyraźnie zaintrygowany.

- Dużo czytałem o wojnie. Mój ojciec walczył w Hiszpanii. Służył w kawalerii, w Jedenastym Regimencie Dragonów Lekkich - zakończył z dumą.

- Wiem. Służył pod moimi rozkazami.

- Naprawdę?!

- Tak, Stephenie - odezwała się Julia. - Powinieneś wiedzieć, że sir Rex po wojnie został odznaczony za męstwo. Uratował twego ojca, który był ciężko ranny, a sir Rex wyniósł go z pola bitwy, czym ocalił mu życie.

Oczy Stephena rozszerzyły się z emocji, ale zachował się powściągliwie, jak dorosły.

Skrzyżował ramiona na piersiach i oświadczył:

- Cała nasza rodzina zaciągnęła u pana dług, sir Reksie. Pewnego dnia odwdziękę się panu, nawet jeśli mój ojciec już to uczynił.

Wysłuchał go z wielką satysfakcją. Jego syn już był człowiekiem honoru. Czy można pragnąć czegoś więcej?

- Dziękuję, Stephenie, ale nie zrobiłem niczego nadzwyczajnego. W podobnych okolicznościach starałbym się uratować każdego z moich ludzi.

- Jest pan prawdziwym bohaterem - oświadczył chłopiec. - Sir Reksie, jak to się stało, że stracił pan nogę?

- Kiedy wynosiłem twego ojca z pola bitwy, dostałem postrzał.

Chłopiec wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, po czym spojrzał na Julię.

- Mamo, dlaczego nigdy dotąd nie spotkałem sir Reksa? - spytał z wyrzutem.

- Bo... - zawahała się - bo sir Rex zwykle przebywa w swoim majątku, w Kornwalii. W Londynie pojawia się rzadko, a poza tym, synku, jesteś za mały, żeby bywać w towarzystwie, dlatego poznałeś sir Reksa dopiero dziś. Cieszę się, że wreszcie do tego doszło.

Julia mówiła szczerze, doszedł do wniosku sir Rex. Świadczył o tym ciepły uśmiech, którym go obdarzyła.

, - A jak to jest w Kornwalii? - spytał Stephen. - Clarewood ma majątki w całej Anglii, ale w Kornwalii ani jednego. Nigdy tam nie byłem.

Rex z przejęcia odetchnął głęboko, bo to było już coś, jakaś możliwość, którą koniecznie trzeba było wykorzystać.

- Kornwalia jest surową krainą, chłopcze. Odludną, piękną i majestatyczną. Najwspanialej jest w lipcu, kiedy kwitną wrzosy i janowiec. Może odwiedzisz mnie kiedyś ze swoją matką? Moglibyśmy pojeździć konno po wrzosowiskach. Płotów i murków do skakania u nas nie brak.

Stephen uśmiechnął się, jego niebieskie oczy rozbłyły.

- Sir Reksie, pan jeździ wierzchem?

- Naturalnie.

Stephen spojrział na matkę. Po raz pierwszy w głosie chłopca słycać było zwyczajne dziecięce podekscytowanie.

- Mamo, pojedziemy tam? Byłem już wszędzie, we Francji, Holandii, Niemczech, Portugalii i Hiszpanii, Szkocji, nawet w Irlandii. A w Kornwalii nigdy!

Julia, spojrzawszy przelotnie na Reksa, uśmiechnęła się do synka.

- Myślę, kochanie, że jest to możliwe.

- Sir Rex jest w bawialni, lady Harrington. Pozwolę sobie zaprowadzić milady - powiedział kamerdyner.

Blanche drżała na całym ciele. Sir Rex widział ją przecież, kiedy miała urojenia, a teraz, niestety, musiała stanąć z nim twarzą w twarz. To było nieuniknione, choć najchętniej by stąd uciekła. Jej policzki już teraz płonęły z zażenowania, oddychała z trudem, cóż jednak miała zrobić? Szła za służącym przez sień, potem przez hol. W całym domu słycać było pokrzykiwania i śmiech rozbrykanych dzieci. Drzwi do Zielonego Salonu były otwarte. Kamerdyner zatrzymał się w progu, Blanche stanęła dwa kroki za nim, skąd widziała cały salon.

Na kanapie siedział sir Rex otoczony wianuszkami dzieci. Dwóch chłopczyków, jeden jasnowłosa, drugi ciemnowłosa, na podłodze bawiło się ołowianymi żołnierzami. Na kanapie obok Reksa siedziała śliczna, pewnie ośmioletnia dziewczynka o włosach koloru miodu, pochłonięta lekturą grubej książki. Z drugiej strony Reksa pólleżał chłopczyk, może

o rok młodszy od dziewczynki. Był jak skóra żywcem zdjęta z Devlina O'Neilla, czyli musiał być jego synkiem. Opowiadał coś stryjowi, który słuchał z wielką uwagą, co pewien czas kiwając głową.

Sir Rex będzie wspaniałym ojcem, najwspanialszym, pomyślała z przekonaniem Blanche.

- Jak myślisz, stryju - pytał złotowłosy chłopczyk - czy to może być prawda?

- Oczywiście, że tak... Rogan! Chaz! Nie bijcie się

o żołnierzyki, bo zaraz wam je pozabieram! Podzielcie je sprawiedliwie. Pamiętajcie, jesteście kuzynami, a nie wrogami.

Blanche, spojrzawszy uważniej na chłopców, po namyśle zdecydowała w duchu, że jasnowłosy to Rogan, syn Eleanor, a ciemnowłosy Chaz jest synem Tyrella.

Koło kominka siedziały Amanda i Lizzie. Na widok Blanche wstały z krzeseł. Na pewno były zaskoczone jej widokiem, uśmiechały się jednak bardzo serdecznie. Żona Cliffa zdążyła się całkowicie przeistoczyć w wytworną damę. Blanche aż zakłuło w sercu. Takie szczęście, jakie spotkało tę parę, na pewno nie było cierpiącej na obłąd kobiecie sądzone.

Drzwi na taras otwały się, zabrzęczały ostrogi

i do salonu wszedł Cliff de Warenne, prowadząc dwóch chłopców. Obaj zaczerwieniem, z opuszczonymi głowami najwyraźniej musieli coś nabroić.

- Tych dwóch nicponi strzelało do sąsiadów

z procy! - obwieścił Cliff. - Alex trafił lady Barrow w miejsce, którego wolę nie wymieniać. Podczas tej głupiej zabawy weszli na ziemię Barrowów. W chwili, gdy ich przyłapałem, Ned celował do córki lady Barrow!

- Ale ja w lady Barrow trafiłem niechcący... - zaczął usprawiedliwiać się Alex.

- To on wpadł na pomysł, żeby strzelać do jej córki, nie ja! - przerwał mu ponurym głosem Ned.

Na widok gościa chłopcy zamilkli, a Cliff aż się potknął. Blanche, mimo zdenerwowania, zdołała przywołać uprzejmy uśmiech. Obdarzyła nim najpierw kapitana de Warnne'a, potem Lizzie i Amandę, a na koniec, drżąc jak osika, skierowała wzrok na sir Reksa. Patrzył na nią tak, jakby zobaczył ducha.

- Sir Reksie, lady Harrington do pana - zaanonsował kamerdyner.

- Dziękuję. - Rex nie odrywał oczu od Blanche. Czuła, jak jej policzki oblewają się purpurą ze

wstydu i upokorzenia. Była pewna, że sir Rex uważa ją -za obłąkaną, mimo że jego spojrzenie, choć badawcze, było ciepłe i zatroskane. Zerwał się z kanapy i chwycił kulę.

- Lady Harrington, cóż za miła niespodzianka! Bardzo proszę, niech pani wejdzie. -

Podszedł do niej i wziął ją pod łokieć.

Była zdumiona, że nie patrzy na nią jak na zadzumioną i bez żadnej odrazy dotknął jej ręki. Znow musiała wykrzesać z siebie uśmiech, ponieważ zbliżały się do niej obie damy.

- Witaj, Amando! Jak miło cię znów widzieć.

- Blanche, jak się cieszę! Zawsze miałam nadzieję, że jeszcze kiedyś się spotkamy. - Wysoka blondynka, choć szczupła i wytworna, zaserwowała jej prawie męski uścisk, po czym spojrzała na męża:

- Cliff, proszę, zabierz chłopców na górę. Niech każdy idzie do swego pokoju. Jak posiedzą w samotności kilka godzin, zrozumieją, że nie wolno terroryzować biednych Barrowów. Ja i Lizzie zajmujemy się resztą dzieci. Chłopcy pośpią z godzinę, a Ariella ma niebawem lekcję francuskiego.

- Już miałam! - zaprotestowała dziewczynka.

- Nie szkodzi, jeszcze jedna ci nie zaszkodzi

- powiedział szybko Cliff. - Jack pouczy się razem z tobą.

Złotowłosego chłopczyka, który siedział na kanapie obok sir Reksa, zaczął głośno protestować, niemniej pokój nagle opustoszał, dokładnie w chwili, gdy do Blanche podeszła Lizzie.

- Chwała Bogu, żeś przyszła - szepnęła i jako ostatnia opuściła salon.

Zostali sami. Blanche zdołała znów skierować wzrok na sir Reksa, który nadal trzymał ją pod łokieć. Najchętniej wtuliłaby się w niego i wypłakała w szeroką pierś wszystkie żale i smutki. Opłakiwałaby swych rodziców, swoją miłość do sir Reksa, złamane serce, biedne nienarodzone dziecko. I siebie samą.

- Proszę, niech pani spocznie. - Podprowadził ją do sofy.

- Dziękuję.

Usiadła, a sir Rex podszedł do drzwi i starannie je zamknął.

- Jak się pani dzisiaj czuje? - spytał, siadając obok niej na sofie.

Natychmiast jej policzki znów spłonęły rumieńcem. Zażenowana uniknęła wzrokiem.

- Dziękuję... - bąknęła. - Czuję się nieźle. Drgnęła, kiedy ciepłe palce sir Reksa wsunęły się pod jej brodę, zmuszając, by uniosła głowę.

- Naprawdę? - spytał. - Proszę przede mną niczego nie udawać.

Zesztywniała, znów unikając jego wzroku. Czyżby spodziewał się szczerego wyznania na temat jej obłądu?

- Czuję się dobrze... Dziś na pewno, sir Reksie.

- Wygląda pani na zdenerwowaną. Ponownie umknęła spojrzeniem.

- Chciałam panu podziękować za życzliwość, którą okazał mi pan wczoraj.

- Proszę nie dziękować. Pani jest chora, nie mogę pozostać obojętny.

- To okropne, co pan widział...

- Blanche... - Wziął ją za rękę - Przede wszystkim bardzo chciałbym pani pomóc.

- Pan? Przecież odtrąciłam pana...

- To nie ma znaczenia. Poza tym coś wreszcie zrozumiałem.

Zrozumiał... Gwałtownym ruchem wyszarpnęła rękę z jego dłoni. Co mógł zrozumieć?

Tylko to, że jest szalona! I jedynie ze zwykłej uprzejmości nie okazuje awersji i obrzydzenia.

Nawet nie drgnął.

- Proszę mi powiedzieć, z jakiego powodu pani tutaj przyszła.

Na moment zamknęła oczy. Och, najchętniej wyznałaby mu wszystko. Powiedziała o długich latach, które przeżyła ukryta pod skorupą obojętności, o straszliwych obrazach, które widzi podczas urojeń. O wszystkim, ponieważ desperacko potrzebowała jego siły. Jednak nie zrobiła tego, gotowa była tylko wyznać, z jakiego to konkretnego powodu pojawiła się w Harmon House.

- Sądzę, że jestem w odmiennym stanie.

W pierwszej chwili jakby stężał. Na pewno był zaskoczony, ale nie wstrząśnięty.

Blanche dyskretnie zwilżyła językiem usta, nie była w stanie czegokolwiek dodać. Przecież kiedy ta rozmowa dobiegnie końca i ona opuści Harmon House, będzie to początek jej końca jako matki. A to bolało jak nic nigdy dotąd.

- Czy pani jest pewna, że to moje dziecko? - spytał sir Rex.

- Tak. Był tylko pan, nikt inny.

Przez króciutką chwilę oddychał głośniejszym niż zwykle, potem skinął głową.

- Jestem uszczęśliwiony, Blanche. - Zabrzmiało to szczerze i prawdziwie. - W takim razie mamy wiele do omówienia.

Odetchnęła głęboko, zbierając się na odwagę. Najlepiej od razu przekazać wszystko.

- Wyjeżdżam do mojego majątku w Kent. Tam urodzę. A potem... - poczuła jak łzy spływają jej po policzkach - potem chciałabym, żeby pan wziął nasze dziecko i je wychowywał.

Naszą córkę albo syna.

- Słucham?! Blanche, co... - Ogarnęło go bezbrzeżne zdumienie.

- Bo ja... bo ja nie jestem w stanie być dla niego matką - szepnęła z rozpaczą. - A pan będzie cudownym ojcem. Nasze dziecko potrzebuje pana, sir Reksie.

Miał już gotową odpowiedź.

- Nie, Blanche - zaprotestował stanowczo. - Nie mam zamiaru zostawić pani samej, matki mojego dziecka. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. Zaopiekuję się i panią, i dzieckiem. To postanowione.

- Widział pan przecież, co się ze mną dzieje. Nie mogę się na to zgodzić, byłabym dla pana ciężarem. Bardzo panu dziękuję za tę deklarację, ale to niemożliwe. Proszę mi tylko przyrzec, że da pan naszemu dziecku wszystko, co będzie pan w stanie mu ofiarować.

- Tak na pewno się stanie, ale pani nie zostawię. Znajdziemy lek na pani dolegliwość.

Ożenię się z panią, nasze dziecko będzie miało i matkę, i ojca. Inaczej być nie może!

- Pan... pan naprawdę chce się ze mną ożenić?

- I to jak najszybciej ze względu na pani stan. Sądzę, że uda nam się przeprowadzić wszystko w ciągu tygodnia.

- Sir Reksie, jestem obłąkana, a pan chce wziąć mnie za żonę? Chce pan, żebym była matką dla naszego dziecka? Minie niewiele czasu, a gorzko pan pożałuje, że nalegał na małżeństwo. Będzie pan przeklinał ten dzień!

- Niczego nie będę żałował. Poza tym pani wcale nie jest obłąkana, tylko chora.

To zdecydowane stwierdzenie dodawało jej otuchy. Blanche pod ich wpływem w końcu zaczęła się odprężyć. Rodziła się w niej wiara, że w koszmarnej rzeczywistości zapala się iskierka nadziei. Nadziei na odrobinę szczęścia...

Odruchowo przysunęła się do sir Reksa trochę bliżej. Natychmiast objął ją ramieniem i przytulił mocno i czule.

- Chciałbym porozmawiać z panią o chorobie.

- Nie! Proszę, nie!

Gwałtownie potrząsnęła głową i znów znieruchomiła z policzkiem przytulonym do męskiego torsu ukrytego pod białą koszulą z cienkiego płótna. Słuchała miarowego bicia serca i pragnęła, żeby ta cudowna chwila trwała wiecznie.

Lecz to tylko chwila...

Wyprostowała się, podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Był prawdziwą opoką, tak bardzo jej potrzebną, a skoro zgodziła się zostać jego żoną, powinien poznać całą prawdę.

- Kiedy mam te ataki, przypominam sobie zamieszki - powiedziała cicho. - Jeśli będziemy o tym rozmawiać, może mi się to przydarzyć.

- A ja będę tutaj, żeby pani pomóc - powiedział równie cicho i pogłaskał ją po głowie.

Nigdy dotąd nie czuła do nikogo tak wielkiego zaufania.

- To coś więcej niż wspomnienia. Przeżywam to wciąż na nowo, tracąc więź ze światem realnym. Nagle jestem znów małą dziewczynką. Jadę z mamą powozem. Powóz zatrzymuje motłoch żądny krwi, uzbrojony w noże, lance i widły. Oni... oni najpierw

przecinają uprząż, powalają konia i katują go na śmierć. A potem... potem wywlekają z powozu mamę, mnie też... - Zadrżała, czując ból, ale nie był to tępy ból w skroniach, lecz całkiem inny, rozdzierający serce.

Sir Rex nie odzywał się, tylko wziął ją za rękę.

- Potem nie widzę już mamy, choć słyszę. Mama strasznie krzyczy, kiedy ją zabijają nożami i widłami.

- Boże wielki...

- Mama cichnie - mówiła dalej, wpatrując się przez łzy w ich złączone dłonie. - Jeden z tych potworów łapie mnie, ale udaje mi się uciec. Na czworakach, kryjąc się między nogami innych potworów, zbliżam się do mamy. Ja... ja ją widzę... Widzę krew, w tej krwi krwawa-masa ze strzępków ludzkiego ciała. - Ostrożnie uniosła głowę pewna, że podłoga zaraz zacznie się kołysać, ale trwała na swoim miejscu.

Sir Rex objął ją czule i mocno.

- Teraz rozumiem - szepnął.

Cóż tu jest do zrozumienia, pomyślała zdumiona. Przymknęła oczy, wdychając zapach sir Reksa. Nagle stężała.

Ból zaczął rozsadzać czaszkę. Pokój zakołysał się. Była pewna, że usłyszy rozdzierający krzyk matki.

Tymczasem usłyszała głos sir Reksa:

- Blanche, proszę mnie uważnie posłuchać. Muszę pani coś powiedzieć.

Upiorny ból zelżał, choć obraz umęczonego ciała matki miała wciąż przed oczami.

- Blanche... - Ciepłe palce musnęły jej policzek. - Przeżywałem coś podobnego po powrocie z wojny. Budziłem się w środku nocy i wydawało mi się, że znów jestem pod palącym słońcem Hiszpanii. Czołgam się po przesiąkniętej krwią ziemi. Ranni żołnierze krzyczą z bólu, słysząc brzęk szabel, huk armat. Powietrze jest przesycone zapachem prochu i smrodem zwęglonych ciał. Krew i śmierć... Gwałtownie wysunęła się z jego objęć.

- Naprawdę?!

- Tak. A potem nagle wracałem do rzeczywistości i uświadamiałem sobie, że jestem w swoim łóżku albo na sofie w Harmon House czy w Bodenick. A Hiszpania jest daleko. Kilka razy zdarzyło mi się to w biały dzień. Kiedyś w salonie. Rozmawiałem z jednym z moich braci i nagle znów znalazłem się na polu bitwy. Leżałem na ziemi, czułem straszliwy ból, a połowa mojej nogi gdzieś znikła. Słyszałem przeraźliwe krzyki i jęki żołnierzy. A potem okazało się, że stoję na środku salonu. Trwało to pół roku... chociaż nie, cały rok. Najpierw zdarzało mi się raz w tygodniu, potem raz w miesiącu, wreszcie minęło. Wielu żołnierzy to przeżywa. Naturalnie nie wszyscy, ale kilku moich towarzyszy broni miało podobne ataki. Ludzie, którym zdarzyło się przeżyć podczas wojny coś strasznego, wspomnienie o tym zabierają do domu. Blanche... - ciepłe palce sir Reksa znów pieszczotliwie musnęły jej policzek - zamieszki, które pani przeżyła, były równie przerażające, jak rzeź na polu bitwy. Jestem pewien, że pani choroba jest tym samym, czego doświadczałem po wojnie nie tylko ja, ale i wielu innych żołnierzy. Jeden z londyńskich doktorów specjalizuje się w tego rodzaju dolegliwości. Nadał nawet jej nazwę, niestety nie

mogę sobie jej przypomnieć. W każdym razie trzeba go odwiedzić. Pojadę tam z panią.
Spojrzała na ich dłonie splecione tak mocno, że skóra na kostkach zbiałała.
Może... może nie jestem szalona? - kołatało się w głowie Blanche.
Najważniejsze, że jest nadzieja.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rex odnalazł Cliffa na piętrze, w pokojach, które zajmował wraz z żoną i dwójką dzieci. Alex siedział przy sekretarzyku zajęty pisaniem gorących przeprosin do lady Barrow, a za nim stał ojciec ze srogą miną. Ariella siedziała z podkurczonymi nogami na szezlongu przed kominkiem. Jak zwykle pogrążona była w lekturze, kiedy jednak Rex stanął w progu, poderwała głowę i uśmiechnęła się do stryja. Drzwi do sąsiedniego pokoju uchyliły się i ukazała się w nich równie uśmiechnięta Amanda.

- Jak się miewa Blanche?

Wypoczywała w pokoju gościnnym. Rex nalegał na to, widział przecież, że jest wyczerpana. Nie mylił się. Kiedy wprowadził ją do środka, od razu ułożyła się na łóżku i zamknęła oczy. Wyszedł na palcach i ruszył na poszukiwanie Cliffa. Co do przypadłości Blanche był dobrej myśli. Wierzył, że czas i właściwe leki wybawią ją z kłopotu, niezależnie jednak

od jej obecnego stanu zdrowia, ze względu na dziecko ślubu odkładać nie wolno. Dlatego właśnie potrzebna jest pomoc Cliffa. Po raz pierwszy w życiu Rex był zadowolony, że jego brat jest słynnym ekscentrykiem.

- Wypoczywa w pokoju gościnnym. Słabo się poczuła. Amando, wybacz, ale mogę na chwilę skraść ci męża?

- Możesz, jeśli mi go zwrócisz. Czy Blanche zostanie na kolacji?

- Nie. Kiedy wypocznie, odwiozę ją do domu. Potrzebuje jak najwięcej spokoju.

Zdawał sobie sprawę, że wspólna kolacja byłaby dla niej męką. W każdej chwili może dostać ataku, poza tym na pewno nie łaknęła towarzystwa, skoro okrzyknięto ją wariatką. Rex czekał jak zbawienia tej chwili, kiedy będzie mógł wywieźć Blanche z Londynu. A stanie się to wtedy, gdy wreszcie zostanie jego prawowitą małżonką, którą będzie kochał i chronił przed wszystkim i wszystkimi.

Nie mógł się też doczekać, kiedy opowie jej o swoim spotkaniu ze Stephenem.

Skinął na brata i wyszli na korytarz. Gdy Cliff zamknął drzwi, Rex od razu przystąpił do rzeczy:

- Chciałem cię prosić o przysługę.

- Nie musisz prosić. Co mam zrobić?

- Najpierw przysiąc, że zostanie to między nami. Nawet swojej żonie nie piśniesz ani słowa.

- Akurat z tym będzie kłopot. Nigdy nie miałem przed Amandą żadnych tajemnic i wolałbym tego nie zmieniać.

- Cliff, to będzie tajemnica tylko do czasu, potem i tak wszystko wyjdzie na jaw. Zależy mi na dyskrecji ze względu na stan zdrowia Blanche.
 - Rozumiem. W takim razie zgoda. Czegóż więc ode mnie oczekujesz?
 - Udziel nam ślubu. Jako kapitan możesz to zrobić na pokładzie swojego statku. Blanche jest bardzo chora, nie ma mowy o zwyczajowej ceremonii i hucznym weselu.
 - Tak bardzo jest chora?
 - Musi zasięgnąć porady u lekarza, ale nie jest obłąkana. Cierpi na to samo, z czym ja zmagalem się po wojnie, jak zresztą wielu innych żołnierzy. Pewnie słyszałeś, że matka Blanche została zamordowana w okrutny sposób podczas ulicznych zamieszek. Blanche była tego świadkiem, miała wtedy sześć lat, a teraz to do niej wróciło. Przeżywa to wciąż na nowo, podobnie jak ja po powrocie z Półwyspu Iberyjskiego wciąż na nowo przeżywałem ostatnią bitwę.
 - Bardzo boleję, że Blanche musi przez to przechodzić, rozumiem też powód, dlaczego chcecie się pobrać po kryjomu. Powiedz mi jednak szczerze, czy nie istnieje jeszcze jakaś przyczyna pośpiechu z tym ślubem?
 - W samej rzeczy... tak.
- Cliff uśmiechnął się szeroko i jak to on, z całej siły klepnął brata po ramieniu.
- Jestem zachwycony, Rex! Naturalnie, że udzielię wam ślubu, choć wiesz oczywiście, że wszystkie kobiety z naszej rodziny będą gorzko rozczarowane, co tam, po prostu wściekłe! Oberwie się nam, zobaczysz.

- Trudno, jakoś przeżyjemy. - Rex uśmiechnął się, po czym dodał z powagą: - Najważniejsze jest dobro Blanche.

- Naprawdę jesteś zakochany... No cóż, najpierw będą złe jak osy, potem zachwycone, nawet nasza matka. Tylko Eleanor nigdy ci tego nie wybaczy.

- Naszą niezrównaną siostrzyczką będziemy się martwić później. - Znow się uśmiechnął. Wreszcie mógł się odprężyć. Za kilka dni, góra tydzień, on i Blanche zostaną sobie poślubieni. Zabierze ją do Land's End albo do Irlandii. Wszystko jedno, byle na wieś, po ciszę i spokój. Dzięki temu Blanche szybko odzyska siły.

- Czekam więc tylko na wiadomość, kiedy ma być ten pamiętny dzień. ^

- Może dziś? Nie wiem, to zależy od Blanche. Jeszcze raz dziękuję, Cliff.

Zakotwiczona fregata dryfowała na połyskującej, czarnej jak heban wodzie. Wszystkie żagle były zwinięte, zdawało się, że smukłe maszty i takielunek dotykały rozgwieżdżonego nieba, na którym królował wspaniały księżyc w pełni.

Przystanęli na chwilę, chłonąc czarowny obraz. Łagodna bryza pieściła policzki oszołomionej Blanche. Jakże to wszystko nieprawdopodobne! Pojechała dziś do sir Reksa, żeby powiedzieć mu o dziecku i uczynić coś, co dla kobiety jest największym poświęceniem.

A stało się inaczej. Brali ślub.

- Czy to sen? - szepnęła, zerkając na przyszłego męża. - Muszę się uszczypnąć...

Z uśmiechem wziął ją za rękę.

- Pomyślałem to samo. Chodźmy. Wszyscy już tam są.

Cała drżąc z emocji, skinęła głową i pierwsza wstąpiła na trap. Na głównym pokładzie stało kilka osób, a przede wszystkim kapitan Cliff de Warenne. Wyglądał imponująco. Choć w czarnym surducie, każdy i tak od razu by się zorientował, że na tym statku to on jest panem i władcą. Po pokładzie kręciło się kilku marynarzy, którzy zapalali wielkie latarnie.

Były też trzy kobiety. Bess, która machała do nich, żeby się pośpieszyli, rudowłosa Meg - nawet z tej odległości widać było, jak bardzo jest przejęta, no i ta trzecia, rozpromieniona Eleanor de Warenne we własnej osobie.

- Potrzebne były obrączki - rzucił półgłosem sir Rex. - Dzięki temu moja wścibska siostra dopięła swego.

- Nie szkodzi - powiedziała równie cicho Blanche. - Zawsze bardzo ją lubiłam. Cieszę się, że jest tutaj.

Wreszcie znaleźli się na głównym pokładzie. Serce Blanche biło jak oszalałe. Jak dobrze, że sir Rex cały czas trzymał ją pod ramię, mocno i pewnie, już jak mąż. Wprowadził ją na górę i przekazał na moment w ramiona Bess.

- Och, kochanie! - wołała rozgorączkowana przyjaciółka, ściskając ją serdecznie. - Kiedy dostałam twój liścik, w którym napisałaś, że mam spotkać się z tobą na statku kapitana de Warenne'a, pomyślałam, że naszej biednej Blanche naprawdę

pokręciło się w głowie! Jednak przyszła Meg i powiedziała, że to prawda. Bierzesz ślub z sir Reksem! Potem Eleanor pokazała mi obrączki, a kapitan de WARENNE wszystko potwierdził. Och, kochanie, jak się cieszę!

Blanche roześmiała się.

- Jeśli ty się cieszysz, to ja też! - Gdy zaskoczona Bess spojrzała na nią, uświadomiła sobie, że nie śmiała się na głos od wielu miesięcy. Czyli naprawdę jest szczęśliwa. - Bess - dodała cicho Blanche - wyznałam wszystko sir Reksowi. To najmiłszy, najbardziej życzliwy człowiek pod słońcem. Wie, co mi dolega. Wyobraź sobie, że mnóstwo żołnierzy po strasznej wojnie przechodzi przez to samo. Nie ma to nic wspólnego z obłądem.

- Blanche, to cudowna wiadomość! Czy tę przypadłość można wyleczyć?

- Podobno z czasem minie. - Uśmiechnęła się do przyjaciółki, po czym odwróciła się do pokojówki. - Droga Meg, jak się cieszę, że tu jesteś.

- Och, milady, co za wspaniały dzień! - wykrzyknęła wierna służka, powiernica w największej boleści, a teraz towarzyszka w radości. - Jestem taka szczęśliwa, że milady jest szczęśliwa! Wiedziałam, że milady kocha milorda, a milord kocha milady. Od początku to wiedziałam!

Blanche znów usłyszała swój perlisty śmiech. Co prawda nie miała pojęcia - bo i skąd? - czy sir Reksa do podjęcia takiej decyzji skłoniła miłość, ale nie było to istotne. I tak był dla niej opoką, a ona była szczęśliwa jak nigdy dotąd.

- Ja też! - powiedziała z uśmiechem Eleanor.

- Też to wiedziałam. Ty, Blanche, i mój brat pasujecie do siebie jak mało kto. Wierzyłam, że wrócicie do siebie.

- Dziękuję, Eleanor.

Blanche aż się zarumieniła, tak ją ucieszyła aprobatą przyszłej szwagierki, która zresztą miała całkowitą rację. Naturalnie, że sir Rex był dla niej idealnym kandydatem na męża. Trudno uwierzyć, że mogła kiedyś żywić wątpliwości. Teraz miała nadzieję, że kiedy zostanie wyleczona, będzie dla niego idealną żoną.

Zerknęła na oblubieńca. Patrzył na nią i uśmiechał się jak człowiek szczęśliwy.

- Lady Harrington, możemy zaczynać, kapitan de Warenne jest już gotów.

Jej serce zabiło szybciej.

- Możemy zaczynać.

Cliff wskazał im, w którym miejscu mają stanąć, po czym odchrząknął.

- Blanche, czy pani wie, że „Fair Lady” stworzona jest do łączenia zakochanych par? Ja też na tym pokładzie brałem ślub z Amandą.

- Wiem. Cały Londyn o tym mówił. Podobno Amanda ukradła panu statek, a pan, zamiast ją ścigać i gnębić, ożenił się z nią.

- Ukradła, ścigałem, nie gnębiłem zanadto, ożeniłem się... - Pokiwał głową, złoty kolczyk w jego uchu błysnął w świetle latarni. - Eleanor, masz obrączki?

- Oczywiście! - zawołała.

- Możemy więc zaczynać. - Znów odchrząknął i ogarnął wzrokiem wszystkich obecnych. -

Ze-

braliśmy się tu tego wieczoru, żeby z bożym błogosławieństwem połączyć świętym węzłem małżeńskim tę oto parę. Sir Reksie de Warenne, czy chcesz wziąć za żonę lady Blanche Harrington, kochać ją i szanować w zdrowiu i w chorobie, i nie opuścić, póki śmierć was nie rozłączy?

Blanche zerknęła na wyrazisty klasyczny profil sir Reksa. W tym momencie on spojrzał na nią i oczy mu rozbłysły.

- Tak.

- Lady Blanche Harrington, czy chce pani wziąć sobie za męża sir Reksa de Warenne'a, kochać go i szanować w zdrowiu i w chorobie, i nie opuścić, póki śmierć was nie rozłączy?

Niczego więcej nie pragnęła.

- Tak!

- Eleanor, obrączki proszę.

Podawała Cliffowi dużą obrączkę ze złota i złoty pierścionek z perłą otoczoną brylantami.

Blanche знаła ten piękny pierścionek, należał do Eleanor, dlatego uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością.

Sir Rex. wsunął złoty pierścionek na serdeczny palec Blanche, ona wsunęła złotą obrączkę na palec sir Reksa.

Gdy podniosła głowę, zatonęli w sobie spojrzeniami.

Zadrzała, tyle było ciepła w jego oczach. Jakże go kochała! Teraz, jako żona, nie musi już utrzymywać tego w tajemnicy. Powie mu o tym, powie mężczyźnie, który uśmiechnął się do niej tak, jakby to już wiedział. I czuł to samo.

- Sir Reksie, możesz pocałować żonę.

Nachylił się nad Blanche, która przymknęła oczy. Usta męża musnęły jej wargi, a jej serce biło jak szalone z ogromnego szczęścia, z ogromnej największej radości.

Cliff oznajmił:

- Na mocy danej mi jako kapitanowi tego statku ogłaszam was mężem i żoną.

Przez całą drogę z portu do Harrington Hall, trwającej około pół godziny, Blanche trzymała sir Reksa za rękę. Była półprzytomna po pospiesznym ślubie, w który nadal trudno jej było uwierzyć. A jednak ślub się odbył. Tylko co będzie dalej? Sir Rex wsiadł do jej powozu bardzo pewnie, jakby miał do tego prawo. Czy zrobi coś jeszcze, do czego też miał pełne prawo? Zostanie z nią? Chyba nie. Zapewne ze względu na stan jej zdrowia konsumowanie małżeństwa odłożył na później, co wcale nie było po jej myśli.

Kiedy wkraczali do Harrington Hall, Blanche przekazała kamerdynerowi nowinę:

- Jem, jestem teraz lady de Warenne. Sir Rex i ja wzięliśmy ślub.

Jem jak przystało na rasowego kamerdynera nie okazał zdziwienia, tylko skłonił się z wielkim szacunkiem i rzekł gładko:

- Pozwolę sobie złożyć milady i milordowi serdeczne życzenia szczęścia na nowej drodze życia.

Blanche, trochę jednak speszona, nie odpowiedziała.

Sir Rex wcale nie wyglądał na zakłopotanego.

- Dziękujemy, Jem. Jutro rano będę chciał spot-

kać się z całą służbą. Dopilnujcie, żeby wszyscy zebrali się o ósmej.

- Tak, milordzie.

- Moja droga... - zwrócił się do żony. - Czy uczymy to wydarzenie szampanem? A może wolisz wypocząć, w końcu był to dzień pełen wrażeń.

Wcale nie miała ochoty wypoczywać. Była zbyt podekscytowana, za bardzo pragnęła znaleźć się w ramionach sir Reksa.

Byli przecież mężem i żoną.

W całym Londynie nie ma kobiety bardziej szczęśliwej niż ona, uznała w duchu Blanche.

- Naturalnie, że napijemy się szampana!

- Świetnie. Jem, proszę, przynieść butelkę najlepszego szampana ...

- Tak jest, milordzie. Czy podać również kawior? Mamy cały zapas kawioru z Morza Kaspijskiego. Zakupił go świętej pamięci lord Harrington.

- Jeśli milady ma takie życzenie...

Blanche skinęła głową i w tym momencie usłyszała za sobą szept Meg. Był bardzo cichutki, czyli Meg nie chciała, żeby usłyszał ją sir Rex.

- Milady...

Blanche doskonale wiedziała, jaki dylemat chce rozwiązać wierna pokojówka.

Podeszła do męża i spytała go półgłosem:

- Sir Reksie, wzięliśmy ślub tak pośpiesznie, nie było więc czasu wyszykować dla pana pokoi. Rozumiem, że pańska rodzina oczekuje pańskiego powrotu...

- Nikt na mnie nie czeka, Blanche. Wołałbym zostać z tobą - odparł, konsekwentnie zwracając się do niej per „ty”, co jej jakoś nie mogło przejść przez gardło. - Może w pokoju gościnnym?

W pokoju gościnnym?! Blanche uśmiechnęła się mimo głębokiego rozczarowania.

- Meg, proszę, przygotuj Szmaragdowy Apartament.

Gdy pokojówka dygnęła i odeszła, chwycił żonę za rękę.

- Blanche, czy ty się czymś martwisz?

- Ja? Ależ nie! - zaprotestowała, starając się uśmiechnąć jak najbardziej promiennie. - Mam tylko powody do radości. Uratował mnie pan przed popełnieniem strasznego błędu.

- Chodzi o Dashwooda?

- Naturalnie! Jak mogło mi coś takiego w ogóle przyjść do głowy? To wszystko razem to był jakiś koszmar...

- Który się skończył, Blanche. Chcę, żebyś już zawsze była szczęśliwa.

- Jestem! Już jestem! Chociaż wiem, że pan... wiele czyni z obowiązku, który sam sobie narzucił. - Z obowiązku? Przyznam, że nie bardzo rozumiem... Może usiądziemy i porozmawiamy? Przeszli do Błękitnego Pokoju, gdzie sir Rex od razu przystąpił do rzeczy:

- Blanche, naturalnie, że mam zobowiązania względem ciebie i dziecka, ale ożeniłem się z tobą nie tylko z tego powodu.

Jakoś nie potrafiła się uśmiechnąć, tak samo jak nie potrafiła zwracać się do swego męża po imieniu.

- Sir Reksie, nawet jeśli odzyskam zdrowie,

nigdy już nie będę tą samą kobietą, która bawiła z wizytą w Land's End.

- Jak możesz tak mówić! Nadal jesteś tą kobietą, która mnie oczarowała. Istotą idealną. Poza tym nie mów „jeśli”! Na pewno wyzdrowiejesz. Blanche? Czy mnie słuchasz?

Słuchała, ale nie była w stanie wydobyć z siebie ani jednego słowa. Przez cały dzień ani razu nie pomyślała o swojej przeszłości, teraz jednak, niestety, koszmar powracał. Czuła paraliżujący strach. Przed oczyma zaczęły przesuwać się straszne obrazy. Jeszcze chwila i przeraźliwy ból głowy zacznie rozsadzać jej czaszkę.

Nagle poczuła na policzku ciepłe palce sir Reksa.

- Nie odchodź ode mnie, -Blanche. Nie pozwól się zabrać w przeszłość. Zostań. Taka piękna noc. Słyszysz, jak cykają świerszcze?

Spojrzała mu w oczy, uprzytamniając sobie, że nie słyszy rozdzierających krzyków, tylko łagodny głos męża.

- Jestem - szepnęła. - Nie odeszłam. To było już tylko wspomnienie...

Palce sir Reksa znów musnęły jej policzek. Och, jak bardzo pragnęła znaleźć się w objęciach męża! Jak pragnęła czegoś więcej niż muśnięcie warg czy palców.

- Sir Reksie - szepnęła --jesteśmy małżeństwem. Wiem, że jako kobieta nie jestem teraz pociągająca, ale... ale wcale nie chcę, żeby pan zachowywał się jak dżentelmen...

- Blanche, przecież jesteś tak krucha i słaba! Nie chcę cię skrzywdzić, przestraszyć, sprawić ci jakikolwiek kłopot, pod żadnym względem. Musisz jednak wiedzieć... - Wstał, ona też. Położył ręce na jej ramionach i spojrzał głęboko w oczy. - Nigdy dotąd nie pragnąłem tak bardzo żadnej kobiety jak ciebie. Tak będzie zawsze. Bo zawsze będę ciebie kochał.

Blanche z wrażenia na moment zastygła, zabrakło jej tchu, tylko jej serce biło tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Ogarnęła ją nieprawdopodobna radość.

- Więc proszę, niech pan mnie... kocha.

Rozdział dwudziesty drugi

Blanche obudziła się wtuloną policzkiem w nagą pierś Reksa. Całym ciałem przylgnęła do jego ciała, a jedna z jej nóg wsunęła się między jego nogi. Mimo to nie czuła się zażenowana taką bliskością. Przeciwnie, miała wrażenie, że tu jest jej miejsce, w ramionach męża.

Pokój zalany był słońcem, nikt bowiem nie ośmielił się tu wejść, żeby zaciągnąć zasłony.

Dwu-kolorowa kołdra, okrywała ich do pasa.

Blanche rozpieierała radość.

Jak to cudownie, że jest właśnie tak! Mąż i żona. Tej nocy sir Rex wziął ją dwa razy. Musiało być to dla niej trochę męczące, bo sam akt miłosny pamiętała, ale co było potem już nie. Po prostu zaraz po miłosnych uniesieniach morzył ją słodki sen.

Sir Rex, człowiek o wspaniałym charakterze, był równie cudownym kochankiem.

Kochała go tak bardzo, że aż serce bolało z nadmiaru uczucia.

Przemknęła wzrokiem po śpiącym mężu, potem spojrzała w okno, ale nie zobaczyła błękitnego nieba, tylko przerażające obrazy z przeszłości.

Znowu! Znowu dowód, że miłość, radość i namiętność, tak piękne uczucia, mają na nią zgubny wpływ, bo budzą straszne wspomnienia i każą jeszcze raz przeżywać tamten ból. Już odzywa się znajome pulsowanie w skroniach, jednak ostrze noża nie wwierca się w głowę, choć przerażające obrazy nadal przesuwiają się przed oczami. Zakatowany koń. Jasnooki potwór. Twarz matki biała jak papier, kiedy potwór kazał jej wysiadać z powozu. Zmasakrowane ciało w kałuży krwi.

Lecz w uszach cisza. Nie słychać rozdzierającego krzyku, który zwykle prznosił Blanche w odległą przeszłość.

Tylko te obrazy. I ból tak ostry, jakby ktoś naprawdę kłuł ją nożem, ale nie w głowę, lecz w serce. Wiedziała, że to rozpacz.

- Blanche? - Sir Rex usiadł, położył ciepłą dłoń na jej ramieniu. - Powiedz mi, co się dzieje.
- Przypominam sobie, jak wyglądała moja matka, kiedy zadźgali ją na śmierć. Czekam na jej krzyk, czekam, że znowu będę miała sześć lat, ale tym razem jest inaczej. Widzę to, wszystko widzę, ale nie uczestniczę w tym. Patrzę tylko i czuję ogromną rozpacz.
- Nigdy nie opłakiwałaś swojej matki. Byłaś wtedy małym dzieckiem, zapomniałaś o zamiesz-

kach, ale to wróciło. Pora na żałobę po matce, Blanche.

Czuła, jak jej pierś zaczyna rozsadzać szloch, jak ogarnia ją dojmująca rozpacz nie tylko po stracie matki, także ojca, po którego odejściu nie wylała ani jednej łzy.

Sir Rex zdumiał ją, bo wszystko rozumiał.

- Ojca też nie opłakiwałaś, Blanche, więc zrób to teraz. Wszyscy opłakujemy śmierć swoich najbliższych.

Podniosła na niego załzawione oczy.

- Czy pan wie, że sobie coś jeszcze przypomniałam? Jaka była. Najczulszą, najlepszą matką, najśłodsza... Dlaczego ją zabili?! Dlaczego?!

Otoczył ramieniem szczupłą, wstrząsane łkaniem plecy.

- Kiedy tłum wpada gniew, jest tak, jakby twój ulubiony pies nagle się wściekł. Znikają wszelkie hamulce. Tłum staje się nieokiełznaną dziką bestią żądną krwi.

- Och... - Otarła łzy, ale jej serce nadal pełne było żalu i rozpacz. - Mój ojciec nigdy się z tego nie otrząsnął. Bardzo kochał moją matkę i do końca życia miał w oczach smutek.

Często były zaczerwienione od łez. Dziwiłam się temu. Ja po tamtej tragedii nie czułam nic, a kiedy ojciec umarł, nie potrafiłam zapłakać. Teraz jest inaczej, teraz czuję rozpacz i dalej chce mi się płakać...

- A więc płacz. Opłakuj śmierć tych, których bardzo kochałaś. Tak każe ci serce, Blanche.

Kiedy powóz Harringtonów wjeżdżał na podjazd przed zamkiem Bodenick, zachwycona przepięknym widokiem Blanche aż wysunęła głowę przez okno. Zamek z odbudowaną już wieżą na tle błękitu bezchmurnego nieba wyglądał przepięknie. Wokół widziała bezkresne

wrzosowiska mieniające się w słońcu złotem i purpurą, a w dole spienione wody oceanu u stóp czarnych lśniących klifów.

Przed trzema dniami sir Rex zaproponował, żeby wyjechali z Londynu i lato spędzili na wsi, w Land's End. Blanche zgodziła się ochoczo, choć jednocześnie poczuła lęk. Przecież to właśnie tam jej pamięć ożyła i zaczęła zabierać z sobą w przeszłość.

W ciągu tych kilku dni, które minęły od ślubu, złe wspomnienia powracały wielokrotnie, nigdy jednak nie odcinały Blanche od rzeczywistości. Zdawała sobie sprawę, że to przede wszystkim zasługa męża, który troszczył się o nią jak o dziecko. Kiedy tylko wspomnienia wracały, natychmiast starał się ją czymś zająć, odwrócić uwagę. Był jak kotwica, która nie pozwala, by sztorm porwał statek. Jednocześnie wiedział, że nie zawsze należy ingerować, bywały bowiem chwile, kiedy Blanche musiała pobyć sam na sam ze swoją rozpaczą. Przed wyjazdem z Londynu poszła na groby rodziców. Poszła tam sama, taka była jej decyzja.

A teraz czuła się bardzo niepewnie. Z jednej strony ogarniał ją zachwyty, że znów jest w Land's End, z drugiej zaś niepokój. Nie wiedziała bowiem, co ją tutaj spotka.

- Pięknie tu - powiedziała, spoglądając na męża roziskrzonym wzrokiem. - Powietrze takie czyste. Czuję zapach oceanu.

- Cieszę się, że jesteś zadowolona. - Pogłaskał małą dłoń ukrytą w rękawiczce.

Blanche czuła, jak jej oczy wilgotnieją. Kiedy brała z sir Reksem ślub, nie spodziewała się miesiąca miodowego, a przecież taki właśnie ten miesiąc był: miodowy. Sir Rex był nie tylko mężem, także najczulszym, najbardziej namiętym kochankiem. Od dnia ślubu sypiali w jednym łóżku. Wspólne noce były upojne, Blanche bezwstydnie nie mogła doczekać się zmroku.

Powóz zatrzymał się przed zamkiem. Sir Rex pomógł wysiąść żonie. Stała na ziemi i rozejrzała się dookoła. Popatrzyła z zadowoleniem na nową, ukończoną już stajnię, a potem z zachwytem na odbudowaną wieżę.

- Czy pokoje w wieży są już umeblowane? Sir Rex uśmiechnął się i wyjaśnił:

- Jeszcze nie. Będą tam twoje pokoje, droga żono, na pewno wolisz urządzić je po swojemu. Zatem Blanche czekała wielką przyjemność. Nie mogła się też doczekać, kiedy zajmie się ogrodem i w każdym jego zakątku posadzi mnóstwo kwiatów.

Gdy stanęli przed drzwiami, uśmiech sir Reksa z pogodnego zmienił się w uśmiech zdecydowanie niewesoły.

- Rzadko mi się zdarza, żebym rozpaczał po stracie nogi. Cóż, pogodziłem się z tym, jednak w tej chwili bardzo mi jej brak. Nie mogę przecież przenieść mojej żony przez próg.

- Mój drogi... - Pogłaskała go czule po policzku. - Można zrobić coś innego. Na przykład... pocałować żonę w progu!

Co też i uczynili. Pocałowali się namiętnie, nie zważając na publiczność w osobie stangreta i forysiów. Niestety, kiedy pocałunek się skończył, czekała ją przykra niespodzianka.

Za drzwiami stała Anne.

- Milordzie! Milady! - Dygnęła.

Blanche wpatrywała się zdumiona w przysadzistą dziewczynę, dawną kochankę sir Reksa, i natychmiast odżyła w jej pamięci żenująca scena w gabinecie, którą kiedyś dane jej było zobaczyć. Pomyślała też o Paulu Carterze, który wyłudził od niej sporą sumę, niewątpliwie namówiony przez tę dziewczynę.

Była oburzona.

- Przepraszam - powiedział cicho sir Rex. - Wszystko stało się tak prędko, nie zdążyłem przekazać polecenia.

Nie szkodzi, pomyślała Blanche, ja zrobię to bardzo chętnie.

Lady de Warenne podniosła głowę jak najwyżej i stanęła przed służącą, która zeszywniała i spojrzała na nią nieśmiało.

- Masz natychmiast opuścić Bodenick!

Anne drgnęła i zerknęła niepewnym wzrokiem na sir Reksa, który jednak nie powiedział ani słowa.

- Mówię do ciebie! - Blanche podniosła głos. Anne z powrotem odwróciła ku niej spojrzenie.

- Słyszę, milady, bardzo dobrze - powiedziała drewnianym głosem.

- W takim razie posłuchaj. Ty i twój kochanek zyskaliście niemało, szantażując mnie w bezwstydnym sposób, lecz miarka się przebrała. Zostajesz

odprawiona bez żadnych referencji. Masz opuścić zamek natychmiast, twoje rzeczy zostaną ci odesłane.

W oczach Anne widać było nienawiść.

- Milady nie może mnie odprawić, ale niech milady się nie martwi, sama odejdę, bo milord i tak by mnie odprawił!

Sir Rex chciał coś powiedzieć, ale rozgniewana Blanche nie dopuściła go do głosu.

- Nie mam pretensji, że kiedyś romansowałaś ze swoim chlebodawcą, ale winię cię za to, że po moim wyjeździe z Bodenick chciałaś mi zaszkodzić w nikczemny sposób, ukazując swoje prawdziwe oblicze. Jesteś zuchwała i zachłanna, chcesz mieć to, co mają wyżej urodzeni od ciebie. Jakby się tobie należało! Dlatego masz natychmiast opuścić moją ziemię i nigdy tu nie wracać, chyba że chcesz, by pomógł ci w tym mój stangret!

- Czyli milady dopięła swego i wyszła za milorda! Tfu! - Anne splunęła ze wzdargą, odwróciła się i zniknęła.

Sir Rex chciał objąć żonę, jednak ona nie wydyszała jeszcze swojej złości.

- Czy po moim wyjeździe z Land's End brał pan ją do łóża?!

- Nigdy. Byłem zajęty budową stajni, a wieczorami topiłem smutki w trunku. Anne została, bo potrzebna była kucharka.

- Przepraszam... - Zawstydzona swoim wybuchem, chwyciła męża za rękę. - Nie powinnam przemawiać takim napastliwym tonem.

- Miałaś pełne prawo być podejrzliwa, Blanche, a ja powiedziałem prawdę. Tak będzie zawsze. Nigdy cię nie okłamię. Przysięgałem ci i przysięgi dochowam - oznajmił poważnym tonem sir Rex.

W tym momencie Blanche pomyślała o swoich drogich przyjaciółkach. Kochają męża przez chwilę, a gdy uczucie przeminie, biorą sobie kochanka. Potem pomyślała o niezwyklej rodzinie de Waren-ne'ów, gdzie wbrew panującym powszechnie swobodnym obyczajom obowiązują wierność i lojalność.

- Czasami będziemy się spierać - mówił dalej sir Rex. - To normalne. Może nawet dojdzie do burzliwych dyskusji, zważywszy na twój temperament, który okazałaś przed chwilą, jednak to niczego nie zmieni w naszych wzajemnych zobowiązaniach. I niczego nie zmieni w moim sercu.

Zarzuciła mu rękę na szyję.

- w" moim też! Och, przepraszam, sir Reksie, ale czasami sama siebie nie poznaję. - Istotnie, dotąd nie wpadała w taką złość jak przed chwilą, kiedy odprawiła Anne. Nigdy też jeszcze nie była tak szczęśliwa jak teraz. O tym, że zimna jak głaz Blanche Harrington w ramionach sir Reksa staje się namiętą kochanką nawet nie wspominając.

Przesunęła delikatnie palcem po świeżym zarostie na policzku męża.

- Sir Reksie, Meg zajmie się obiadem, a my może przejdziemy do naszej sypialni. Zajmiemy się... rozpakowaniem rzeczy.

- Pomysł znakomity, mam tylko jedną małą prośbę. Czy nie mogłabyś, kochanie, wreszcie zwracać się do mnie po imieniu? Czy na zawsze zostanę dla ciebie sir Reksiem?!

Rozpromieniona i szczęśliwa jak jeszcze nigdy przedtem Blanche odparła z błyskiem w oczach i przewrotnym uśmiechem:

- Jesteś moim ukochanym mężem, miłością mojego życia, ojcem mego z niecierpliwością i radością oczekiwanego dziecka, ale niczego to nie zmieni. Na zawsze pozostaniesz dla mnie sir Reksem, moje kochanie!